

ANTONIO MANZINI STWORZYŁ
NAPRAWDĘ NIESAMOWITEGO BOHATERA
ANDREA CAMILLO

ANTONIO
MANZINI

CZARNA
TRASA

ŚLEDZTWA POCCIA SCHEAVONE

ANTONIO
MANZINI

ŚLEDZTWA ROCCA SCHIAVONE

**CZARNA
TRASA**

przełożył
Paweł Bravo



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału: *Pista nera*

Projekt okładki: *Izabella Marcinowska*

Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*

Redakcja: *Irma Iwaszko*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Kamil Kowalski*

Zdjęcia wykorzystane na okładce:

© Ilona Wellmann/Arcangel Images

© iStockphoto.com/dpm75

© Sellerio editore via Siracusa 50 Palermo

e-mail: info@sellerio.it

www.sellerio.it

Published in agreement with Sellerio Editore, Italy

and Book/lab Literary Agency, Poland.

All rights reserved.

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2017

© for the Polish translation by Paweł Bravo

ISBN 978-83-287-0528-9

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2017

Mojej siostrze Laurze

Góry nie mogą przestraszyć kogoś, kto się wśród nich urodził.

F. Schiller

W tym życiu umrzeć nietrudno.

O wiele trudniej życie stworzyć.

W. Majakowski

Spis treści

Czwartek

Piątek

Sobota

Sobota wieczór

Niedziela

Poniedziałek

Podziękowania

Czwartek

Narciarze sobie poszli. Słońce dopiero co zaszło za szarobłękitnymi skałami, między którymi plątało się parę chmur, i rzucało na śnieg różową poświatę. Księżyc czekał na zmrok, żeby rozświetlić całą dolinę aż do następnego ranka.

Wyciągi stały nieruchomo, w chatkach i schroniskach na górze pogaszono światła. Słychać było tylko pomruk ratraków, które sunąc w dół i w górę, ubijały śnieg na zboczach, gdzie między lasami i skałami wytyczone były trasy zjazdowe.

Jutro zaczynał się weekend i kurort narciarski Champoluc spodziewał się najazdu turystów spragnionych siekać śnieg deskami. Trzeba było wykonać dla nich tę benedyktyńską robotę.

Amedeo Gunelli dostał główną trasę Champoluc zwaną Ostafa. Długą na kilometr, szeroką na sześćdziesiąt metrów. Tu instruktorzy szkolili zarówno nowicjuszy stawiających pierwsze kroki, jak i zaawansowanych narciarzy chcących doświadczyć mocnych wrażeń. Wymagała najwięcej roboty, pokrywa śnieżna zdzierała się na niej już w porze obiadowej, a na środku wręcz sterczały kamienie i prześwitywała ziemia. Amedeo zaczął od górnej partii. Pracował dopiero od trzech miesięcy. Nie było trudno, wystarczyło pamiętać, jak się steruje bestią na gąsienicach, i zachować spokój.

To było najważniejsze. Spokój i zero pośpiechu.

W słuchawkach iPod'a brzmiały przeboje Luciana Ligabuego. Amedeo zapalił skręta, którego dał mu szef ekipy ratraków Luigi Bionaz, jego najbliższy kumpel. To dzięki niemu miał robotę i zarabiał tysiąc euro miesięcznie. Na siedzeniu obok położył piersiówkę z grappą i krótkofalówkę. Wszystko było gotowe na parogodzinną harówkę.

Amedeo zgarniał śnieg z boków, rozsmarowywał go na najbardziej odkrytych miejscach, wyrównywał frezem i uklepywał łopatami, tak że trasa stawała się gładka jak stół bilardowy. Był dobry w tej robocie, tyle że źle się czuł w samotności. Często uważa się, że ludzie z gór to odludki. Nic bardziej mylnego. A w każdym razie nic bardziej mylnego w przypadku Amedea. On lubił światła, rwetes, pogaduchy do świtu.

„Smutne jest życie środkowego pomocnika...”, darł się na całe gardło, żeby dotrzymać sobie towarzystwa. Głos odbijał się echem od szyb z pleksi, a on wpatrywał się uważnie w śnieg, który w świetle księżyca stawał się coraz bardziej błękitny. Gdyby podniósł wzrok, ujrzałby widok zapierający dech w piersiach: niebo w górze było granatowe jak morskie głębiny, wokół szczytów zaś pomarańczowe. Ostatnie ukośne promienie słońca barwiły lodowce na fioletowo, a podbrzusze chmur na szaro. Nad wszystkim górowało masywne cielsko Alp. Amedeo łyknął grappy i rzucił okiem w dolinę. Miniaturowe światełka latarni i domów, jak w szopce. Cudowny widok dla kogoś, kto nie urodził się w tej

okolicy. Dla niego banalna, ponura dekoracja.

„W nocy radio puszcza Nila Janga, tak jakby wiedziało, kim jesteś...”
Skończył część nad górnym progiem. Zawrócił ratrak, żeby zjechać na niższy poziom, i stanął przed czarną trasą. Strach go obleciał. Wstęga lodu i śniegu, tak że aż końca nie widać.

Tylko ten, kto pracował od lat i potrafił manewrować ratrakiem, jakby to był dziecinny rowerek, miał odwagę przeciąć stromą serpentynę, która dochodziła do Ostafy. Tego odcinka i tak się nie ubijało. Za wąski. Jak się źle ustawiło gąsienice, groziło dachowanie i wielotonowe żelastwo mogło zwalić się na głowę. Sami narciarze, jeżdżąc po śniegu, dobrze go uklepywali. Tylko raz na miesiąc szło się tam z łopatami, żeby rozprować tworzące się wały zlodowaciałego śniegu. Bez tego na powstałych górkach, dołkach i taflach ludzie wywijaliby koziolki, że hej.

Krótkofalówka na siedzeniu zamrugła. Ktoś go wzywał. Amedeo zdjął słuchawki i złapał radio.

– Tu Amedeo.

Aparat zaskrzeczał, potem z trzasków wydobył się głos szefa, Luigiego.

– Gdzie jesteś?

– Dokładnie pod górnym wałem.

– Dostyc, zjeżdżaj i zrób ten kawałek na dole koło wsi. Tam na górze ja dokończę.

– Dzięki, Luigi.

– Słuchaj no – dodał Luigi – pamiętaj, żeby zjechać do wsi skrótem.

– Tamtą dróżką?

– Tak, tą, co odchodzi od Crestu, to nie przetniesz trasy, którą obrabia Berardo. Jedź skrótem, zrozumiałeś?

– Przyjąłem, dzięki.

– Żadne dzięki, stawiasz mi wino przed kolacją.

Amedeo uśmiechnął się.

– Stoi!

Włożył z powrotem słuchawki, wrzucił najniższy bieg i zjechał ze stromizny. „Zatańczmy fandango... ooch”, podśpiewywał. Na niebie chmury nagle zgęstniały i zakryły księżyc. Zawsze tak jest, w górach starczy moment i pogoda zmienia się zupełnie. Amedeo dobrze o tym wiedział. Prognozy na weekend były fatalne.

Ostre reflektory ratraka oświetlały trasę oraz ciemną ścianę sosen i świerków po bokach. Pomiędzy gęstwiną drzew widać było jeszcze światła Champoluc. „Zatańczymy na świecie, ooch”.

Żeby dotrzeć do dolnej części trasy, musiał przejechać przed szkółką narciarską i garażem dla ratraków. Wyrzucił niedopałek skręta za okno. W tym momencie oślepiły go reflektory drugiego ratraka. Zasłonił oczy dłonią. Maszyna, która wspinała się w przeciwnym kierunku, podjechała bliżej. Siedział w niej

Berardo.

– Pocięło cię? Oślepiłeś mnie!

– He, he – zachichotał Berardo jak idiota.

– Słuchaj, robotę na górze wziął Luigi, ja zjeżdżam na końcówkę trasy przy wiosce.

– Tak jest! – Berardo już miał czerwony nos. – Wieczorkiem wpadniemy na jednego do Maria i Michaela?

– Muszę postawić Luigiemu, moja kolej. Wpadnę, jak skończę! – krzyknął Amedeo.

– Przejeżdż przez drogę przy Creście, bo trasę na górze już zrobiłem.

– Spoko, pojedę skrótem. Na razie!

Berardo ruszył w górę, Amedeo zaś, tak jak mu kazali, skręcił na Crest, czyli niewielkie skupisko domków ponad wyciągami. Prawie nikt tam w tej chwili nie mieszkał, jeśli nie liczyć gości schroniska i lokatorów kilku willi należących do genueńczyków, którzy ponad swoje miasto ukochali narty.

Amedeo miał przeciąć las i zjechać skrótem osiemset metrów w dół. Jeszcze tylko przyklepie sam koniec trasy przy wiosce, a potem wreszcie winko, dowcipy i pogaduchy z już pijanymi Anglikami. Miął nieliczne światła osady.

Dróżka używana przez ratraki była dobrze widoczna. „Spalisz się, mała gwiazdka, bez nieba...” Powoli zjeżdżał wyboistymi koleinami, po których tylko w lecie nieliczne terenówki wspinały się aż do Crestu. Reflektory na dachu dawały dość światła, przed nim było jasno jak w dzień. Praktycznie nie dało się zboczyć z trasy.

„Spalisz się...”

Zero problemów, gąsienice trzymały się idealnie podłoża. Tylko kabina przechyliła się jak gondola karuzeli w lunaparku. Ale to było nawet zabawne.

„Spalisz się...”

Nagle frez uderzył o coś twardego i ratrak aż podskoczył. Amedeo obrócił się, żeby sprawdzić, co to było. Kamień albo ziemia. Przez tylne okienko widział oświetlony, przed chwilą odgarnięty ze śniegu szlak. Ale coś było nie tak. Dokładnie na środku drogi. Brudna plama długa na parę metrów.

Zahamował. Zdjął słuchawki, zgasił silnik, wyszedł sprawdzić.

Cisza.

Buty zapadały się w śniegu.

– Jezu, co to?

Ruszył w tamtą stronę. W miarę jak się przybliżał, plama zmieniała kolor. Najpierw czarna, teraz sinofioletowa. Wiatr szumiał lekko między świerkami i rozdmuchiwał dookoła pióra. Białe, małe, lekkie.

Kura? Rozjechałem kurę? – pomyślał Amedeo. Wciąż szedł przez głęboki na dziesięć centymetrów śnieg, zapadając się przy każdym kroku. Pióra tańczyły

w małych wirach. Plama stawała się brązowa. Na co, kurwa, najechałem? Na zwierzę?

Siedem halogenów i nic by nie zobaczył? A poza tym powinno się wystraszyć hałasu. Już miał wdepnąć buciorem, kiedy zorientował się, co to jest: kałuża czerwonej krwi zmieszanej z białym śniegiem. Była wielka i na pewno nie mogło to być zwierzę, raczej musiałyby rozwalić cały kurnik. Okrążył plamę, aż doszedł do miejsca, gdzie czerwień była najintensywniejsza, aż lśniąca. Pochylił się, przyjrzał uważnie.

I zobaczył.

Uciekł, ale nie zdążył dobiec do lasu. Wyrzygał się wprost na drogę.

Telefon na komórkę o tej godzinie to rzecz równie wkurzająca, jak list polecony z urzędu skarbowego. Wicekwesor Rocco Schiavone, rocznik 1966, leżał na łóżku i gapił się na paznokieć palucha prawej nogi. Był czarny. To przez szufladę biurka, którą D'Intino zwałił mu na stopę, kiedy histerycznie szukał jakiegoś wniosku paszportowego.

Schiavone go nienawidził. Tamtego popołudnia, kiedy policjant wydurnił się po raz kolejny, obiecał sobie samemu i wszystkim obywatelom Aosty, że zrobi wszystko, aby przenieść tego palanta do komisariatu gdzieś na dalekim zadupiu w Lukanii.

Wyciągnął rękę po nokię, która ciągle brzęczała. Spojrzał na wyświetlacz, numer z komendy. Upierdliwość ósmego stopnia. A może nawet dziewiątego.

Rocco Schiavone miał osobistą skalę upierdliwości, które bezduszne życie zsyłało na niego każdego dnia. Zaczynała się od szóstego stopnia, czyli wszystkich możliwych obowiązków związanych z domem. Chodzenie po sklepach, hydraulik, czynsz.

Na siódmym były centra handlowe, bank, poczta, laboratoria analiz, lekarze w ogóle ze szczególnym uwzględnieniem dentystów, a także kolacje służbowe lub z krewnymi. Ci na szczęście siedzieli w Rzymie.

Do ósmego stopnia zaliczało się przede wszystkim publiczne przemawianie, następnie biurokracja w pracy, teatr, raportowanie u przełożonych i prokuratorów. Na dziewiątym były zamknięte trafiki, bary niesprzedające lodów Algida, przypadkowe spotkanie gadatliwego znajomego, a zwłaszcza wyjazdy w teren z niedomytymi policjantami.

Na koniec był stopień dziesiąty, szczyt skali. Upierdliwość nad wszelkie upierdliwości: mieć dochodzenie na karku.

Podparł się łokciami na materacu i rzucił:

– Kto mi dupę zawraca?

– Szefie, tu Deruta.

Posterunkowy Deruta. Sto kilo zbędnej masy cielesnej, godny konkurent D'Intina w walce o tytuł największego durnia w komendzie.

- O co chodzi, Michele?
- Mamy problem. Na trasie zjazdowej w Champoluc.
- Gdzie mamy ten problem?
- W Champoluc.
- A gdzie to jest?

Rocca Schiavonego przeniesiono z komisariatu przy via Colombo w Rzymie do Aosty we wrześniu. Po czterech miesiącach jedyne punkty na mapie miasta i okolicy, jakie zdążył poznać, to dom, komenda, prokuratura i knajpa artystyczna.

- Champoluc leży w Val d’Ayas – odpowiedział Deruta prawie zgorszony.
- Ale co to znaczy? Co to jest Val d’Ayas?
- To dolina powyżej Verrès, szefie. Champoluc to najsławniejsza miejscowość. Narciarska.

- No i co takiego?
- Chodzi o to, że parę godzin temu znaleziono zwłoki.

Zwłoki.

Schiavone opuścił rękę, w której ścisnął komórkę, na materac, zamknął oczy i zaklął przez zęby.

- Zwłoki...

Dziesiąty stopień. Prawdziwa upierdliwość dziesiątego stopnia. A może nawet z bonusem.

- Słyszysz mnie pan? – zaskrzeczało w telefonie.

Rocco zaraz podniósł go do ucha. Prychnął.

- Kto jedzie ze mną?
- Pan wybiera: ja albo Pierron.
- Italo Pierron, to jasne! – odparł szybko.

Deruta przez dłuższą chwilę w ciszy przeżył urazę.

- Deruta, co jest, zasnąłeś?

– Nie, na rozkaz.

- Powiedz Pierronowi, żeby podjechał bmw.

– W góry to lepiej terenówką, nie?

– Nie, bmw jest wygodne, ma ogrzewanie, działające radio i podoba mi się. Terenówką niech jeżdżą te pierdoły ze straży leśnej.

- To posyłam Pierrona, żeby pana zgarnął z domu.

– I powiedz mu, żeby nie dzwonił domofonem.

Rzucił telefon na łóżko i zasłonił sobie ręką oczy.

Zaszeleściła nocna koszula Nory, materac ugiął się pod jej ciężarem. Rocco poczuł na uchu jej usta i ciepły oddech. I wreszcie jej zęby na płatku ucha. Kiedy indziej to by go na pewno podnieciło, ale teraz gra wstępna Nory pozostawiła go obojętnym.

- Co się dzieje? – zapytała szeptem kobieta.

– To z biura.

– No i?

Rocco podciągnął się i usiadł na łóżku, nawet na nią nie patrząc. Powoli włożył skarpetki.

– Nie możesz mówić?

– Nie chce mi się. Praca. Daj spokój.

Nora kiwnęła głową. Odsunęła kosmyk włosów, który spadł jej na oczy.

– I musisz sobie iść?

Wreszcie odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

– A według ciebie co teraz robię?

Nora wciąż leżała na łóżku. Ramię uniesione nad głowę odsłaniało idealnie wydepilowaną pachę. Koszula nocna z bordowej koronki otulała ciało, podkreślając grą światła i cieni jego bujne kształty. Długie, gładkie kasztanowe włosy okalały twarz białą jak śmietana. Czarne oczy wyglądały jak świeżo zerwane oliwki z Apulii. Wargi miała wąskie, ale umiała je tak umalować, żeby wydawały się większe. Nora, piękny okaz kobiety tuż po czterdziestce.

– Mógłbyś być chociaż grzeczny.

– Nie. Nie mogę, późno już, a ja muszę jechać gdzieś w góry, wieczór z tobą poszedł w cholerę, i do tego jeszcze pewnie zaraz zacznie padać śnieg.

Szybko wstał i przeniósł się na fotel, żeby włożyć buty: były to clarksy, innego rodzaju butów Rocco Schiavone nie uznawał. Nora została na łóżku. Głupio się czuła w makijażu i koronkach. Jak stół zastawiony jadłem dla nieistniejących gości. Podciągnęła się.

– Szkoda, na kolację przygotowałam raclette.

– Co to? – zapytał podejrzliwie Schiavone.

– Nigdy nie próbowałaś? To danie z sera fontina, który się topi i zjada z marynowanymi karczochami, oliwkami i kawałkami salami.

Rocco wstał, żeby włożyć golf.

– Czyli coś lekkiego.

– Widzimy się jutro?

– Trudno powiedzieć, Noro! Nawet nie wiem, gdzie będę jutro.

Wyszedł z pokoju. Nora sapnęła i wstała. Dogoniła go przy drzwiach. Wyszepiała:

– Będę czekać.

– A co ja jestem, autobus? – odburknął Rocco. Potem się uśmiechnął.

– Noro, przepraszam, mam zły dzień. Jesteś taka piękna. Na pewno to główna atrakcja Aosty.

– Druga, po rzymskim łuku triumfalnym.

– Ja już nie mogę patrzeć na tych całych rzymian. A na ciebie tak.

Ucałował ją pospiesznie w usta i zamknął za sobą drzwi.

Nora się roześmiała. Rocco po prostu taki był. Pasuje ci albo nie. Spojrzała na zegar w holu. Jeszcze nie było za późno, żeby umówić się z Sofią do kina. A potem może na pizzę.

Otworzył bramę i lodowata ręka złapała go za gardło.

– Pierdolony ziąb!

Samochód stał dobre sto metrów od bramy. Stopy w clarksach już zdążyły zmarznąć od samego kontaktu z pokrytym szklistą warstwą chodnikiem. Wiał ostry wiatr, na ulicach nie było żywego ducha. Wsiadł do swojego volvo i natychmiast włączył ogrzewanie. Nachuchał w dłonie. Wystarczyło sto metrów, żeby zgrabiały.

– Pierdolony ziąb! – powtórzył jak mantrę, a słowa wraz z parą z ust zamgłyły przednią szybę.

Zapalił silnik Diesla, wcisnął guzik odszraniania i zagapił się w blaszaną osłonę latarni, która tańczyła na wietrze. W stożku światła drobinki śniegu przelatywały jak gwiazdny pył.

– Śnieg! Wiedziałem, że tak będzie!

Wrzucił wsteczny i wyjechał z Duvet. Kiedy parkował pod domem przy rue Piave, bmw z Pierronem w środku czekało na niego z zapalonym silnikiem. Rocco szybko wskoczył do środka. Policjant nagrzał w samochodzie do dwudziestu trzech stopni. Uczucie błogości otuliło Schiavonego jak wełniany kocyk.

– Italo, ale nie dzwoniłeś do mnie domofonem?

Pierron wrzucił bieg.

– Nie jestem taki głupi, panie komisarzu.

– Super. Ale musisz się wreszcie odzwyczaić, nie ma już komisarzy. Ten stopień zniesiono już parę lat temu.

Wycieraczki ściągały płatki śniegu z szyby.

– Jeśli tu pada, to co dopiero w Champoluc – rzucił Pierron.

– Wysoko to jest?

– Tysiąc pięćset.

– Oszaleć można.

Rocco Schiavone nigdy nie wspinał się wyżej niż sto trzydzieści siedem metrów nad poziom morza, tyle liczy jedno z rzymskich wzgórz zwane Monte Mario. Oczywiście nie biorąc pod uwagę ostatnich czterech miesięcy w Aoście położonej na pięciuset siedemdziesięciu siedmiu metrach. Do tej pory nie mógł zrozumieć, jak można mieszkać na dwóch tysiącach metrów. Aż się w głowie kręciło.

– Po co oni się pchają na tysiąc pięćset metrów?

– Żeby zjeżdżać na nartach, wspinać się po lodowcach. W lecie chodzi się na wycieczki.

– No coś takiego! – Schiavone wyjął chesterfielda z paczki należącej do podwładnego. – Wolę camele.

Italo uśmiechnął się.

– Chesterfieldy mają żelazisty posmak. Kup camele, Italo. – Zapalił, zaciągnął się. – Nawet jednej gwiazdy nie widać – zauważył, gapiąc się za okno.

Pierron koncentrował się na jeździe. Wiedział, że zaraz zacznie się nostalgiczny repertuar. I tak też się stało.

– W Rzymie o tej porze też jest zimno, ale często wieje tramontana, która wymiata chmury. A wtedy wychodzi słońce. Świeci słońce i jest zimno. Miasto robi się czerwone i pomarańczowe, niebo jest błękitne, fajnie jest wtedy łązić po ulicach. Kiedy wieje tramontana, przed oczami masz wszystkie kolory. Ten wiatr jest jak ścierka, którą usuwasz kurz ze starego obrazu.

Pierron wznosił oczy do nieba. W Rzymie był tylko raz w życiu, pięć lat temu, i tak mu dokuczył smród, że wymiotował potem przez trzy dni z rzędu.

– A poza tym dupy. Nie masz pojęcia, ile świetnych dup kręci się po Rzymie. Może tylko w Mediolanie jest lepiej. Byłeś w Mediolanie?

– Nie.

– To niedobrze, pojedź tam. Wspaniałe miasto, tylko trzeba je zrozumieć.

Pierron był dobrym słuchaczem. Góral, umiał milczeć, kiedy trzeba było milczeć, i mówić, kiedy przyszedł na to czas. Miał dwadzieścia siedem lat, ale wyglądał na dziesięć więcej. Nigdy nie ruszył się z Val d’Aosta, jeśli nie liczyć tych paru dni w Rzymie i wczasów na Dżerbie z Veronicą, dawną narzeczoną. Podobał mu się Rocco, bo był bezpośredni i przebywając z nim, zawsze mógł się sporo nauczyć. Wcześniej czy później zapyta wicekwestora, którego uparcie tytułował komisarzem, co takiego zdarzyło się w Rzymie. Ale ich znajomość była zbyt świeża, czuł, że jeszcze nie czas zagłębiać się w szczegóły. Na razie zaspokoił trochę ciekawość, grzebiąc w papierach i raportach.

Rocco Schiavone rozwiązał całkiem sporo spraw – zabójstwa, kradzieże, oszustwa – i wydawało się, że jego przeznaczeniem jest błyskotliwa, owocna kariera. Tymczasem nagle jego gwiazda runęła w dół wraz z natychmiastowym dyscyplinarnym przeniesieniem do Aosty. Co takiego spowodowało tę skazę w CV, tego Pierron jeszcze nie rozgryzł. W komendzie, w gronie policjantów, rozmawiało się o tym nieraz.

Caterina Rispoli przypuszczała, że ostro zagrał i się naraził.

– Nadepnął na odcisk komuś wysoko postawionemu, w Rzymie o to nietrudno.

Deruta był pewien, że przeszkadzał, bo był zbyt zdolny, a nie miał dość mocnych pleców. D’Intino obstawiał, że to przez romans.

– Może tknął kobietę, której nie powinien tykać.

Italo miał swoją teorię, ale zachował ją dla siebie. Bazowała na rzymskim adresie zamieszkania Schiavonego. Via Alessandro Poerio, na Janikulum. Ceny od ośmiu tysięcy euro za metr w górę, jak go oświecił jego kuzyn, agent

nieruchomości z Gressoney.

Za pensję oficera policji nie kupisz mieszkania w takiej dzielnicy.

Rocco zgasił papierosa.

– O czym myślisz, Pierron?

– O niczym, szefie, o drodze.

Rocco w milczeniu gapił się na autostradę nakrapianą płatkami śniegu.

Z głównej ulicy Champoluc, jeśli się spojrzało w górę, widziało się między drzewami plamę światła. Miejsce odnalezienia zwłok rześcicie oświetlono halogenami. Gdy mrużyło się oczy, dawało się nawet rozpoznać cienie krzątających się tam policjantów i ludzi z obsługi ratraków. Wieść rozniosła się z prędkością górskiego huraganu. Ludzie zgromadzili się przy dolnej stacji kolejki gondolowej. Wyciągali głowy w stronę lasu w połowie stoku, każdy z tym samym pytaniem, na które nie należało się spodziewać szybkiej odpowiedzi. Pijani angielscy turyści, Włosi ze zmartwionymi minami. Miejscowi rozmawiali między sobą w dialekcie i chichotali na myśl o wkurzeniu mediolańczyków, genueńczyków i piemontczyków, którzy jutro zastaną zamknięte trasy.

Bmw prowadzone przez Itala zatrzymało się u stóp kolejki. Z Aosty jechali półtorej godziny. Po drodze usianej ciasnymi serpentynami Rocco obserwował krajobraz. Czarne lasy, osuwiska żwiru wypłute ze skalistych stoków wlewały się w doliny jak rzeki mleka. Dobrze chociaż, że podczas niekończącego się podjazdu gdzieś na wysokości Brusson przestało padać i teraz księżyc bez przeszkód oświetlał białe przestrzenie, które odbijały jego blask. Wyglądało to tak, jakby ktoś rozsiał na ziemi mnóstwo małych diamentów.

Rocco wysiadł z samochodu otulony w płaszcz z granatowej wełny i natychmiast poczuł, jak śnieg atakuje jego buty.

– Komisarzu, to tam w górze. Zaraz po nas podjadą ratrakiem – powiedział Pierron, wskazując światła częściowo skryte przez las w połowie stoku.

– Ratrakiem? – Rocco ostrożnie wydychał powietrze i szcząkał z zimna zębami.

– To pojazd gąsienicowy do wyrównywania śniegu na trasach.

Schiavone zrobił głęboki wdech. Ale ktoś sobie znalazł miejsce, żeby umrzeć.

– Italo, powiedz mi, jakim cudem nikt się nie zorientował, że na środku trasy leży trup? Nikt tamtędy nie zjeżdża?

– Nie, komisarzu, pardon, wicekwesterze – poprawił się natychmiast Pierron.

– Znaleźli go w lesie, na bocznej drodze, nikt tamtędy nie zjeżdża, tylko ci od ratraków.

– Dobra, rozumiem. Ale kto by się telepał na górę, żeby zakopać trupa?

– To już pan musi odkryć – uciał Pierron z niewinnym uśmiechem.

Hałas młota pneumatycznego wypełnił rześkie powietrze. Ale to nie był młot

pneumatyczny, tylko ratrak. Zatrzymał się przy stacji kolejki, stał z zapalonym silnikiem, plując gęstym dymem z rury wydechowej.

– To jest ten ratrak? – zapytał Rocco.

Widział takie ustrojstwo tylko na filmach dokumentalnych o Alasce.

– Tak, teraz nas zabierze na górę, panie komisarzu, pardon, wicekwestorze.

– Wiesz co, i tak się nie nauczysz, nazywaj mnie, jak chcesz, nic mnie to nie obchodzi. A poza tym – ciągnął, patrząc na pojazd – dlaczego nazywają go śnieżnym kotem, skoro wygląda jak czołg?

Italo Pierron tylko wzruszył ramionami.

– No dobra, wsiadamy na tego kota.

Rocco spojrział na buty. Clarksy były całkowicie przemoczone, zamsz nasiąknął wodą, wilgoć przenikała aż do skarpetek.

– Szefie, mówiłem, że trzeba sobie kupić odpowiednie buty.

– Pierron, nie truj mi dupy, ja pary takich traktorów, jakie nosicie w tej okolicy, nie włożę nawet do trumny.

Ruszyli między muldami i dołkami wyżłobionymi przez narciarzy. Nieruchomy ratrak z reflektorami na dachu wyglądał jak wielki mechaniczny insekt gotowy połknąć ofiarę.

– Proszę stanąć na gąsienicy i wejść do środka! – krzyknął kierowca z kabiny obitej pleksiglasem.

Rocco wykonał polecenie. Siadł w kabinie, zaraz za nim Pierron. Kierowca zatrzasnął drzwiczki i wrzucił bieg. Rocco wyczuł woń alkoholu zmieszanego z potem. Tamten przedstawił się:

– Luigi Bionaz, kierownik ekipy ratraków w Champoluc.

Rocco tylko popatrzył. Facet miał parodniowy zarost i jasne szkliste oczka.

– Luigi, dobrze się czujesz?

– A bo co?

– Bo zanim ruszysz to bydlę, chcę wiedzieć, czy nie jesteś wcięty.

Luigi zrobił oczy wielkie jak reflektory swojego ratraka.

– Ja?

– Nie obchodzi mnie, czy pijesz, czy palisz skręty. Nie chcę tylko dać się zabić na tym wózku na wysokości półtora tysiąca metrów.

– Nie, wszystko w porządku. Piję tylko wieczorem. Jeśli coś pan czuje, to pewnie zostało po którymś z chłopaków, który jeździł tym po południu.

– Dobra, dobra – uciał wicekwestor. – No już, jazda.

Ratrak ruszył w górę po trasie narciarskiej. W świetle reflektorów Rocco widział ścianę śniegu i nie mógł uwierzyć, że ten kolos da radę wspiąć się po takiej stromiźnie.

– Ty, ale na pewno się nie wywalimy?

– Pan się nie martwi, ten sprzęt umie pokonać ponadczterdziestoprocentowe

nachylenie.

Minęli zakręt i znaleźli się w lesie. Ostra smuga halogenów rozjaśniała śnieg na trasie i czarne pnie drzew, które ścisnęły ją z obu stron.

– Jak szeroka jest ta trasa?

– Z pięćdziesiąt metrów.

– Ilu ludzi tędy zjeżdża w normalny dzień?

– Trzeba spytać w dyrekcji. Wiedzą, ile dziennie sprzedają skipassów.

Można policzyć, ale i tak nie całkiem dokładnie.

Rocco kiwnął głową. Wsadził ręce do kieszeni, wyjął skórzane rękawiczki i je włożył. Trasa skręcała w prawo. Pierron siedział bez słowa. Gapił się w górę, jakby szukał odpowiedzi między gałęziami świerków i modrzewi.

Wspinali się dalej, słychać było tylko ryk silnika. Wreszcie na środku polany ukazały się lampy rozstawione przez policjantów wokół miejsca odnalezienia zwłok.

Ratrak zjechał z trasy i przeciął las. Podskoczył parę razy na korzeniach.

– Kto znalazł ciało? – zapytał Rocco.

– Amedeo Gunelli.

– Mogę z nim zamienić słowo?

– Tak, komisarzu, czeka na dolnej stacji. Jeszcze nie doszedł do siebie

– odpowiedział Luigi Bionaz, zatrzymując pojazd.

Wyłączył wreszcie silnik.

Kiedy tylko Rocco Schiavone postawił stopy na śniegu, zrozumiał, jak bardzo jego kolega miał rację, żeby zabrać ze sobą buty z izolowaną podeszwą, te, które nazywał traktorami, bo je w istocie przypominały. Mróz chwycił go za stopy, które już jakiś czas go mrowiły z zimna, i to ukłucie przeszło mu nerwy od pięt aż do mózgu. Wziął wdech. Powietrze było jeszcze bardziej rześkie niż w dolinie.

Temperatura sporo poniżej zera. Chrzątki uszu pulsowały mu z zimna, z nosa już zaczęło kapać. Inspektor Caterina Rispoli podeszła lekkim krokiem.

– Dobry wieczór, panie wicekwesterze.

– Witam, pani inspektor.

– Podjechałam pierwsza z Casellą, żeby zabezpieczyć miejsce.

Rocco skinął głową. Spojrzał na jej twarz ledwo widoczną spod nasuniętej na uszy czapki. Makijaż spod oczu spływał jak po woskowej masce.

– Niech pani tu zostanie.

Odwrócił się. W dole widać było światła osady. Po prawej miał ratrak Amedea, wciąż zaparkowany w tym samym miejscu, gdzie nieszczęśnik porzucił go parę godzin wcześniej.

Brnąc przez śnieg prawie po kolana, Rocco podszedł do maszyny. Sprawdził przód, przejechał po nim ręką, obejrzał dokładnie, jakby był zainteresowany kupnem. Potem przykucnął i zajrzał pod pokryte świeżym śniegiem gaśienice.

Pokiwał głową i podszedł do miejsca, gdzie leżały zwłoki.

– Co pan sprawdzał? – spytał Italo, ale wicekwesor nie odpowiedział.

Policjant z nartami na ramieniu podszedł lekko, pomimo że wciąż miał na sobie sztywne narciarskie buty.

– Komisarzu, melduje się Cacioppolo!

– O kurde, ty też z moich stron!

Młody policjant uśmiechnął się.

– Zabezpieczyłem miejsce.

– Świetnie, Cacioppolo, teraz mi powiedz, gdzie się nauczyłeś jeździć na nartach.

– W Roccaraso, moja rodzina ma tam domek. Pan jest z Rzymu, komisarzu?

– Zatybrze, a ty?

– Vomero.

– Dobra, zobaczymy, co tu mamy.

Co mieli? Na wpół zamrożone ciało pokryte dziesięcioma centymetrami śniegu. Nazwanie tego czegoś ciałem było nadużyciem. Może kiedyś to było ciało. Miazga złożona z mięśni, nerwów i krwi przemielona przez frezy ratraka. Wszędzie dookoła fruwało pierze. Rocco mocniej otulił się płaszczem. Wiatr, mimo że lekki, wnikał za kołnierz i muskał mu szyję, stawiając na baczność włosy jak szeregi żołnierzy przed generałem. Już go zaczęło boleć kolano, to, które roztrzaskał sobie w wieku piętnastu lat, grając ostatni mecz ze swoją drużyną Urbetevere Calcio. Nad trupem stał pochylony Alberto Fumagalli.

Anatomopatolog z Livorno odchyłał piórem poły kurtki nieszczęśnika.

Schiavone podszedł bez przywitania. Ani razu się nie witali od czterech miesięcy, czyli od pierwszego spotkania, po co mieliby teraz wprowadzać ten zwyczaj?

– Skąd to całe pierze? – zapytał Rocco.

– Z puchówki – odparł Alberto wciąż pochylony nad ciałem.

Nie można było rozpoznać rysów twarzy. Jedno ramię zostało odcięte w całości, pod naciskiem gąsienic pękła klatka piersiowa i cała jej zawartość wypłynęła na wierzch.

– Ale masakra – powiedział cicho Rocco.

Fumagalli pokręcił głową.

– Muszę go wziąć na stół, rzucę okiem i potem ci opowiem. Wydaje mi się... Sam nie wiem! To coś go przemielilo, wiesz, ile roboty będzie z poskładaniem do kupy wszystkich części? A teraz, ponieważ zimno mi i mam tego dosyć, wracam na dół wypić coś ciepłego. W każdym razie to ludzkie zwłoki.

– Tyle to i ja wiem.

Alberto spojrzał krzywo.

– Dasz mi skończyć? To mężczyzna około czterdziestki. Jego zegarek

pokazuje w pół do ósmej. Według mnie to godzina, kiedy przejechał po nim ten czołg.

– Zgadzam się.

– Nie ma przy sobie dokumentów, za to ma aż za dużo ran. Ale wiesz co, Rocco?

– No, wyrzuć to z siebie, Fumagalli.

– Dookoła sporo krwi.

– Aż za dużo. No i co z tego?

– Widzisz, krew ze swoimi składnikami, wodą, komórkami, zamarza już przy temperaturze zero stopni. W laboratoriach na wszelki wypadek przechowuje się ją w minus czterech stopniach. Ale to, co powinno dać ci do myślenia, to to, że tutaj na pewno jest zero. Zero stopni, rozumiesz? A krew jest jeszcze całkiem ciekła. Co oznacza, że zmarł niezbyt dawno temu.

Schiavone przytaknął w milczeniu. Wpatrywał się uporczywie w lewą dłoń denata. Była wielka, żylasta, grubokoścista. Przypominała mu ręce ojca, zmaltretowane przez lata pracy z farbami i rozpuszczalnikami w drukarni. W tej tutaj brakowało trzech palców. Prawa dłoń leżała jakieś dziesięć metrów obok resztek anonimowego wciąż ciała.

– Widziałem rozjechane jeże na autostradzie w lepszym stanie! – powiedział Schiavone, a z jego ust wydobył się gęsty obłok pary.

Teraz wreszcie rozejrzał się po okolicy zabezpieczanej przez policjantów. Koszmar.

Oprócz głębokich kolein wyżłobionych przez gaśnice wszędzie było pełno innych śladów. Dziesięć metrów od zwłok, na skraju lasu, pod drzewem sikał policjant. Stał obrócony tyłem i Rocco nie mógł rozpoznać, który to.

– Hej ty! – zawołał.

Tamten się odwrócił. Domenico Casella.

– Co ty, kurwa, robisz? – wrzasnął Rocco.

– Siusiu, szefie.

– Super, Casella, zobaczysz, jak się ucieszą ci z kryminalistyki!

Fumagalli popatrzył wrogo na Casellę i na Caciuoppola, który stał w pewnej odległości, żeby nie widzieć rozszarpanych zwłok.

– Jesteście zgrają palantów. Ja się pytam: czego was uczyli?!

Casella zapiął rozparek i podszedł do wicekwestora.

– No już strzytać nie mogłem, a poza tym wcale nie jest powiedziane, że go tutaj zabili, nie?

– No pięknie, mamy Sherlocka Holmesa. Spierdalaj, Casella. Trzymaj się z dala i czekaj przy ratraku, to nie narobisz więcej szkody. Tam, koło inspektor Rispoli. No już! Dotykałeś czegoś?

– Nie.

– Dobrze. A teraz sio, waruj przy budzie. – Rocco rozłożył bezradnie ramiona. – Wiesz co, Alberto?

– No, dawaj.

– Wolę, żebyś to ty pogadał z tymi z kryminalistyki, kiedy poznają tu odciski palców, włosy i mocz naszych ludzi. Bo nawet jak morderca się tu zesrał, to nie będą w stanie tego ustalić. Wszystko przez durni takich jak Casella... i ty też, Cacioppolo! Mówisz, że zabezpieczyłeś miejsce, a potem co?

Cacioppolo zwiesił głowę.

– Zobacz, co narobiłeś! Dookoła zwłok pełno odcisków twoich butów. Na drodze, wszędzie! Matko Boska! A potem się dziwicie, że ktoś ma dosyć i rzuca to w cholerę!

Buty mu całkiem przemokły. Z każdą minutą ziąb rósł w postępie geometrycznym. Zero stopni, o czym mówił Fumagalli, było już wspomnieniem, wiatr hulał mu pod podkoszulkiem. Rocco chciałby być o sześćset kilometrów stąd, choćby w knajpie Gusto przy via della Frezza, u Antonia, dwa kroki od Tybru, i jeść smażone mięso i tataro, zapijając butelką verdicchio di matelica.

– Możliwe, że to narciarz? – zapytał trzymający się dotąd na uboczu Pierron, żeby rozładować napięcie.

Rocco popatrzył na niego z całą pogardą nagromadzoną przez cztery miesiące wygnania.

– Italo, on ma buty z cholewami! Widziałeś kiedyś kogoś na nartach w butach z cielęcej skóry na gumowych podszwach?

– Stąd nie widziałem butów, przepraszam. – Italo wtulił głowę w ramiona.

– No to zamiast pieprzyć głupoty, zrób dwa kroki i sobie popatrz. To twoja praca!

– Chętnie bym się od tego uchylił, panie komisarzu.

Rocco posmutniał. Popatrzył anatomopatologowi w oczy.

– Takich mi dali i z takimi muszę się wozić. No dobra, dzięki, Alberto, zadzwoń, jak tylko się czegoś dowiesz. Miejmy nadzieję, że umarł na zawał, upadł, a potem przykrył go śnieg.

– Miejmy nadzieję – powtórzył Alberto.

Rocco ostatni raz rzucił okiem na zwłoki.

– Pozdrów tych z dochodzeniówki. – Odwrócił się, żeby sobie wreszcie pójść. Ale nagle coś go trafiło, trochę tak jak owad, kiedy się jedzie na skuterze bez osłony. – Alberto, znasz się, jesteś światowy człowiek, czy ten facet miał na sobie termiczne ciuchy?

Alberto skrzywił się.

– Spodnie miał ocieplane, kurtka, tak, jest porządna, North Face Polar, kosztuje kupę forsy. Kupiłem taką córce, ale czerwoną.

– No i?

– Ponad czterysta euro.

Rocco znów się pochylił nad na wpół zamrożonym ciałem.

– Nie ma rękawic, dlaczego?

Alberto Fumagalli rozłożył ręce. Wicekwestor wyprostował się.

– Podumajmy chwilę nad tym.

– Wie pan, komisarzu – zabrał głos Caciuppolo, który przysłuchiwał się wsparty na kijkach – może to ktoś z tych domów w Crest? Pan popatrzy, to tylko dwieście metrów.

Rocco spojrział na małe skupisko dachów ukrytych wśród śniegu.

– Ktoś tam mieszka?

– Tak.

– Pośród niczego? Phi.

– Jak ktoś kocha góry... To nie jest miejsce dla byle kogo.

Rocco skrzywił się z dezaprobatą.

– Może i tak być, Caciuppolo, zuch z ciebie.

– Dziękuję.

– Ale równie dobrze mógł zginąć gdzie indziej, a przenieśli go tutaj dopiero potem, nie?

Caciuppolo się zamyślił.

– Nawet jeśli... – dodał Rocco. – W takim wypadku kurtkę włożyli mu później. Bo nikt nie umiera w pomieszczeniu ubrany w taką kurtkę. A może tak? Albo może właśnie wychodził i zginął? Albo poszedł z kimś się spotkać, ledwo zdążył zdjąć rękawice i zginął? – Rocco patrzył na Caciuppolo, wcale go nie widząc. – Albo wcale go nie zabili, umarł sam z siebie i ja tu wygaduję jakieś bzdury. Co nie, Caciuppolo?

– Komisarzu, to już pan decyduje.

– Dziękuję. Wyjaśnimy to. A tak w ogóle to nie wiem, czy czytasz okólniki, ale w policji nie ma już komisarzy. Teraz nazywają nas wicekwestorami. Ale to mówię tak z obowiązku, mnie to guzik obchodzi.

– Tak jest!

– Caciuppolo, dlaczego ktoś z Neapolu, kto ma pół godziny promem na Capri, Ischię i Procidę, na wyciągnięcie ręki Positano i całe wybrzeże, przyjeżdża tutaj zdechnąć z zimna?

Caciuppolo popatrzył i strzelił szelmowskim uśmiechem, prezentując dwa rzędy białych zębów.

– Komisarzu, pardon, wicekwestorze, jak to mówią? Człowiek szuka połówki...

– I ty ją znalazłeś tu w górach?

– Nie. W Aoście. Ma lodziarnię.

– Lodziarnię? W Aoście?

- Jakby pan nie wiedział, tu też bywa lato.
- Jeszcze nie wiem. Przyjechałem pod koniec września.
- Proszę ufać, szefie. Na pewno też tu przyjdzie. I jest piękne.

Rocco Schiavone ruszył w stronę ratraka, który miał go odwieźć do wsi. Stopy przypominały już dwa mrożone filety rybne.

Kiedy Schiavone i Pierron wysiedli przy dolnej stacji kolejki, tłum ciekawskich zdążył się już przerzedzić z powodu zimna i śniegu. Tylko Anglicy trzymali się kupą i wrzeszczeli na całe gardło: *You'll never walk alone*. Rocco popatrzył na nich. Czerwoni na gębach, oczy im się kleiły od wypitego piwa.

Wkurzył się. Jeszcze pamiętał 30 maja 1984 roku. Conti i Graziani oddawali jeden za drugim idiotyczne strzały obok bramki, a Liverpool zgarnął czwarty puchar Ligi Mistrzów.

– Pierron, każ im być cicho. Tam na górze leży trup, trochę szacunku, do kurwy nędzy!

Pierron ruszył porozmawiać z Anglikami. Przeprosili grzecznie, uściśli mu dłoń i ucichli. Rocco był niezadowolony. Po pierwsze dlatego, że go wkurzyli, a awantura pomogłaby mu się rozładować. Po drugie dlatego, że Pierron znał angielski. Schiavone z trudem umiał powiedzieć: *Imagine all the people*, zdanie równie bezużyteczne w jego ojczyźnie, jak i w Anglii.

– Italo, znasz angielski?

– No niby tak, ale wie pan – dodał przepraszającym tonem – w dolinach wszyscy mówimy po francusku, a w szkole porządnie uczą nas angielskiego. Żyjemy z turystów. A szkoły w Val d'Aosta są naprawdę świetne. Uczymy się języków, technik bankowych, jesteśmy w awangardzie...

– Pierron! – przerwał mu Schiavone. – Kiedy wy siedzieliście w jaskiniach i iskaliście sobie wszy, w Rzymie już było pełno pedałów!

Przyspieszył kroku. Pierron pokręcił głową.

– Co robimy, wracamy do miasta?

– Chcę pogadać z facetem, który znalazł zwłoki – odpowiedział Rocco i ruszył w stronę budynku, gdzie znajdowały się biura wyciągu.

Italo szedł za nim jak myśliwski pies.

W siedzibie firmy Monterosa Ski o tej porze było pusto. Tylko w holu siedziała jakaś dziewczyna w garsonce i policjant w kombinezonie narciarskim. Jarzeniówki oświetlały ich twarze. Policjant był mocno opalony jak ktoś, kto spędza wiele godzin na powietrzu, dziewczyna za to blada i wycieńczona. Z lekką nadwagą, ale kształtna, nie do pogardzenia, pomyślał Rocco, gdy weszli z Pierronem przez szklane drzwi.

Policjant poderwał się i stanął na baczność. Pod stopami miał małą kałużę, śnieg przyklejony do narciarskich butów zdążył stopnieć, znak, że facet siedzi tam już dłuższy czas.

– Posterunkowy De Marinis.
Rocco zmierzył go wzrokiem.
– Dlaczego nie zabezpieczasz miejsca zabójstwa z kolegą Cacioppolo?
– Towarzyszyłem Amedeowi, temu, który odnalazł zwłoki – usprawiedliwił się policjant.
– Nie jesteś niańką. Bierz narty i idź pomóc.
– Tak jest, szefie!
Stukając butami, De Marinis wyszedł z biura.
– Gdzie on jest? – Rocco zapytał dziewczynę.
– Amedeo jest tam, proszę wejść. – Wskazała drzwi za swoimi plecami.
– Zrobiłam mu herbaty.
– Świetnie, Margherito – powiedział Rocco, odczytując imię z plakietki przypiętej do klapy żakietu. – My też poprosimy o herbatę.
Dziewczyna kiwnęła głową i wyszła.
Amedeo siedział na fotelu obitym skajem. Miał podpuchnięte oczy i przyklepane włosy. Czapkę i rękawiczki położył na stole, wzrok wbił w podłogę. Rocco i Italo wzięli dwa krzesła na kółkach i siedli naprzeciwko niego. Wreszcie Amedeo podniósł oczy.
– Kim jesteście? – zapytał cicho.
– Wicekwestor Schiavone. Dasz radę odpowiedzieć na parę pytań?
– Rany boskie, nie mogę w to uwierzyć. Usłyszałem stuk i...
Rocco przerwał mu ruchem dłoni.
– Bądź tak miły i mów po kolei. No więc pracujesz na tych, no, ratrakach, tak?
– Tak, od paru miesięcy, Luigi, czyli szef, załatwił mi tę pracę. To mój dobry kumpel.
– Ten, co nas wiozł na górę – dodał Italo.
Rocco przytaknął.
– Dopiero co skończyłem trasę na górze. Dalej zaczynała się ściana i...
– Ściana? – powtórzył Schiavone, krzywiąc się.
– Jak trasa robi się bardzo stroma, tak się ją nazywa. Ściana. Albo czarna trasa.
– Mów dalej, Amedeo.
– Ściana jest za stroma. Nie ubija się jej, jest niebezpieczna, wąska, jeśli ktoś nie ma doświadczenia, może się to źle skończyć. Na szczęście Luigi wezwał mnie na dół, powiedział, żebym zrobił końcówkę trasy blisko wioski.
– No i?
– No i zjechałem. Tylko że na dół nie wraca się przez świeżo ubite trasy. Jedzie się skrótem koło Crestu.
– Wszyscy z niego korzystacie?

– Z czego?

– Z tego skrót.

– Pod koniec zmiany, inaczej byśmy popsuli to, co zostało zrobione. Skończyłem pierwszy, bo mam najmniej doświadczenia. Najpierw jedzie się przez Crest, czyli tę małą osadę. Tam przy fontannie zaczyna się skrót, który prowadzi przez las do doliny.

– I tam trafiłeś na trupa.

Amedeo spuścił wzrok i nie odpowiedział.

– A w którym miejscu kończy się ten skrót? – zapytał Rocco.

– Pośrodku trasy prowadzącej do wioski. Tę kończymy jako ostatnią.

– Rozumiem. Najpierw zjeżdżacie pojedynczo, a potem ostatni ją ubija, żeby była gotowa na następny dzień – podsumował Rocco. – Czyli gdyby nie ty, to ktoś inny najechałby na tego trupa. Miałeś pecha, że byłeś pierwszy, Amedeo.

– No tak.

– Dobra, wszystko jasne – powiedział Rocco w chwili, gdy weszła Margherita z dwoma parującymi plastikowymi kubkami.

Wziął jeden, podziękował i wypił duszkiem. Herbata smakowała płynem do mycia naczyń. Ale przynajmniej była ciepła. Margherita zbierała się do wyjścia, gdy Rocco ją zatrzymał.

– Powiedz mi coś, Margherito.

– Słucham pana.

– Ilu mieszkańców liczy sobie Champoluc?

– Bez turystów?

– Stałych mieszkańców.

– Prawie czterystu.

– Jedna wielka rodzina, nie?

– Tak, wszyscy są jakoś spokrewnieni. Ja i Amedeo na przykład jesteśmy kuzynami.

Amedeo przytaknął. Wicekwesor nie ciągnął rozmowy, więc Margherita pożegnała się z uśmiechem.

Rocco klepnął kierowcę ratraka w kolano. Italo pierwszy raz widział swojego szefa, jak okazuje jakieś uczucia obcemu człowiekowi. Amedeo podskoczył wystraszony.

– Dobra, Amedeo, idź sobie do domu. Prześpij się, jeśli dasz radę. Wiesz co? Zapal sobie skręta i więcej o tym nie myśl. To nie była twoja wina.

– Nie była. Prowadziłem ratrak, usłyszałem silne stuknięcie i zatrzymałem się. Myślałem, że to korzeń albo może hamulec. A potem cała ta krew. Nie widziałem żadnego trupa na drodze!

Rocco lekko przechylił głowę, potem wyciągnął rękę, wsunął dwa palce do kieszeni kurtki chłopaka i wyjął paczkę bibulek Rizla.

– Nie widziałeś, a może sam byłeś ujarany w trupa? – Rocco powąchał bibułki. – Trawka. Trawka przynajmniej poprawia humor. Ile wypaliłeś, kiedy jeździłeś tam na górze?

– Jednego – jęknął Amedeo.

– I do tego jeszcze parę drinków, co? Kto wie, może ten nieszczęśnik przechodził przez drogę, a ty go w ogóle nie zauważyłeś?

– Nie, proszę pana. Przysięgam. Ratrak ma siedem reflektorów na dachu, gdyby facet przechodził przez drogę, tobym go zauważył.

Amedeo patrzył wystraszonym wzrokiem to na Rocca, to na Itala, szukając zrozumienia.

– Kiedy wysiadłem, myślałem że rozjechałem kurę, indyka, chociaż tam na górze nikt nie trzyma kur i indyków. Ale wszędzie fruwały pióra. Chmura piór.

Rocco lekko się uśmiechnął.

– To mogła być pierzyna z Ikei, nie?

– Niech mi pan wierzy, nie widziałem go!

– Skąd, kurwa, wiesz, że to człowiek? – krzyknął Rocco i jego nagła zmiana tonu przestraszyła nawet Pierrona.

Amedeo skurczył się na swoim krześle.

– Nie wiem, tak sobie powiedziałem.

Rocco wpatrywał się w chłopaka z dziesięć sekund. Amedeo pocił się. Ręce kurczowo ściskające brzeg stolika drżały.

– Amedeo Gunelli, uważaj, bo jak odkryję, że go przejechałeś, to będzie zabójstwo umyślne. Zaliczysz ładnych parę lat w pierdlu, wiesz o tym?

– Pan wicekwestor ma na myśli więzienie – przetłumaczył Italo, który po czterech miesiącach znajomości zaczynał co nieco rozumieć z dialektu rzymskiego.

Szczęka Amedea opadła, jakby ktoś ją odwiązał z haka.

– Pamiętaj o jednym, Amedeo – powiedział Rocco, wstając z krzesła.

– Policja może być twoim przyjacielem albo najgorszym koszmarem. Zależy od ciebie.

Na dworze hulał lodowaty wiatr. Italo podbiegł truchcikiem do wicekwestora.

– Dlaczego pan tak powiedział? Sądzi pan, że to on go przejechał?

– Chciałbym, żeby to było takie proste. Mielibyśmy sprawę z głowy. Nie, to nie on go załatwił. Na ratraku z przodu nie ma śladów uderzenia ani zarysowań. Gdyby go przejechał, coś by było widać. A tu nic.

– No więc dlaczego? – nalegał Italo, który niczego nie rozumiał.

– Widzisz, Italo, jeśli ich wystraszysz, będą bardziej dyspozycyjni. Ten chłopak jest w porządku, może nam się przydać. Lepiej, żeby się nas bali, uwierz mi.

Italo przytaknął ze zrozumieniem.

– Ale jest coś innego, co trzeba wziąć pod uwagę: miał takie mocne reflektory, ale nie zobaczył ciała leżącego na ziemi. Nad tym trzeba podumać.

– To znak, że zwłoki były przykryte śniegiem?

– Tak trzymaj, Italo. Zaczynasz kojarzyć fakty.

Rocco i Pierron właśnie mieli wsiąść do samochodu, kiedy dziesięć metrów od nich zahamowała granatowa lancia gamma.

Rocco wzniósł oczy do nieba. Równanie było oczywiste: granatowa lancia równa się prokuratura.

Z samochodu wysiadł nieduży facecik – najwyżej metr siedemdziesiąt – owinięty w sięgającą do kolan puchówkę. Futrzana czapka wpadała mu na oczy. Szybkimi krokami podszedł do policjantów, wyciągając rękę.

– Baldi. Witam.

Rocco uścisnął dłoń.

– Schiavone, wicekwesor, lotna brygada.

– Powie mi pan, co tutaj mamy?

Rocco zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. Facet wyglądał, jakby dopiero co wrócił z frontu rosyjskiego.

– Pan jest prokuratorem?

– Nie, jestem pańską babcia. Jasne, że jestem prokuratorem.

Nieźle się zaczyna, pomyślał Rocco.

Prokurator Baldi był jeszcze bardziej wkurwiony niż on. Miał akurat dyżur i cała ta upierdliwa sprawa spadła właśnie na niego. Schiavone poczuł lekką satysfakcję, że nie tylko jemu zepsuto miły, spokojny wieczór i posłano w śnieg na wysokość tysiąca pięciuset metrów.

– Na gorze mamy zwłoki. Mężczyzna między czterdziestym a pięćdziesiątym rokiem życia.

– Kto to?

– Gdybym wiedział, podałbym panu imię i nazwisko.

– Żadnych dokumentów?

– Żadnych. A płci raczej można się domyślić, nie wiem, czy wyrażam się jasno.

– Nie, nie dość jasno. I niech pan nie robi uników, tylko zmierza do sedna. Proszę mi opisać wszystko dokładnie, bo i tak już mam dość tej sytuacji. No więc dlaczego można się tylko domyślić, że to mężczyzna?

Schiavone odchrząknął.

– Bo po zwłokach przejechał ratrak i rozszarpał je frezem. Głowa została zmiażdżona, co się wiąże z wypłynięciem mózgu, z klatki piersiowej wy dostały się na zewnątrz strzępy płuc i innych wnętrzości, nawet Fumagalli, nasz anatomopatolog, nie jest w stanie dobrze ich rozpoznać. Jedna dłoń znajduje się dziesięć metrów od reszty, ramię zostało oderwane, nogi są wygięte w nienaturalny

sposób, jasne więc, że zostały złamane w wielu miejscach. Żołądek jest poskręcany w krwawą płataninę...

– Dość tego – krzyknął prokurator. – Jaja pan sobie robi?

Rocco uśmiechnął się.

– Prosił mnie pan o szczegółowy opis tego, co tam mamy na górze, no to daję opis.

Maurizio Baldi kiwnął głową parę razy, rozglądając się, jakby szukał pytania, które mógłby zadać, albo odpowiedzi, której mógłby udzielić.

– Będę w prokuraturze, tam się zobaczymy. Mam nadzieję, że to wypadek.

– Też bym chciał, ale nie sędzę.

– Dlaczego?

– Tak czuję. Już dawno nie miałem farta.

– I komu pan to mówi. Wszystkiego bym chciał, tylko nie zawracać sobie dupy zabójstwem.

– Zgadzam się.

Prokurator spojrzał na wicekwestora.

– Mogę panu coś doradzić?

– Jasne.

– Jeśli jest tak, jak pan mówi, i nie był to wypadek, będzie musiał pan tu pracować. W takim ubraniu grozi panu amputacja rąk i nóg z powodu odmrożenia.

Rocco skinął głową.

– Dzięki za radę.

Prokurator spojrzał mu w oczy.

– Znam pana, Schiavone, sporo o panu wiem. I ostrzegam: tylko bez głupot.

– Nigdy ich nie robiłem.

– Słyszałem co innego.

– Do zobaczenia w okopach nad brzegiem Donu.

– Wcale mnie to nie śmieszy.

Rocco, nie uściskawszy prokuratorowi ręki, wrócił do samochodu, obok którego czekał Pierron. Maurizio Baldi ruszył w stronę stacji kolejki. Na jego wargach wyzierających spod futrzanej czapki błąkał się lekki uśmieszek.

– Prokurator Baldi, prawda? – zapytał Pierron.

Rocco nie odpowiedział. Nie było potrzeby.

– Jest trochę zwariowany, wie pan? – rzucił Italo, wsiadając do samochodu.

– Zechcesz łaskawie zapalić silnik i zabrać mnie stąd czy mam wołać taksówkę?

Pierron błyskawicznie wykonał rozkaz.

Jest godzina zero czterdzieści pięć. Nie można tak wracać do domu za piętnaście pierwsza w stanie prawie zamrożonym. Ledwo otwieram drzwi, orientuję się, że zostawiłem zapalone światła. W przedpokoju i łazience. Za

piętnaście pierwsza, a ja gapię się w przemarznięte stopy. Buty i skarpetki do wyrzucenia. Zresztą mam jeszcze trzy pary clarksów. Paluch u nogi dalej jest siny. Co za kretyn z tego D'Intina. Muszę załatwić jego przeniesienie, jak najszybciej. Od tego zależy moja równowaga psychofizyczna. Czy kiedykolwiek ją miałem?

Puszczam wodę. Zanurzam stopy. Woda jest gorąca. Tylko że ja to zauważam dopiero po trzech minutach. Kieruję strumień na kostki, pomiędzy palce, na siny paznokieć. Przynajmniej mnie nie boli.

– Będziesz miał odmrożenia.

Odwracam się.

To Marina. W koszuli nocnej. Chyba ją obudziłem. Jeśli jest coś, co mi przeszkadza (tylko coś? tysiące rzeczy), to budzenie żony. Śpi jak kamień, ale ma chyba szósty zmysł, bo wyczuwa, jak chodzę po domu.

– Cześć, kochanie.

Patrzy na mnie zaspanymi szarymi oczyma.

– Obudziłeś mnie.

– Wiem, przepraszam.

Z założonymi rękoma opiera się o framugę. Jest gotowa mnie wysłuchać. Chce wiedzieć.

– Znaleźliśmy zwłoki pośrodku trasy narciarskiej, pod śniegiem. W Champoluc. Niezły kłopot, kochanie.

– To znaczy, że na jakiś czas się tam przeniesiesz?

– Za żadne skarby. To tylko godzina samochodem. Mam nadzieję, że to był wypadek.

Marina patrzy na mnie. Trzymam stopy zanurzone w bidencie, który paruje jak garnek z wrzątkiem na makaron.

– Ale jutro masz sobie kupić dobre buty. Bo jak nie, to za parę dni będą musieli ci amputować stopy z powodu odmrożenia.

– To samo powiedział prokurator. A ja brzydzę się tak zwanych odpowiednich butów.

– Jadłeś coś?

– Zeschłą pizzę po drodze.

Marina znika za drzwiami. Poszła spać. Wycieram stopy i idę do kuchni. Ten dom wynajęty z gotowym wyposażeniem też mnie brzydzi. Kuchnia to jedyne przyzwoite miejsce. Nigdy nie rozumiem tego, jak ludzie urządzają sobie mieszkania. Całość wygląda żałośnie, tylko na kuchnię wydają górę pieniędzy i wypełniają ją sprzętem, piekarnikami, mikrofalówkami, zmywarkami, człowiek się czuje jak na promie kosmicznym. Tymczasem w salonie sztuka uboga i reprodukcje obrazów z pajacami na ścianach. Dziwne.

Czasami porównuję to mieszkanie ze swoim w Rzymie. Na Janikulum. Patrzę na miasto i kiedy zawieje wiatr, widzę Świętego Piotra, piazza Venezia, a w tle

góry. Furio radził, żebym je wynajął, a nie zostawiał puste. Ale nie mam na to ochoty. Nie mogę sobie wyobrazić, że jakieś obce stopy chodzą po klepce, którą wybrała Marina, cudze ręce otwierają szuflady w indyjskich kredensach, które kupiliśmy razem wiele lat temu w Viterbo. Nie mówiąc już o łazienkach. Obce dupy siedzące na moich sanitariatach i twarze przeglądające się w moich meksykańskich lustrach. Nie ma mowy. Biorę sobie butelkę wody. Bo znów się obudzę w środku nocy z gardłem i językiem suchymi jak papier ścierny.

Marina leży pod kocem. Jak zawsze czyta sobie słownik.

– Nie za późno na czytanie?

– Inaczej nie zasnę.

– Co dzisiaj nowego?

Marina bierze czarny notes, który trzymała na podolku wraz z ołówkiem. Otwiera w założonym miejscu i czyta: Dziergać. Czasownik przechodni. Szyć albo haftować coś. Oznacza też pracę igłą bez szczególnego zaangażowania. Odkłada notes.

Materac jest wygodny. Tworzywo wynalezione przez NASA dla astronautów w latach sześćdziesiątych. Nazywa się memory. Otula cię jak rękawiczka, bo zachowuje kształt ciała. Tak pisali w folderze.

– Czy można powiedzieć, że tu w Aoście sobie dziergam? – pytam Mariny.

– Nie, nie jesteś krawcową. To ja się znam na szyciu.

Materac jest wygodny. Ale łóżko wydaje się lodowate. Przytulam się mocno do Mariny. Szukam ciepła. Ale jej połowa jest tak samo lodowata jak moja.

Zamykam oczy.

I zamykam ten gówniany dzień.

Piątek

Dzwonek telefonu świdrował ciszę, którą w mieszkaniu wicekwestora Schiavonego przy rue Piave zapewniały szczelne okna i brak ruchu samochodowego pod nimi. Rocco podskoczył i otworzył szeroko oczy. Pomimo jazgotania telefonu na komódce udało mu się zebrać myśli. Było już rano, był w swoim domu, w łóżku, po tym jak spędził kawał nocy na śniegu. I nie leżał pod Evą Mendes, która miała tylko parę megawysokich szpilek i z rozwianym włosom gibała się w tańcu. Ten obraz był już tylko zwiewną pajęczyną wspomnienia, którą telefon unicestwił swoim oszalałym wrzaskiem.

– Kto mi tu dupę zawraca o siódmej rano?

– Ja.

– Ja kto?

– Sebastiano.

Rocco uśmiechnął się, przeciągając dłonią po twarzy.

– Sebastiano, jak się masz?

– Dobrze, dobrze. – Zakatarzony głos kumpla zabrzmiał teraz znajomo.

– Przepraszam, jeśli obudziłem.

– Nie słyszeliśmy się parę miesięcy.

– Cztery miesiące i dwanaście dni, tak dla ścisłości.

– Jak się czujesz?

– Dobrze, dobrze.

– Co porabiasz?

– Wpadnę do ciebie tam na północ.

Rocco poprawił się na materacu z pianki memory.

– Przyjedziesz? A kiedy?

– Jutro wieczorem. Przyjadę pociągiem z Turynu o siódmej. Będziesz?

– Jasne, że będę. Widzimy się na dworcu.

– Super. Zimno tam?

– Co mam ci powiedzieć, Seba, jak cholera.

– To puchówkę wezmę.

– I buty ocieplane, bardzo dobrze ci radzę – dodał Rocco.

– Nie mam, a ty jakie buty tamnosisz?

– Clarksy.

– I co, są ocieplane?

– Nie. Dlatego ci radzę, kup sobie takie. Zamiast stóp mam dwa sople lodu.

– No to czemu sam sobie nie kupisz?

– Bo się brzydzę.

– Rób, jak chcesz, ja skoczę do Decathlonu i sobie kupię. To do jutra?

– Do jutra.

Sebastiano się rozłączył. Rocco rzucił telefon na koldrę. Jeśli Sebastiano Cecchetti, zwany przez kolegów Sebą, przyjeżdżał aż do Aosty, sprawa robiła się całkiem interesująca.

Kiedy Rocco wszedł do komendy kwadrans po ósmej, na spotkanie wyszedł mu od razu posterunkowy Michele Deruta. Przebierał nóżkami tak szybko, jak mu pozwalało ponad sto kilo wagi, sapiąc przy tym jak lokomotywa. Był spocony na brodzie, rzadkie białe włosy, artystycznie zaczesane, żeby ukryć łysinę, błyszcząły od jakiegoś żelu czy oliwki.

– Proszę pana?

Rocco zatrzymał się pośrodku korytarza.

– Masz wilgotne twarz i włosy. Dlaczego jesteś cały mokry? Wsadziłeś głowę do beczki z oliwą?

Deruta wyciągnął chustkę i starał się wytrzeć.

– Nie wiem, proszę pana.

– A jednak jesteś mokry. Myjesz się rano?

– No jasne.

– Ale się nie wycierasz.

– To nie tak. Przed pracą pomagam żonie w piekarni.

Deruta, już bliski emerytury, zaczął opowiadać o piekarni pod miastem, o pracy przed świtem, o drożdżach i mące. Rocco Schiavone go nie słuchał. Patrzył na jego wilgotne, lekko opadające usta, siwe włosy i wyłupiaste wole oczy.

– Nie to mnie zaskakuje – powiedział wicekwesor, przerywając posterunkowemu jego monolog – że pracujesz w piekarni żony. Nadzwyczajne jest to, że w ogóle masz żonę.

Deruta zamilkł. Nie oczekiwał pochwał za codzienne poświęcenie w dwóch miejscach pracy, ale jakiegoś dobrego słowa, w rodzaju: „Przemęczasz się, Deruta, dobry z ciebie człowiek” albo „Szkoda że nie ma więcej takich ludzi jak ty”. Ale nic z tego. Pogardliwe lekceważenie to wszystko, co miał dla niego przełożony.

– Oprócz tego, że pracujesz na dwóch etatach, masz mi coś ważnego do powiedzenia? – zapytał wicekwesor.

– Szef już dziś trzy razy pana szukał. Musi spotkać się z prasą.

– No więc?

– Wcześniej chce się dowiedzieć wszystkiego od pana.

Rocco skinął głową i ruszył dalej, w ślad za nim potruchtał na małych stópkach Deruta. Kiedy się patrzyło, jak te sto kilo podskakuje na stopach rozmiaru trzydzieści dziewięć, można się było spodziewać, że w każdej chwili się przewróci i poturla po ziemi.

– Komendant wyjechał, nie ma sensu iść do niego na górę. Musi pan zadzwonić.

Rocco zatrzymał się, odwrócił się i popatrzył na Derutę.

– Zrozumiałem. Posłuchaj, są dwie sprawy. Po pierwsze, zacznij coś ćwiczyć i przejdź na dietę. Po drugie, mam dla ciebie ważne zadanie. – Zmrużył oczy i spojrział wprost na policjanta. – Bardzo ważne, mogę ci zaufać? Dasz radę?

Deruta wybałuszył oczy, które stały się jeszcze większe.

– Jasne, proszę pana! – Wyszczrzył w uśmiechu trzydzieści dwa zęby. A raczej dwadzieścia cztery, bo w jego uzębieniu były pewne luki. – Jasne, komisarzu Schiavone, może mi pan ślepo zaufać!

– Weź sobie, kurwa, znajdź dentystę!

– Naprawdę? – Deruta zasłonił sobie usta. – Wie pan, ile to kosztuje? Nie stać mnie z moją pensją.

– Niech ci żona da pieniądze.

– Są potrzebne dla córki, studiuje weterynarię w Perugii.

– Aaa, rozumiem, szykujecie sobie lekarza rodzinnego. Super!

Wszedł do pokoju, zatraskując drzwi przed nosem podwładnego, który jeszcze nie do końca rozgryzł sens ostatniego zdania.

W dawnych, jeszcze licealnych czasach Rocco przeczytał, że jakiś filozof, chyba Hegel, określił gazetę „poranną modlitwą nowoczesnego człowieka”. Dla niego tymczasem modlitwą poranną było zwinięcie sobie skręta z trawą, co pozwalało mu pogodzić się na nowo z życiem i z czteromiesięcznym już oddaleniem od Rzymu. Bez możliwości powrotu.

Nie miał pretensji do Aosty. To było bardzo ładne, cywilizowane miasto z kulturalnymi mieszkańcami. Ale to żadna różnica, mogliby go zesłać równie dobrze do Salerno, Mantui czy Wenecji. Skutek byłby ten sam. To nie miejsce go przygnębiało. Najbardziej brakowało mu rodzinnego domu, obejścia, w którym toczyło się całe jego życie, własnej budy.

Wyjął kluczyk spod oprawionego w ramki zdjęcia Mariny i otworzył pierwszą szufladę po prawej. Trzymał w niej drewniane pudełko z parunastoma grubymi skrętami. Zapalił jednego i kiedy zamykał szufladę, zaciągnął się długo i głęboko.

To dziwne, że taki drobny codzienny gest wystarczał do ukojenia mózgu. Zaciągając się po raz trzeci, poczuł jasność umysłu i zaczął planować dzień.

Po pierwsze zadzwonić do komendanta.

Potem do szpitala.

Potem do Nory.

Odłożył wypalonego w połowie skręta na popielniczkę. Miał już złapać za słuchawkę, kiedy aparat zabrzączał.

– Słucham.

– Mówi Corsi.

Szef.

– Właśnie miałem do pana dzwonić.

- Zawsze pan tak mówi.
- Ale tym razem to prawda.
- To znaczy, że poprzednio pan kłamał?
- Tak.
- No dobra, niech pan opowiada.
- Nic na razie nie wiemy. Nie wiemy, kto to ani dlaczego i jak zginął.
- I co ja mam tamtym powiedzieć?

To nie było tak, że Corsi zapomniał rzeczownika. Po prostu nie wymieniał z nazwy dziennikarzy prasowych. Nazywał ich „tamci”. Prawie jakby się bał skalać usta, używając określającego ich słowa. Nienawidził ich. Byli dla niego formą życia tylko o szczebelek wyższą od ameby, błędem w wielkim planie stworzenia. To dotyczyło dziennikarzy z prasy drukowanej. „Tamtych” z telewizji nie uważał nawet za istoty żywe.

Nienawiść była zakorzeniona w osobistych doświadczeniach. Prawie osiemnaście lat minęło, odkąd żona porzuciła go dla publicysty gazety „La Stampa”. Corsi rozpoczął wtedy swoją obłądną krucjatę przeciwko całej grupie zawodowej, bez względu na rasę, wyznanie i poglądy polityczne.

– Szefie, tyle wiadomo. Może panowie dziennikarze zechcieliby być tak cierpliwi i zaczekali na rozwój śledztwa, bo ja na razie nic więcej nie wiem.

– Tamci nie zaczekają, już się szykują, żeby dobrać mi się do dupy.

– To pana zdanie, dziennikarze pana uwielbiają – powiedział poważnie Rocco.

– Skąd pan wie?

– Słyszę, co się mówi na mieście. Szanują pana. Potrzebują pana.

Zapadła cisza. Corsi rozmyślał nad słowami podwładnego. Rocco uśmiechał się, lubił gmatwać relacje między swoim szefem a tamtymi.

– Niech pan nie opowiada głupot, znam ich. Wyklucza pan, że wczoraj to był wypadek?

– Przy moim pechu? Wykluczam stanowczo.

Andrea Corsi wziął głęboki oddech.

– Kiedy mnie pan wesprze bardziej konkretnymi wiadomościami?

– Powiedzmy czterdzieści osiem godzin?

– Powiedzmy dwadzieścia cztery!

– Niech będzie trzydzieści sześć i załatwione.

– Schiavone, co pan jest, przekupka z Porta Portese? Ma pan dwadzieścia cztery godziny i basta.

– Jutro dzwonię do pana o tej samej porze.

– Akurat, wierzę tak samo jak w to, że moja Sampdoria wygra puchar.

– Jeśli nie zadzwonię w ciągu dwudziestu czterech godzin, przysięgam, że podaruję panu bilety na mecz Genua–Sampdoria.

– Jestem pana przełożonym. Nie potrzebuję pańskich biletów.

I odłożył słuchawkę.

– Szlag by to trafił – zawołał Rocco, przeciągając się.

Czekała go tylko praca, praca i jeszcze raz praca. Tak wyglądało życie w Aoście. Poważni ludzie, poważne miasto zaludnione przez poważnych mieszkańców, którzy ciężko pracują i zajmują się swoim życiem. A jeśli zdarza im się nieco zboczyć z utartej drogi, to wpadają w przerażenie. Koniec z rzymskimi czasami, kiedy towar krążył wte i wewte jak na taśmie montażowej. Koniec dobrych strzałów, okazji. Ile jeszcze miał potrwać ten czyściec? Mieszkał w najbogatszym regionie Włoch, z dochodem na mieszkańca na poziomie Luksemburga, ale przez cztery miesiące niczego na boku nie załatwił. Potem przypomniał mu się Sebastiano. Miał przyjechać jutro. Jeśli w środku zimy chciało mu się wsiadać w samolot do Turynu, a potem w pociąg, to musiał mieć jakiś powód, dobry powód.

Ta myśl zelektryzowała go do tego stopnia, że wstał i zatarł ręce. Dopiero kiedy chwycił za klamkę, przypomniało mu się, że w popielniczkę zostawił niedopałek skręta. Wrócił, schował go do kieszeni i wreszcie wyszedł z biura.

Ulice były jeszcze puste. Pochmurne niebo zapowiadało dalsze śnieżyce, a góry z czarnego wulkanicznego kamienia wyglądały jak potwory gotowe połknąć wszystko dookoła. Italo Pierron prowadził skoncentrowany na drodze. Rocco gadał przez komórkę.

– To wcale nie jest trudne, D’Intino! Posłuchaj dobrze – Rocco wymawiał słowa powoli, jakby gadał do dziecka specjalnej troski. – Sprawdź, czy w Aoście lub okolicach, zwłaszcza w Val d’Ayas, zgłoszono zaginięcie, czyli czy były osoby, które nie wróciły do domu, zrozumiałeś? Nie tylko wczoraj. Powiedzmy, że przez ostatni miesiąc. – Rocco wznosił oczy do nieba. Potem, wciąż z nieskończoną cierpliwością, powtórzył: – Słuchaj, D’Intino: przez ostatni miesiąc, jasne? Bez odbioru.

Nacisnął guzik z czerwoną słuchawką i popatrzył na Itala, który nie odrywał wzroku od drogi.

– Ten D’Intino jest taki głupi czy tylko udaje?

Italo uśmiechnął się.

– Skąd jest?

– Z Abruzji, spod Chieti.

– I nie ma tam jakichś pleców, znajomości? Można by załatwić, żeby wrócił i nie zawracał nam dupy?

– Nie wiem.

– Wszyscy we Włoszech mają jakieś plecy, są z polecenia, a mnie się musiał trafić upośledzony dupek na dodatek bez żadnego protektora.

Zostawili samochód na szpitalnym parkingu, pomimo że cieć zabronił im

parkować na miejscu dla ordynatora. Schiavone wyjął tylko legitymację i uciszył nadgorliwego pracownika służby zdrowia. Zeszli po schodach, minęli laboratoria i dotarli do podwójnych szklanych drzwi, za którymi pracował Fumagalli. Do kostnicy.

– Komisarzu Schiavone... – zaczął Italo słabym głosem.

– Co jest?

– Mogę tu na pana poczekać?

– Nie, chodź, nacieszysz oczy razem ze mną. Chciałeś zostać policjantem?

– Tak naprawdę to nie. Ale to długa historia. – Spuścił głowę i poszedł za przelożonym.

Nie trzeba było ściągać płaszcza, bo w sali, gdzie przeprowadzano autopsje, temperatura była mniej więcej taka jak na zewnątrz. Spod kitla Fumagallego wystawał sweter z golfem. Miał lateksowe rękawiczki i coś w rodzaju zielonego śliniaka obryzganego na brązowo.

– A ja czasem narzekam, że mam gównianą robotę – powiedział mu Rocco.

Fumagalli jak zwykle się nie przywitał, skinął tylko na policjantów i zaprowadził ich do małego pomieszczenia obok. Tam wręczył im maseczki, ochraniacze na buty i dziwne papierowe fartuchy.

– Dobrze, teraz za mną.

Pośrodku stał stół do autopsji, na nim zwłoki litościwie okryte białą płachtą.

W pomieszczeniu słychać było kapanie wody z kranu i szum wentylacji, która roznosiła mieszaninę strasznych zapachów. Środek odkażający, rdza, zgniłe mięso, jajka na twardo. Italo Pierron poczuł jakby cios w splot słoneczny, pochylił się, zatykając usta dłonią, i uciekł uwolnić śniadanie, które szybko wracało mu przez przelyk.

– Dobra, jak już jesteśmy sami – odezwał się z uśmiechem Rocco – powiedz, popracowałeś nad nim?

– Próbowałem poskładać części. Trafiały mi się prostsze puzzle – odpowiedział lekarz, odsłaniając ciało.

– O kurwa – Rocco jęknął z wrażenia.

To nie było ciało. To były strzępy mniej lub bardziej poskładane, tak by stworzyć coś tylko z lekka przypominającego kształt człowieka.

– Jak ty to robisz?

Fumagalli przetarł okulary.

– Pomalutku, jak restauratorzy zabytków.

– No tak, ale oni składają dzieło sztuki, na które miło popatrzeć.

– To też jest dzieło sztuki – odparł Fumagalli – dzieło boże, nie wiedziałeś?

Tłące się w głowie Rocca podejrzenie, że ustawiczne przymusowe przebywanie ze zwłokami narusza równowagę psychiczną lekarza, stało się pewnością.

– Można tu zapalić? – zapytał, wkładając rękę do kieszeni.
– A jakże. Mam ci zamówić whisky czy wolisz coś lżejszego? Puścimy muzyczkę lounge? Jeśli chcesz, to możemy zacząć.

Anatomopatolog wskazał na kawałek klatki piersiowej trupa z prawej strony.

– Ma tatuaż.

Napis i znaki, których Rocco nie umiał odszyfrować.

– Co tam jest napisane?

– *Maa widwiszaawahai* – odpowiedział Alberto. – Na szczęście udało mi się przeczytać.

– A co to?

– Hinduska mantra. Znaczy mniej więcej: „Niech między nami nie wyrośnie żadna przeszkoda”.

– Skąd wiesz?

Alberto uśmiechnął się zza grubych okularów.

– Umiem zdobyć informacje.

Twarz zmarłego była zmasakrowana. Z czarno-czerwonej miazgi, która przypominała Roccowi obraz jakiegoś ważnego włoskiego malarza, którego nazwiska akurat nie pamiętał, wystawały zęby, fragmenty wargi, żółtawe włókna.

– Pierwsze, co mnie dziwi, to to – zaczął Alberto, podnosząc skrawek chusty, która zapewne kiedyś była bandaną.

– Rzeczywiście bardzo dziwna – powiedział Rocco – kawałek chusty, nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Skończ już z tą łatwą ironią, dobra?

– Dobra, ale sam zacząłeś z whisky i muzyczką.

– No więc tę chustę zmarły miał w tchawicy.

– W czym?

– W tchawicy.

– A nie było tak, że ratrak ją tam wcisnął, przejeżdżając mu po twarzy?
– zasugerował Rocco.

– Nie, była zwinięta w kulkę. A kiedy ją rozwinąłem, zobacz, co było w środku.

Alberto Fumagalli sięgnął po metalową miseczkę, w której leżało coś fioletowego i obślizgłego z dwiema białymi pastylkami obok.

– Co to? Zgniły bakłażan?

– Język.

– Ożeż...

– A do tego dwa zęby. Widzisz? To, co wygląda na tic-taki. Ratrak zmiażdżył biedakowi głowę i pod naciskiem chustka przesunęła się w dół. Miał to w ustach.

– Ktoś go zmusił, żeby ją połknął?

– Albo sam połknął.
– Ale jeśli sam połknął, to znaczy, że jeszcze żył!
– Być może, być może. – Alberto wziął głęboki oddech. – No więc zbadałem plamy opadowe.

– Przetłumacz.

Fumagalli zirytowany wzniosł oczy do nieba.

– Czego się wkurzasz? Prawo studiowałem, nie medycynę. To tak, jakbym kazał ci wyjaśnić pojęcie zasiedzenia.

– Zasiedzenie to nabycie prawa własności wskutek upływu czasu, jego podstawą jest posiadanie samoistne danej rzeczy lub dobra.

– No, już dość. Wróćmy do tych plam opadowych.

– Opadowych – poprawił go Alberto. – Tworzą się, gdy ustaje praca serca. Nie ma już ciśnienia i krew wskutek grawitacji spływa do naczyń położonych niżej. Ponieważ ciało leżało na płask, to powstały... widzisz? – Ostrożnie uniósł tułów nieszczęśnika, słychać było skrzypienie, jakby ktoś włókł po podłodze meduzę.
– Widzisz te czerwonosine plamy?

Ledwo je można było rozpoznać. Wyglądały na słabe sińce.

– Tak – powiedział Rocco.

– Kiedy serce przestaje pompować, to co się dzieje? Krew idzie najbardziej naturalną drogą, to znaczy taką, jaką narzuca jej siła grawitacji. Kumasz?

– Kumam.

– Dobra. Ciało leżało poziomo, więc krew spłynęła na plecy. Kiedy wczoraj zjawilem się tam na górze, dopiero zaczynały się tworzyć.

– A co to znaczy?

– Te plamy powstają dwie–trzy godziny po śmierci. To znaczy, że biedaczek zmarł mniej więcej trzy godziny przed moim przybyciem. Skoro zjawilem się koło dziesiątej, to znaczy, że zmarł między szóstą a siódmą. Ale raczej bliżej siódmej.

– Nie zmarł, tylko został zabity między szóstą a siódmą.

– Jeśli chodzi o ścisłość, to tak.

Rocco Schiavone wciąż patrzył na rozbabrane szczątki.

– Jeśli chodzi o ścisłość, dasz radę ustalić, jak go zabito?

– Muszę zbadać narządy wewnętrzne. Żeby wykluczyć otrucie lub uduszenie. Potrzebuję trochę czasu. Chodź ze mną. – Lekarz oderwał się od stołu sekcyjnego.

Rocco został jeszcze chwilę i patrzył na masę mięsa i krwi, która kiedyś była twarzą mężczyzny.

– Jak na niego patrzę, to mi się kojarzy z obrazem tego, no, pamiętasz, co to za malarz? Ten, co robił czarne smugi na czerwonym tle i co...

– Burri – odpowiedział Alberto, otwierając szufladę biurka koło drzwi.

– Miałem to samo skojarzenie.

– No właśnie, Burri. – Rocco podszedł do lekarza. – Jak ktoś chce sobie coś przypomnieć i to coś nie przychodzi do głowy, to można spalić mnóstwo neuronów. Burri. Co to? – zapytał anatomopatologa, który pokazywał mu foliową torebkę.

– Tu mam resztki chusty. Wystawały z ust.

– Obcięły ją frezy ratraka? Wydaje mi się dziwne.

– Moja robota to czytać zwłoki. Twoja to zrozumieć, dlaczego stały się zwłokami.

Rocco oderwał się od ściany i chwycił za klamkę.

– Poczekaj, jest jeszcze coś, co cię zainteresuje. – Lekarz wyjął kolejne dwie torebki. Jedna zawierała rękawicę, druga paczkę papierosów. – Znalazłem je w wewnętrznej kieszeni kurtki. Pusta paczka po marlboro light. A to rękawiczka. Narciarska, czarna, marki Colmar.

– No dobra, jedną rękawicę już mamy. A co z drugą?

– Bo ja wiem?

– Wiesz co, to jest upierdliwość dziesiątego stopnia z nawiązką.

– To znaczy?

– Największa z możliwych upierdliwości.

Klnąc pod nosem, Rocco przeszedł przez drzwi i zostawił lekarza z jego pacjentami.

Italo stał pod szpitalem i palił papierosa. Rocco go wyminął.

– Bardzo mi pomogłeś, Italo.

Policjant rzucił niedopałek i poszedł za wicekwestorem.

– To przez ten absmak w ustach.

– Skoro będzie ci teraz jechało z gęby jak z kratki ściekowej, to proszę, powstrzymaj się od mówienia w samochodzie.

– Mam gumę do żucia.

– To ją sobie zjedz – warknął Rocco, wsiadając do auta.

Nie ujechali nawet pięćdziesięciu metrów, kiedy zadzwoniła komórka.

– Kto mówi?

– Szeffie, tu D’Intino.

– Jakież dobry wiatr cię niesie? – zapytał Rocco, zapalając kolejnego chesterfielda wziętego od Itala.

– Wieje jakiś wiatr? – zdziwił się zdezorientowany D’Intino.

Rocco westchnął i cierpliwie wyjaśnił:

– Nie. Nie ma żadnego wiatru, to tylko tak się mówi. Czego chcesz?

– No więc dzwonię, żeby powiedzieć... – i połączenie się zerwało.

– Halo, D’Intino? Halo?

Po drugiej stronie trzaski i świsty.

– Posterunkowy D’Intino, jesteście tam?

– Tak, słucham?

– Nie słuchaj, tylko gadaj. Po co dzwoniłeś?

– No więc szukałem wedle pana polecenia, czy ktoś zgłaszał zaginięcie, czy ktoś wyszedł i nie wrócił do domu, takie sprawy.

– I co?

– Nie było takiej potrzeby. Niedawno Luisa sama się zgłosiła na komisariat. Rocco powstrzymał się od ciężkiego bluzgu.

– Kto to jest ta Luisa? – wrzasnął.

– Luisa Pec, mówi, że jej mąż wczoraj wieczorem nie wrócił. Ani dziś rano.

– Gdzie jest?

– A kto to może wiedzieć, proszę pana? Mąż zniknął!

– Gdzie jest Luisa Pec? Nie mąż! – wrzeszczał Rocco. Italo ledwo tłumiał śmiech.

– Tu siedzi, pan poczeka... mam przekazać?

– Nic mi nie przekażesz, D’Intino. – Rocco spojrzał na Itala. – Zabiję go, przysięgam na wszystkich świętych, że zabiję. Słuchaj no, D’Intino, jesteś tam?

– Tak, proszę pana.

– A zatem – Rocco zrobił dwa głębokie wdechy, żeby się uspokoić – bądź grzeczny i poproś panią Pec, żeby poczekała na komisariacie, bo zaraz tam dojedziemy. Jasne?

– Tak jest. Jasne. Już dojeżdżacie. A skoro nie muszę już szukać zgłoszeń o zaginięciu, mogę iść sprzątać teczki w dziale personalnym, bo Malta jest chory i pomyślałem...

– Nie, szukaj dalej. Nie jest wcale powiedziane, że ta Luisa Pec ma dla nas to, o co nam chodzi, nie?

– Prawda, ma pan rację, komisarzu.

– Spierdalaj, D’Intino!

– Tak jest!

Rocco rozłączył się. Spojrzał na Itala.

– Mąż nie wrócił do domu, a ludzie od razu myślą o najgorszym. A może ten facet siedzi u jakiejś dziwki.

Italo przyspieszył.

– Szefie, jeśli pan chce, to ja pogadam z D’Intinem i powiem, żeby więcej do pana nie dzwonił.

– Daj spokój. Nie zrozumiałby. Ten facet to moja nemezis. Wiesz, kiedy zrobisz coś nie całkiem w porządku. Istnieje boska sprawiedliwość. Ja teraz płacę. D’Intino to środek, jakiego Bóg użył, żeby mnie pokarać. Każdy musi pogodzić się z losem!

– A co pan takiego zrobił?

Rocco zgasił papierosa w popielniczce i spojrzał na Itala.

– Parę rzeczy już wiesz. Grzebałeś w kartotece.

Italo przełknął ślinę.

– To normalne, sam bym tak zrobił. Powiedzmy, że nie byłoby dobrze, gdybym dłużej siedział w Rzymie. Decyzje z góry.

– Rozumiem.

– Nic nie rozumiesz, ale tyle musi ci wystarczyć.

Pierwsze, co go uderzyło, to oczy Luisy. Błękitne i wielkie. Wraz z owalem twarzy i blond włosami z miedzianym połyskiem upodobniały ją do pewnej włosko-angielskiej aktorki.

– Greta Scacchi – szepnął do Pierrona, podchodząc do siedzącej na ławce kobiety.

– Że co?

– Podobna do Greta Scacchi. Aktorki. Znasz ją?

– Nie.

Wyciągnął rękę na przywitanie, a kobieta wstała, wyciągając swoją.

– Wicekwestor Rocco Schiavone.

– Luisa Pec.

Miała twardą, pełną odcisków skórę dłoni, co ostro kontrastowało z delikatnością twarzy i miękkimi kształtami ciała. Lekkie rumieńce sprawiały, że roztaczała aurę zdrowia i dobrobytu.

– Proszę za mną do biura, pani Pec.

Luisa i Rocco ruszyli korytarzem.

– A więc pani mąż nie wrócił?

– Nie, dziś w nocy nie wrócił.

– Proszę wejść. – Otworzył jej drzwi.

Od razu wyczuł zapach marihuany i rzucił się do okna, by je otworzyć. Skinął na Luisę, żeby siadła na krześle przed biurkiem. Mógł teraz uważniej się jej przyjrzeć. Oczy miała zgaszone, głęboko podkrążone, jakby pod nimi przebiegały dwa głębokie rowy. Była wcieleniem strachu, ale i tak potrafiła być piękna.

Rocco usiadł na skórzanym fotelu z wysokim oparciem.

– Słucham panią. – Oparł łokcie o blat biurka.

– Mój mąż nie wrócił wczoraj wieczorem.

– Tę kwestię już zdążyliśmy sobie naświetlić. Jak się nazywa mąż?

– Leon. Leon Micciché.

– Micciché. To nie jest nazwisko typowe dla ludzi z tych gór.

– Ma pan rację, pochodzi z Katanii.

– Gdzie mieszkacie?

– Mamy chatę w Cuneaz.

– Gdzie to?

– Nad górnym krańcem tras, trzysta metrów od stacji kolejki gondolowej.

Jest tam parę domów, jakby wioska, nazywa się Cuneaz. Tam mamy schronisko. Wczoraj wieczorem Leon zszedł w dolinę do wsi. Zawsze schodzi na piechotę. Na górę wraca kolejką.

– I nie widziała go pani od wieczora?

– Tak, od wczoraj wieczorem.

Schiavone otworzył szufladkę w biurku. Zachciało mu się zapalić skręta, choćby parę machów, ale wybrał bardziej oficjalnego camela.

– Nie będzie pani przeszkadzać?

– Nie. Ja nie palę, ale Leon tak, i już się zdążyłam przyzwyczać.

– Po co pani mąż schodził do wsi?

– Chodził co drugi dzień. Spotkać ludzi, kupić powieść w księgarni, takie tam.

Rocco zapalił papierosa.

– I wczoraj wieczorem nie wrócił...

– Nie. Usłyszałam, co się stało, i nie zmrużyłam oka. Czy osoba, którą znaleźliście, miała przy sobie papiery?

Rocco zatrzymał ją gestem dłoni.

– Pani Pec, niestety nie jest nam znana tożsamość osoby znalezionej zeszłej nocy.

Luisę ogarnął jeszcze większy strach. Jej oczy zwilgotniały.

– Może mąż przespał się we wsi? Wypił za dużo i...

– Tobo do mnie zadzwonił!

Schiavone uśmiechnął się.

– Proszę pani, jak ktoś jest napruty, to rano nieraz nie wie, gdzie się znajduje, znam to.

– Widzi pan, panie...

– Schiavone.

– Schiavone. Przed przyjściem tutaj obeszłam wszystkie miejsca, w których Leon bywa. Wczoraj wieczorem nikt go nie widział.

Łza spłynęła jej po policzku. Rocco obserwował ją. Pociągały go lekko wygięte w dół usta, które nadawały jej twarzy wyraz zaskoczenia, a zarazem zmysłowości. Łzy i smutek nie pasowały do niej. Ten osobliwy kontrast podniecił wicekwestora. Luisa wytarła sobie oczy rękawem swetra.

– Chce pani wody?

Potrząsnęła głową.

– Nie. Chcę się dowiedzieć, czy mogę pójść obejrzeć ciało, które znaleźliście. Może w ten sposób pozbędę się wątpliwości. Sama w schronisku nie wytrzymam, nie dam rady z tym lękiem.

Rocco podszedł do okna. Wyrzucił niedopałek na ulicę, zamknął okno.

– Proszę mi wyjaśnić, to schronisko, ta chata: co to jest dokładnie? Rodzaj

budy, szalasu?

– Nie, proszę pana, mały bar i knajpka pośród gór. Kiedyś schroniska to były naprawdę schroniska. Dziś to górskie chaty, *chalet*, wie pan? Je się, pije, a wystrój lepszy niż w niejednym butik w Mediolanie.

– To dobry interes?

– Jeśli sezon jest dobry, to tak. Świetny interes.

Rocco oparł czoło o szybę i zagapił się na przyprószony śniegiem chodnik. Przez ulicę przeszła kobieta, trzymając dziecko za rękę.

– Ile się zarabia na takiej chacie?

– A co, chce pan zmienić pracę?

Rocco się zaśmiał.

– Chciałbym. – Odwrócił się do siedzącej przed biurkiem Luisy Pec. – Nie. Chcę tylko zrozumieć. Jestem tu dopiero od paru miesięcy. Przyjechałem z Rzymu i powiedzmy, że ja i góry to są rzeczy równie od siebie odległe... no, jak Rzym i góry.

Wątyły uśmiezek przełamał grymas lęku na twarzy Luisy, jakby ktoś zapalił jej w środku żaróweczkę.

– Cóż, jak to powiedzieć? Dość, żeby żyć na więcej niż godnym poziomie.

Rocco wrócił za biurko.

– Naprawdę chce go pani zobaczyć? To nie jest normalny widok.

Kobieta zagryzła wargi. Potem pokiwała trzy razy głową na tak.

Rocco wstał.

– Twarz jest nierozpoznawalna. Może jeśli...

– Leon ma tatuaż. Na piersi.

Rocco popatrzył w dół, jakby szukał czegoś cennego, co spadło na podłogę. Kobieta wyczuła, że coś jest nie tak. Szary, nieuchwytny cień położył się znów na jej twarzy.

– Co się dzieje, komisarzu? O co chodzi?

– Nie jestem pewien, czy... Dobra, nie ma co. Jaki to był tatuaż?

– Też go mam. Razem go sobie zrobiliśmy. Hinduska mantra. *Maa widwishaawahai*, co znaczy...

– Niech między nami nie wyrośnie żadna przeszkoda – dokończył Rocco, dalej gapiąc się w ziemię.

Oczy Luisy rozszerzyły się jak dwie plamy oliwy.

– Co? Skąd pan...

Potem zrozumiała. I wybuchnęła płaczem.

Darował sobie wyprawę do szpitala. Kazał Caselli odwieźć Luisę Pec do Fumagallego, żeby załatwiła wszystkie procedury, które były do załatwienia. Inspektor Rispoli, jednej z niewielu osób, którym prawie ślepo ufał, polecił zawiadomić prokuratora i komendanta.

Siedział za biurkiem. Na nim, rozłożona jak prześcieradło, leżała mapa doliny Val d’Ayas. Przed biurkiem z kolei miał to, w co go wyposażyło państwo: oto posterunkowy D’Intino ze swoim pustym wzrokiem i starszy posterunkowy Deruta, jak zwykle mokry i z włosami zaczesanymi do tyłu. Inspektor Caterina Rispoli o bystrych niebieskich oczach stała w pewnym oddaleniu od tamtych, jakby chciała zaznaczyć, że ma IQ o wiele wyższe niż koledzy.

Rocco patrzył na obu facetów. Doskonale wiedział, że to, co zaraz im zleci, to zadanie powyżej ich możliwości. Ale wiedział też, że zajmie im sporo czasu, a myśl, że przestaną się kręcić po biurze, wprawiała go w dobry humor.

– No więc słuchajcie. Tak jak ci mówiłem, Deruta, mam dla was ważne zadanie.

Deruta podekscytowany przełknął ślinę.

– To będzie długa, arcytrudna i pełna napięcia robota. Mogą ją wykonać tylko ludzie przytomni, z refleksem i absolutnie dyskretni.

– Niech pan mówi, szefie – przerwał Deruta, który już pękał z dumy.

– D’Intino, Deruta: zrobicie obchód wszystkich posterunków karabinierów, hoteli, pensjonatów, domów do wynajęcia w... – spojrzał na mapkę – Champoluc, Brusson, Antagnod, wszystkich tych gmin dookoła Champoluc w promieniu pięćdziesięciu kilometrów.

– To nam zajmie wieczność – wycedził Deruta przez zęby.

– Tak, dlatego właśnie was wybrałem.

– Nie rozumiem – powiedział D’Intino.

– To żadna nowość. A więc co macie zrobić? Chcę mieć fiszki meldunkowe wszystkich osób, które mieszkały w tych miejscowościach w tym tygodniu. Imiona i nazwiska ludzi wynajmujących domy, pokoje, szopy czy nawet jaskinie.

– Kogo szukamy? – zapytał Deruta.

– Gdybym wiedział, tobym wam podał imię, nazwisko, PESEL, nie? No to ruszajcie. I jeszcze jedno: z komendy będzie koordynować wasze działania inspektor Rispoli. Jasne?

– Tak jest – odparła Rispoli.

Deruta i D’Intino posłali jej złe spojrzenia. Inspektor Rispoli wstąpiła do służby dopiero rok temu i już koordynowała.

– Tak więc, Rispoli – ciągnął wicekwesor – siedzisz przy telefonie, faksie i komputerze, odbierasz od naszych ludzi wszystkie informacje i zarządzasz operacją.

– Świetnie.

Rocco spojrzał na obu policjantów.

– Coś wam nie pasuje? Widzę po minie.

Deruta zdobył się na odwagę.

– No, w sumie to ja myślałem, że...

– Ty nie jesteś od myślenia. Masz robić, co każe. I jeszcze ważna sprawa.
– Rocco wziął mapkę i usiłował ją złożyć. Nie udało mu się, wreszcie cisnął nią o ziemię. – Jak się, kurwa, składa te pieprzone mapy!? No więc mówiłem, że mam coś ważnego. Możecie nie uwzględniać rodzin z dziećmi, grup studenckich albo parafialnych. Co do reszty ściągnijcie mi jak najszybciej wszystkie nazwiska. Idźcie w pokoju.

Deruta i D’Intino odwrócili się w stronę drzwi i wyszli. Caterina Rispoli ruszyła za nimi. Rocco zawołał ją z powrotem.

– Niech pani pilnuje Flipa i Flapa.

Caterina zaśmiała się.

– Dobra, spokojna głowa.

Przez cztery miesiące Caterina Rispoli była dla Schiavonego tylko mundurem z krótkimi włosami. Kiedy jednak po stu dwudziestu dniach zobaczył po raz pierwszy jej uśmiech, zrozumiał, że pod pagonami i w służbowym obuwiu kryje się kobieta. Dwudziestoczteroletnia, o dużych oczach z lekko opadającymi powiekami, o piegowatych policzkach, pełnych, choć małych ustach zawsze gotowych do uśmiechu. Na nosie malutki garb, lekka skaza, która dodawała jej uroku. Ciało opakowane w mundur było całe do odkrycia. Ale spojrzenie wicekwestora, przenikliwsze od aparatu rentgenowskiego, szacowało, że także w tej kwestii inspektor Rispoli daje radę. Cycki musi mieć zadarte, mówił sobie w duchu Rocco. Pozostawał tylko do ustalenia jeden szczegół.

– Dobrze, może pani iść.

Caterina Rispoli odwróciła się i jego uważne oko szybko, jak sokół spadający na mysz, uchwyciło krągłe i jędrne pośladki młodej policjantki. Powinien wybadać, czy ma narzeczonego. Miał nadzieję, że tak. Mniej problemów.

Siedząc w barze i popijając kawę, Rocco Schiavone słyszał, jak dzwony w kościele wybijają południe. Nie chciało mu się iść do domu. Nie był głodny. Patrzył w szare niebo, po którym chmury przemykały warstwami jakby w bezsensownym wyścigu.

– Chce pan coś zjeść? – zapytał Ugo, właściciel baru naprzeciw komendy.

Rocco zaprzeczył ruchem głowy. Siedział i gapił się w niebo.

Jak długo jeszcze wytrzyma w tym mieście? Nie było tu nic, co by do niego należało. Cały Rocco Schiavone tkwił w Rzymie od czterdziestu sześciu lat.

Chustka w ustach, myślał. Jeszcze by tego brakowało, żeby sycylijskie klany zaczęły załatwiać porachunki u stóp Monte Rosa.

– Czy można się poddawać? – rzucił Rocco w stronę szyby wychodzącej na ulicę.

Odpowiedział Ugo.

– Jasne, że można. Ale wolę walczyć, niż oddać się w niewolę.

Rocco się uśmiechnął. W tym momencie jego komórka wydała przykry

i przenikliwy sygnał, żeby uprzedzić go, że dostał esemesa.

Podskoczysz do mnie?

To Nora. Zapomniał o niej.

Musiał wybrać, czy jedzie do niej do Duvet, czy do Champoluc, żeby wziąć się wreszcie do roboty. Wybrał pierwszy wariant.

– Mogę zadzwonić? – zapytał, wstając z łóżka.

Nora patrzyła na jego tyłek. Ładny tyłek. Umieśniony, jędrny, krągły. Nogi już nie takie ładne. Zbyt chude jak na faceta, lepiej pasowałyby dziewczynie. Ale przynajmniej były proste. Może Schiavonemu przydałoby się trochę diety i ćwiczeń. Niekoniecznie na mięśnie brzucha, Nora wiedziała, że w pewnym wieku nie da się go dobrze wyrzeźbić, zresztą według badania jednego z tych amerykańskich uniwersytetów na krańcach jakiegoś Ohio to była kwestia genetyczna. Bicepsy całkiem niezłe. Ale dieta i ćwiczenia mogłyby je wyrobić, tak jak sflaczały mięśnie klatki piersiowej.

– Dlaczego nie pochodzisz na siłownię? – zapytała.

Rocco popatrzył na siebie.

– Nigdy nie chodziłem, czemu miałbym teraz zaczynać?

– Tak sobie.

– To mogę zadzwonić?

– Wiesz, że masz ładny nos? – Nora podciągnęła kołdrę, żeby zakryć piersi.

– Długi, spiczasty. Dziwny. Ile ty masz włosów! Jak leciała ta piosenka? – Nora zaczęła podśpiewywać. – Ile włosów masz, nigdy ich nie zliczę, przesun butelkę i...

– No nie, ja tu uświerknę z zimna! Mogę w końcu zadzwonić czy nie?

– Jasne, że możesz.

Rocco ściągnął z łóżka koc, zostawiając ją pod samym prześcieradłem, owinał się nim i poszedł do salonu.

– Ajajaj – zawołała Nora.

Rocco odwrócił się do niej, nie zrozumiał.

– Owinięty w kołdrę wyglądasz jak Apacz.

Zobaczył swoje odbicie w lustrze koło drzwi. Uśmiechnął się. Poprawił sobie włosy.

– Co najwyżej Huron.

Nie mówiąc nic więcej, zniknął za drzwiami sypialni, wlokąc za sobą kołdrę z Ikei. Zawsze tak miał. Po stosunku jego humor robił się czarniejszy od czeluści jaskini. Cztery miesiące znajomości już tego Norę nauczyły. Nie rozumiała za to faz, jakim podlegał ten człowiek: przed kochaniem był nieznośny, potem jeszcze gorzej. Tylko w trakcie chmury się rozstępowały i pojawiało się słońce. Widać było, kim mógłby być Rocco, gdyby życie się do niego częściej uśmiechało.

Ale Nora nie mogła spędzić reszty swoich dni naga, przyklejona do ciała

Rocca Schiavonego, żeby tylko nacieszyć się trochę jego pogodą ducha. Nie, to była historia z bardzo ograniczoną przyszłością. Dobrze o tym wiedziała. I wiedział także on.

– Pan Corsi? Tu wicekwesor Schiavone.

– Świetnie, dzwoni pan przed upływem dwudziestu czterech godzin. Dobre wieści? – Głos kwestora był mocny i dźwięczny.

– Nie wiem, czy są dobre. Trup to Leon Miccichè. Prowadził schronisko, chatę w Cuneaz, nad wyciągami w Champoluc. Wraz z żoną, Luisą Pec, lat trzydzieści dwa, która trochę przypomina Gretę Scacchi.

– Raczej Margheritę Buy.

– Co?

– Przypomina Margheritę Buy, nie Gretę Scacchi – powtórzył komendant.

– Zna ją pan?

– Jasne. Jeżdżę na nartach i często zachodzę do Belle Cuneaz coś zjeść. Robią genialną supę owsianą. Znałem ich obydwójce. Kurde, Leon Miccichè! Co za fatalna wiadomość.

– Przykro mi – powiedział Rocco, czując się jak kretyn. – Jak na razie nie przeprowadzono jeszcze sekcji zwłok, ale już po wstępnych analizach Fumagalli sugeruje zabójstwo.

– Ożeż w dupę – zaklął Corsi, nie kończąc zdania. – A wolno wiedzieć, skąd ma taką pewność?

– Jasne. Leon Miccichè miał zwiniętą chustkę w ustach.

– Chustkę w ustach?

– Skrawek tej chustki został znaleziony w tchawicy. W środku był zawinięty język i dwa zęby. Połknął go, bo tchawica jest nienaruszona. Gdyby trafił tam pod naciskiem ratraka, to tchawica też byłaby zmiażdżona.

– Taak.

– A śmierć nastąpiła mniej więcej o siódmej wieczorem. Fumagalli będzie wiedział dokładniej po porównaniu temperatury wewnątrz ciała z temperaturą otoczenia i tak dalej. Powiedziałem, co wiem. Na razie. Ma pan co powiedzieć dziennikarzom.

– Chciałbym, żeby poszedł pan razem ze mną rozmawiać z tamtymi.

– Jadę do Champoluc. Nie chcę tracić czasu – wykręcił się Rocco.

– Jasne, słusznie, niech pan jedzie. Zeszłej nocy z Turynu przyjechała ekipa kryminalistyczna. Są tam na miejscu, niech pan rzuci okiem. – Corsi rozłączył się bez pożegnania.

Rocco wstał z fotela. Nora stała oparta o framugę, wyglądała, jakby dopiero się obudziła.

– Nie słyszałaś tego, co usłyszałaś – napomniał ją Rocco.

– Przecież ja sprzedaję suknie ślubne, nie jestem adwokatem.

- Dobrze, muszę iść, jadę w góry, do tej wioski.
- Okay. Wieczorem?
- Wrócę bardzo późno, pojedę prosto do domu.
- Gdybyś zmienił zdanie...
- Jeśli zmienię zdanie, zadzwonię i wpadnę, o ile będziesz miała jeszcze ochotę. Wiem, że wcześniej czy później wyślesz mnie do...
- Mylisz się, nie wyślę cię. W każdym razie nie dziś. Wieczorem będę miała ochotę cię zobaczyć.
- Dobrze. Przepraszam. Może któregoś dnia poukładam się ze sobą.
- To zadzwonisz?
- Zadzwonię, Noro.
- Nie wierzę.

Rocco Schiavone gapił się już kwadrans w zamknięte drzwi gabinetu prokuratora. Znał na pamięć rysunek słojów mahoniowego drewna i zdążył rozpoznać w nich dwa słonie, morskiego żółwia i tors kobiety z widocznym pępkiem. Zaczynał się denerwować.

Nie znosił, gdy go wzywano, nienawidził prokuratury, nienawidził tego klimatu, a przede wszystkim nienawidził faktu, że do pięćdziesiątych piątych urodzin brakowało mu prawie trzech tysięcy sześciuset pięćdziesięciu dni.

Pięćdziesiąt pięć lat to była jego ustalona meta. Nie będzie już tak młody, żeby móc prowadzić szalone życie dwudziestolatka, ale też nie będzie taki stary, żeby z cieknącą po brodzie zupką siedzieć na wózku i łykać pigułki.

Miejsce wybrał już sześć lat temu, po licznych poszukiwaniach i dyskusjach z żoną. W bliskiej odległości od morza, bo kochał morze, ale wśród pól, bo Marina uwielbiała wieś. Mogłoby to być jakieś miejsce w Maremmach, ale lepiej nie zostawać we Włoszech. Wreszcie wybrali Prowansję. Tam przeniósłby się, żeby wygrzewać kości aż do chwili, gdy śmierć rozłączy go z tym ziemskim rajem.

Jeszcze prawie trzy tysiące sześćset pięćdziesiąt dni.

Wiejska chałupa wśród pól z dala od innych domów. Na co najmniej dziesięciu hektarach własnego gruntu, tak żeby nikt obcy nie spał mu pod bokiem w promieniu paru kilometrów. Co najmniej sześć osobnych sypialni dla kumpli z Rzymu. I basen. Jeśli wziąć pod uwagę oferty nieruchomości poniżej czterech milionów euro, nie było na to żadnej szansy. Brakowało sporo pieniędzy.

Myślał o rychłym przyjeździe Sebastiana Cecchetiego, kiedy drzwi gabinetu prokuratora wreszcie się otworzyły i ukazał się Maurizio Baldi. W garniturze i pod krawatem prezentował się o wiele lepiej. Nie wyglądał już, jak zeszłego wieczoru, na towarzysza broni Maria Rigoniego Sterna zagubionego gdzieś na froncie ukraińskim.

Na jego twarzy malował się lekki uśmiech. Podczas pierwszego spotkania przy stacji kolejki Rocco wyobraził sobie, że pod futrzaną czapką jest łysy,

tymczasem Baldi miał bujną blond czuprynę upodobniającą go do jednego z muzyków Spandau Ballet.

– Schiavone – zawołał prokurator, wyciągając doń rękę.

Rocco wstał, uściśnął dłoń, prokurator zaprosił go do środka.

Gabinet był niewielki. Obowiązkowa flaga państwowa w kącie, portret prezydenta, dyplomy, świadectwa, kilka przeszklonych regałów z tuzinami tomów, których nikt od dawna nie czytał. Na biurku kodeks postępowania karnego i położona na płask ramka ze zdjęciem.

– Wczoraj zaczęliśmy w niewłaściwy sposób – powiedział prokurator, przestając się uśmiechać. – Ale nadzoruję dochodzenie w ważnej sprawie oszustwa podatkowego i ten trup jest mi bardzo nie na rękę. – Utkwił wzrok w oczach Rocca. – Sporo o panu wiem. Wiem, dlaczego znalazł się pan tutaj, ale wiem też, że miał pan bardzo wysoki odsetek rozwiązanych spraw, prawda?

– Tak. – Rocco przyjął postawę obronną.

A może ten facet to brat prokuratora spotkanego poprzedniego wieczoru? Nie wydawał się tą samą osobą.

– No więc poszperał pan trochę w sprawie tego Miccichè?

Rocco przytaknął.

– Tu się nie pali, prawda?

– Prawda.

– Miccichè Leon, lat czterdzieści trzy. Jego rodzina żyje pod Katanią. Ma tam wielką firmę winiarską.

– Zostali powiadomieni?

– Tak, przylecą jutro.

– Wczoraj byłem nerwowy. – Prokurator z głupia frant zmienił temat.

– Nie musi się pan tłumaczyć, ja też byłem.

– Proszę posłuchać, Schiavone. Lubi pan swoją pracę?

Dokąd facet zmierza? – zastanawiał się Rocco.

– Nie. A pan?

– Ja tak. Ale bywają takie dni, że mam ochotę rzucić wszystko w cholerę i zacząć od nowa na jakiejś wyspie na Oceanie Indyjskim, jedząc kokosy.

– Ocean Indyjski jest niebezpieczny. Na porządku dziennym są tsunami, trzęsienia dna morskiego – zauważył Rocco, który dobrze znał ten temat. Ocean Indyjski był jednym z pierwszych wymarzonych celów, które rozważał z Mariną.

– Kiepska opieka zdrowotna. Lepiej jakiś cywilizowany, czysty kraj.

– Cywilizowany... – mówił Baldi do siebie. – Tak, ma pan rację. Wie pan, o czym myślałem rano?

Pytanie było retoryczne, więc Rocco nie odpowiadał.

– Myślałem o drużynach piłkarskich.

– I?

– Niech pan popatrzy. Co robi drużyna piłkarska, żeby osiągnąć lepsze wyniki?

– Trenuje? – zaryzykował odpowiedź Rocco.

– Nie tylko. Kupuje zawodników. Zagranicznych. Racja?

– Tak, wystarczy spojrzeć, kto gra w Interze.

– Właśnie. Tworzy się drużynę z najlepszych gwiazd międzynarodowych i wygrywa się puchary. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę.

– Nie myli się pan.

– Dobrze, a teraz proszę przenieść to samo rozumowanie na nasz kraj.

Rocco skrzyżował nogi.

– Nie rozumiem.

– Proszę sobie wyobrazić, że aby osiągnąć lepsze wyniki, Włochy zaczynają kupować najlepszych graczy.

– Przepraszam, że się wtrączę, ale drużyna narodowa musi być złożona z samych Włochów – zauważył Rocco.

– Nie mówię już o piłce, to tylko metafora. Odnoszę się do polityki. Co bym zrobił? Kupiłbym dobrego szwedzkiego premiera, takiego Reinfeldta, w resorcie gospodarki dalibyśmy Niemca, na przykład Brüderlego, na ministra kultury Francuz albo Francuzka jak Albanel, a sprawiedliwość dla Duńczyka. Co za boska drużyna! I wreszcie ten kraj przestanie być pośmiewiskiem. Rozumie pan?

W umyśle Schiavonego zaświtała z całą mocą myśl, że być może prokurator cierpi na jakąś formę cyklicznego zaburzenia afektywnego.

– Jasne. Szeroka kampania zakupów – odpowiedział, bo przytakiwanie było najlepszą taktyką.

– Właśnie! – Prokurator walnął pięścią w stół. – Fajnie by było, nie uważa pan?

– Tak.

– Żartuję, to oczywiste. Chyba nie wziął pan tego na serio?

– Trochę tak.

– No nie. Zresztą nie wystarczyłoby wymienić czołowych graczy. Tu trzeba by wywalić pół klasy politycznej. Ale proszę się nie martwić, to tylko lekkie obrzydzenie do tego, co widzę i czytam codziennie w gazetach. Proszę się trzymać i informować mnie na bieżąco. – Wstał nagle i wyciągnął rękę. Rocco zrobił to samo. Jak tylko uścisnął dłoń, prokurator mrugnął do niego. – Znajdźmy tego zabójcę, dobra?

Rocco potwierdził, potrząsając dłonią Baldiego w górę i w dół. Potem jego wzrok spoczął na odwróconym zdjęciu na blacie. Obaj przez chwilę stali tak nieruchomo, ściskając dłonie i patrząc na posrebrzaną ramkę. Rocco o nic nie spytał. Baldi niczego nie dodał. Uśmiechnął się nieszczercze zaciśniętymi ustami i puścił rękę wicekwestora. Rocco obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju

w milczeniu. Schodząc po schodach, pomyślał, że bez względu na żalobę musi sobie uciąć dłuższą pogawędkę z Luisą Pec.

Italo Pierron wchodził łagodnie w zakręty na serpentynach, które z Verrès prowadzą do Val d'AYas. Rocco przez całą drogę milczał i gapił się przez okno. Tylko raz mały kwadracik błękitu przerwał jednostajnie szarą pokrywę chmur. Kiedy mijali tabliczkę na wjeździe do Brusson, wicekwesor się odezwał.

– Jesteś żonaty, Italo?

– Nie.

– Zaręczony?

– Też nie. Miałem narzeczoną, ale trzy miesiące temu się rozstaliśmy.

– Dlaczego?

– Nakryłem ją w restauracji z innym. Z dawnym chłopakiem.

– No i co z tego?

– Wkurzyłem się.

Rocco spojrział na niego. Italo miał rysy jeszcze chłopięce, ale usta, jakby wycięte w twarzy jednym ruchem skalpela, postarzały go o parę lat. Na starość na pewno będzie nosił brodę i wąsy, żeby ukryć brak warg. Obracając się, wykonywał nieznaczne ruchy głową. Ledwo wystający nos wydawał się wiecznie czujny. Oczy czarne, głębokie. Przytomne. Pierron poczuł się obserwowany. Rzucił okiem w stronę wicekwesora i z powrotem skoncentrował się na jeździe.

W dzieciństwie Rocco miał encyklopedię zwierząt, a w domu były jeszcze tylko podręcznik małego tropiciela i zbiór ilustrowanych bajek. Ostatni, piąty tom encyklopedii składał się z tablic ilustrowanych przez znakomitych dziewiętnastowiecznych grafików. To był jego ulubiony tom. Spędzał całe popołudnia na kanapie, oglądając po kolei obrazki. Zawsze się zastanawiał, jak ci ilustratorzy mogli rysować zwierzęta. Nie mieli przecież wtedy zdjęć. A taki tukan czy inny nietoperz nie tkwią grzecznie i nieruchomo godzinami, żeby ułatwić pracę portreciście. Zrozumiał, że artyści używali jako modeli wypchanych okazów. Martwych. A jednak na tych tablicach zwierzęta miały tyle żywotności i ruchu, jakby były bardziej żywe niż na zdjęciach. Uwielbiał rozmaite gatunki, zwłaszcza te wymarłe. Gdyby nie te ilustracje, myślał za każdym razem, nie wiedzielibyśmy, jak wyglądał wilk tasmański, palczak olbrzymi aj-aj czy dziki osioł afrykański. Odtąd ilekroć spotykał w życiu kogoś, kto był podobny do zwierzęcia z ilustracji, od razu go w głowie katalogował. Italo Pierron był *Mustela nivalis*. Szerzej znaną jako łasica. Spotkał już niejedną łasicę, ale nigdy dotąd w policji.

– Italo – rzekł nagle i jabłko Adama policjanta podskoczyło parę razy.

– Lubisz swoją pracę?

Tamten wybałuszył oczy. Ledwo widoczny uśmiech pojawił się na ustach bez warg. Wzruszył ramionami.

– Praca to praca.

– Ile zarabia zwykły policjant miesięcznie?
– Mało, szefie, mało.
– I do tego nienormowany czas pracy. Trudno założyć rodzinę.
– Nie chcę zakładać rodziny, dobrze mi tak. Dlaczego zadaje pan te pytania?
– Chcę cię poznać. Niezły jesteś i wiesz o tym. Według mnie stać cię na więcej.
– Żeby robić więcej, niż robię?
– Nie, więcej. – Zamilkł, pozwalając policjantowi porozmyślać nad tym zdaniem. – Słuchaj, zanim pojedziemy do Luisy Pec, musimy podskoczyć na pocztę.

– Dobrze, ale o tej porze będzie zamknięta.

– Ty się już o to nie martw, zawieź mnie.

Kiedy dotarli, przed drzwiami poczty czekał na nich facet koło pięćdziesiątki. Miał na sobie wełniany sweter z szerokimi rękawami, rumieńce na policzkach i rozcierał dłonie. Italo zatrzymał samochód. Rocco ledwie wysiadł, poczuł uderzenie zimnego powietrza. Pomimo że był środek dnia, temperatura spadła grubo poniżej zera.

– Kurde, co za pieprzony mróz – wymamrotał. – Czekał tu na mnie – rozkazał Italowi i zatrzasnął drzwi bmw. Podszedł do człowieka stojącego na schodach, który zaraz wyciągnął rękę na powitanie.

– Jestem Riccardo Peroni. Naczelnik urzędu pocztowego. Miałem telefon z policji...

– Tak, tak, wicekwesor Schiavone. Wchodźmy, bo zamarzniemy.

Naczelnik otworzył szklane drzwi i wpuścił Rocca.

– Proszę zamknąć – powiedział policjant, gdy już byli w środku.

Peroni usłuchał.

– Czym mogę służyć?

W urzędzie świeciły się tylko tabliczki z numerami kolejkowymi nad okienkami, kosze były pełne podartych pokwitowań. Na regale stały produkty sprzedawane przez pocztę, chociaż nijak się nie miały do jej działalności: książki kucharskie, dla dzieci, bestsellery, długopisy, flamastry.

Także poczta ma fuchy na boku, żeby dorobić, pomyślał Rocco. I przyszło mu na myśl, że musi jeszcze zapłacić rachunek za prąd za zeszły miesiąc. Zezłościł się, mógł przecież o tym pomyśleć zawczasu i załatwić także i ten drobny rodzinny obowiązek.

– Przeczytałem w jakiejś książce coś, co utkwilo mi w głowie.

– Co? – zapytał naczelnik z uprzejmym uśmiechem na ustach.

– Poczta jest jak paznokcie i włosy. Kiedy ktoś umiera, one dalej rosną. Tak samo listy i rachunki. Ciągłe przychodzą do adresata, chociaż ten jest już pod ziemią. Prawda?

Peroni chwilę nad tym podumał.

– Nigdy tego w ten sposób nie ujmowałem.

– Od dziś całą pocztę do pana Leona Miccichè proszę przekazywać do mnie do komendy. I to jak najszybciej.

Naczelnik spowaźniał.

– Jak to? Leon? Nie żyje?

– Ma pan świetny dar obserwacji.

– Ale kiedy?

– Wczoraj, na stoku.

Naczelnik zbladł.

– To jego zwłoki znaleźliście?

– Całkowicie jego, od stóp do głów.

– Biedna Luisa...

– Niewątpliwie. Zrozumiał pan? I ani słowa o tym nikomu. Wyrażam się jasno?

Peroni gapił się w ziemię, wciąż poruszony wiadomością. Schiavone przywołał go do rzeczywistości.

– Halo, zrozumiał pan?

– Co? Tak, tak, zrozumiałem. Poczta skierowana do Leona...

– Ma trafić do mnie. Dokładnie tak.

Peroni zatrzepotał powiekami, znak, że jego mózg zaczął znowu działać.

– Ale ja nie wiem. Czy to na pewno legalne?

– Nie. Nie sądzę – odpowiedział spokojnie Schiavone.

– Więc pan oczekuje ode mnie...?

– Przesyłek skierowanych do Leona. Do mojego biura, do rąk własnych.

– Muszę sprawdzić, no jakby tak, mam pewne obowiązki. Nie mogę panu obiecać, że...

Peroni nie zorientował się, że nadchodzi cios. Poczł tylko piekący ból na policzku w chwili, gdy jego głowa wykonywała gwałtowny odchyl na lewo o trzydzieści stopni. Dotknął policzka w miejscu, gdzie Rocco znienacka go uderzył.

– No więc – powiedział spokojnie wicekwesor – powtarzam panu grzecznie. Będzie mi pan przysyłał jego pocztę czy mam zamienić pana życie w piekło?

Naczelnik kiwnął głową przestraszony. Rocco podał mu wizytówkę.

– Tu jest wszystko napisane. I dziękuję z góry za współpracę. – Podeszedł do drzwi, chwycił za klamkę, ale nie wyszedł. Stał zatrzymany przez nagłą myśl. Odwrócił się w stronę Peroniego, który tkwił z wizytówką w jednej dłoni, a drugą ciągle masował sobie policzek. – Peroni, ani słowa o naszej umowie. Bo jak nie, wróć. Jasne?

– Tak.

– Miłego dnia.

Żeby dotrzeć na górę stoku, trzeba było wsiąść do sześciuosobowej gondoli. To coś w rodzaju łupiny podwieszanej metalowym pałakiem pod grubą stalową linę. Rocco i Pierron wsiedli do kabiny numer 69, która szybko ruszyła w górę, żeby wywieźć ich na dwa tysiące metrów. Pracownik wyciągu z dziesięć sekund przyglądał się uważnie nieodpowiedniemu strojowi Schiavonego, szczególnie clarksom, ale skupiony na pracy i przyzwyczajony jako góral do milczenia nic nie powiedział. Sprawdził tylko, czy drzwiczki są dobrze zatrzaśnięte, i zajął się następnymi pasażerami.

– To dzisiaj też zjeżdżają? – zapytał Rocco, wyglądając przez okienko.

– Tylko na trasach w górnej części doliny. Trasa w dolnej, tam gdzie znaleźliśmy Miccichè, jest zamknięta.

Kabina ocierała się o czubki świerków. Las spowity gęstą, nieprzejrzystą mgłą wyglądał jak sceneria celtyckiej sagi. Rocco przyglądał się śniegowi pomiędzy skałami i pniami drzew. Usiany był igłami, ale przede wszystkim pełno było na nim śladów. Małych i dużych.

– Ptaki, zające, a nawet świstaki – opowiadał Italo Pierron. – Wszystkie poszukują jedzenia.

– Są też łasice?

– Na pewno. Zimą robią się białe. Bo co?

– Tak tylko z ciekawości pytam.

– No, łasice są sprytne. Maskują się.

– Prawda? – zauważył Rocco, patrząc intensywnie w oczy Pierrona, który zarumienił się, bo nie rozumiał intencji przełożonego. Rocco przyglądał mu się bacznie, to było jasne. Ale nie rozumiał powodu. – To ważne, żeby się maskować, Italo. Jeśli chcesz przeżyć w świecie pełnym drapieżników.

Znienacka gęsta i lepka jak mgła melasa się rozstała i pejzaż oświetliło pełne, mocne słońce. Rocco rozdziawił usta. Byli powyżej chmur, jak w samolocie. Niebo błękitne, ośnieżone szczyty Alp tworzyły dookoła nich koronę. Wydawały się wyspami wystającymi z jeziora szarej, spienionej wody. Rocco zmrużył oczy z powodu oślepiającego światła.

– Piękne – wyrwało mu się spontanicznie – naprawdę piękne.

– Prawda? – zgodził się Italo.

Śnieg, jak ogromna warstwa bitej śmietany, pokrywał zbocza, grzbiety, skały. Jak się na niego patrzyło tak z wysoka, nie wydawał się wcale zimny. Rocco wręcz poczuł chęć, by weń wskoczyć i potarzać się kwadrans. A nawet jeść. Musiał być słodki i miękki. Lśnił tysiącami igiełek, jeśli się na niego zbyt długo patrzyło, czuło się ból w oczach i zawroty głowy. Czarne łupkowe dachy schronisk i chat były niemal całkiem zasypane, gdyby nie dym z kominów, nie sposób było je dojrzeć. Tkwiły zatopione w białym morzu o absolutnej czystości jak błogie stado

owiec na hali, leniwe i senne.

Wreszcie kabina dotarła do celu. Rocco zszedł, zadowolony, że nie poczuł ani trochę lęku wysokości.

Wokół górnej stacji kolejki śnieg był głęboki, trochę roztopiony przez słońce. W barze przy stolikach, chwytając ostatnie promienie słońca, siedzieli z kuflami piwa narciarze poubierani we wszelkie możliwe pstrokate kolory, tak że wyglądali jak postaci z karnawałowej parady. Inni kierowali się w stronę tras z nartami, kijkami i kaskami, idąc ciężkim krokiem Golema w grubych stukających o podłoże butach. Roccowi skojarzyli się z potępieńcami w którymś z dantejskich kręgów piekła.

– I oni za to wszystko płacą? – zapytał Italo.

– Panie wicekwestorze – Pierron, o dziwo, nie pomylił stopnia służbowego – próbował pan kiedyś zjeżdżać na nartach?

– Nigdy.

– Zapewniam, gdyby pan chociaż raz spróbował, zrozumiałby pan. Tak jak wcześniej w kabinie. Widział pan? Słońce, niebo, śnieg. Tak jest na nartach. To samo uczucie.

Ale Rocco go już nie słuchał. Przypomniało mu się, że na ziemi leży śnieg, a on ma nieodpowiednie buty.

– Proszę się nie przejmować, musimy przejść tylko ze sto metrów. Luigi na nas czeka.

– Co za Luigi?

– Szef rataków. Ten, co nas wczoraj podwiózł na górę. Luigi Bionaz. Pojedzie z nami do Cuneaz. Widzi pan te garby tam?

Rocco popatrzył. Czteryście metrów dalej, w połowie trasy, po której śmigali radośni narciarze, wystawały małe wzniesienia pokryte śniegiem.

– No widzę, i co z tego?

– Cuneaz jest za nimi. W lecie to mały spacer, ale zimą potrzebne są rakiety. Wie pan jakie?

– Co?

– No takie nakładki na buty.

– Takie jakie nosił Umberto Nobile?

– Kto?

– Nieważne, Italo. Chodźmy do Luigiego.

Dwadzieścia metrów obok stacji, z boku, stała duża budowla z kamienia i drewna. Hangar dla rataków. W głębi, przed przeszklonymi drzwiami z logo szkoły narciarskiej, na ławkach wygrzewali się instruktorzy, wszyscy w czerwonych kurtkach i czarnych spodniach. Italo podniósł rękę, żeby zwrócić uwagę któregoś z nich. Rocco tymczasem przyglądał się swoim clarksom, które przypominały już dwa przemoczone szczury kanałowe.

– Heej – zakrzyknął ktoś, kogo Rocco nie był w stanie w słońcu rozpoznać.

– To jest Luigi, czeka na nas – powiedział Italo.

Idąc z trudem przez głęboki śnieg, ubrany w zielony płaszcz i szare sztruksowe spodnie Rocco przyciągał uwagę narciarzy. Wreszcie dotarł do drzwi hangaru. Luigi Bionaz czekał.

– Dzień dobry, komisarzu, pamięta mnie pan?

Poprzedniej nocy twarz Luigiego pod ciężką czapką z nausznikami była tylko bezkształtną masą. W świetle dziennym Rocco wreszcie mógł dostrzec rysy. Pierwsze, co go uderzyło, to oczy, tak jasnoblękitne jak u psów husky. Wysokie kości policzkowe, wystająca szczeka i białe zęby – wydawało się, że odbijają biel śniegu. Gdyby Luigi Bionaz urodził się w Stanach, mógłby zostać aktorem w filmach akcji. Miał odpowiednie ciało i twarz, niczego mu nie brakowało, żeby doprowadzać do szaleństwa kobiety w tamtej części świata.

– Już wiem. Leon. Strasznie mi przykro. To był wypadek? – zapytał, skręcając papierosa.

Rocco nic nie odpowiedział i Luigi zrozumiał, że lepiej nie zadawać kolejnych pytań. Uśmiechnął się i dwa razy klepnął siodełko quada.

– Dziś nie będzie ratraka, pojedziemy tym.

Pojazd przypominał motocykl, tyle że na czterech kołach. Rocco jeździł na quadzie wiele lat temu na wydmach w Szarm el-Szejk, to była sławetna eskapada pustynna, podczas której zaliczył wywrotkę i złamał środkowy palec swojej żonie.

– Będzie szybszy. Po trasie nie wolno nim jeździć – zapalił papierosa, którego koniuszek szybko spłonął, opadając iskierkami na śnieg – ale jesteście z policji, więc kto nam co zrobi?

– Prawda. Ale mogłeś po nas podjechać pod samą stację kolejki. Całkiem przemoczyłem stopy, żeby tu dojść – zauważył Rocco.

Luigi odparł rozbawiony:

– Musi pan sobie wreszcie sprawić górskie wyposażenie!

– Żebym wyglądał jak pajac, tak jak ci wszyscy dookoła? – Wskazał nosem narciarzy. – No, jazda.

Usiadł za Luigim. Pierron też wsiadł.

– Luigi, ale to ma trzy miejsca?

Luigi nie odpowiedział. Odpalił silnik i z półuśmiechem na ustach i z papierosem w zębach dodał gazu i ruszył.

Cztery kolczaste opony wgryzły się w śnieg i zostawiając za sobą groźnie wyglądający gejzer białego puchu, z wielką prędkością pchnęły pojazd na trasę. Rocco widział, jak niemal ocierają się o narciarzy. Igiełki lodu kłuły go w twarz. Koła buksowały, prostowały się, skręcały nagle na lodowych taflach. Czuł, jak quad się wychyla, wyje, zapada się w śnieg, wygrzebuje, żeby zaraz znów nagle wpaść. Gorzej niż rozkołysana łódka na falach.

Dwie minuty takiej jazdy z zapartym tchem i już byli w Cuneaz.

Rocco zszedł i otrzepał płaszcz ze śniegu. Spojrzał na Luigiego, który wciąż miał w ustach papierosa.

– W drugą stronę ja prowadzę – powiedział z palcem wyciągniętym w jego stronę.

– Dlaczego? – zapytał Luigi niewinnie. – Bał się pan?

– Wcale. To ekstrazabawa!

Pierron był całkiem innego zdania. Ograniczył się do pokręcenia głową w akcie dezaprobaty.

Cuneaz okazało się wioszczką z prawdziwego zdarzenia. Był nawet rynek, koło każdego domku równe przyzmy pociętego drewna na opał. Trzy schroniska, z czego najładniejsze to Belle Cuneaz nieszczęsnego Leona Micciché. Stało zamknięte. Luigi zapukał. Nie minęło nawet pół minuty, a w szybie drzwi wejściowych, tuż za nalepkami z logo kart kredytowych, ukazała się smutna twarz Luisy Pec. Te nalepki miały kluczowe znaczenie, bo dzięki nim Rocco mógł zachować kontakt z rzeczywistością. Przy niedoborze tlenu, w tym onirycznym, zaśnieżonym pejzażu, wśród ciszy, dymiących kominów i domów z tajemniczymi napisami gotycką czcionką, mógłby łatwo uwierzyć, że znalazł się w środku jakiejś baśni Grimmów.

Luisa posadziła Rocca i Pierrona na dwóch kanapach model Chesterfield.

– Zaraz przyniosę panom coś do picia na rozgrzewkę – powiedziała bez cienia uśmiechu, jakby recytowała wyuczoną na pamięć formułkę.

Schronisko wyglądało jak wycięte z czasopisma o wzornictwie i urządzaniu wnętrz. Na ścianach jasna boazeria. Na podłodze surowy kamień łączony z pociemniałym parkietem ściągniętym podczas rozbiórki z jakiegoś starego domu, kominek z kryształowymi drzwiczkami. Rozproszone ciepłe światło. Stoły z grubo heblowanych desek. Na ścianach niezłe górskie pejzaże z XIX wieku. Bar był zbudowany ze starej aptecznej lady, a za stojak na butelki robił drewniany ruszt do suszenia siana typowy dla tej okolicy. Wszystko od ogółu do szczegółu krzychało: renowacja kosztowała majątek!

A wynik był doprawdy spektakularny.

Gospodyni wróciła z butelką jałowcówki i dwoma kieliszkami.

– Czy to prawda, że policjanci na służbie nie piją?

– Tak – odpowiedział Rocco i nalał sobie kieliszek.

Pierron za to odmówił.

Luigi stał koło okna jak wierny sługa. Skręcał sobie drugiego papierosa, liżąc brzeg bibułki, żeby ją skleić. Rocco popatrzył na niego.

– Luigi, może byś się przeszedł? Mamy tu sobie do pogadania na osobności.

Luigi wetknął papierosa w zęby i zdecydowanym krokiem wyszedł z chaty.

– Cudowne miejsce – stwierdził Rocco, omiatając wzrokiem główną salę.

– Dziękuję – odpowiedziała Luisa. – Na górze mamy sześć sypialni, a tam jest restauracja. Potem ją obejrzymy, ma przeszkloną ścianę z widokiem na dolinę.

– Takie to wszystko wielkie. Trudno sobie wyobrazić, że gdzieś wysoko w górach... – skomentował Rocco.

– Kiedyś to była szkoła. Aż do wojny. Potem ludzie się wynieśli z Cuneaz, woleli zamieszkać na dole, w Champoluc i wtedy...

– Pani ją kupiła?

– Ja? Nie. Należała do dziadków – odparła Luisa z lekkim uśmiechem. – To była już rudera, używali jej jako obory. Proszę zaczekać.

Wstała, podeszła do ściany naprzeciwko, zdjęła czarno-białe zdjęcie i podała wicekwestorowi.

– Widzi pan? To jest stan sprzed remontu.

Rocco zobaczył budę z kamienia i spaczonych desek, z okien bez szyb wystawało siano.

– Faktycznie, nie do poznania. Ciekawe, ile pani wydała.

Na twarzy Luisy pojawił się grymas.

– Niech mi pan o tym nie przypomina. W każdym razie coś koło czterystu tysięcy.

Rocco zagwizdał jak czajnik.

– Zanim mnie pan spyta, sama powiem, zresztą wszyscy to tutaj wiedzą. Pieniądze należały do Leona. Wygląd tego jest jego zasługą. – Zadrżał jej podbródek, z krtani wydobył się jęk, a piękne oczy trysnęły fontanną łez.

Italo podskoczył, żeby podać jej chusteczkę.

– Przepraszam, bardzo przepraszam...

– To my przepraszamy. Niestety moja robota bywa obrzydliwa. Gorsza od kondora. No dobra... – Rocco jednym haustem opróżnił kieliszek z jałowcówką. Była dobra. Spłynęła jak ciepła pieszczota aż do żołądka i przemarzniętych stóp. – Muszę panią o to spytać. Czy Leon miał kiedykolwiek kłopoty z, jak by to powiedzieć... z ludźmi z południa?

Luisa pociągnęła nosem, wytarła łzy i oddała chustkę Pierronowi.

– Jak to, kłopoty?

– On albo jego rodzina, wie może pani o jakichś niejasnych sprawach na Sycylii? Mam na myśli przestępczość zorganizowaną.

Oblała się rumieńcem. Otworzyła szeroko oczy.

– Ma... mafia?

– Może to pani tak nazwać.

– Leon? Nie, mój Boże, nie. Rodzina robi wino od stu lat, porządna firma. Widzi pan, to wino jest od nich. – Odwróciła się, wskazując stojak pełen butelek. – To spokojni ludzie, nigdy żadnej kłótni.

– Jest pani pewna? Zauważyła może pani, że coś go martwi? Jakiś

tajemniczy telefon?

– Nie, przysięgam, że nie.

Nagle przez twarz Luisy Pec przemknął cień. Rocco umiał dostrzegać niuanse, a co dopiero znaki tak wyraźne, jakby podkreślone jaskrawym pisakiem.

– Co się dzieje, Luiso?

– Parę dni temu rozmawiał przez telefon z Mimmem... to znaczy z Domenikiem, starszym bratem. Pokłócili się. Ale nie wiem dlaczego, może to nic ważnego.

– Może.

– Rodzina przyjedzie na pogrzeb, będzie pan mógł go zapytać.

– Wiem, powinni już przylecieć. Było mi miło znów panią spotkać.

– Jestem zawsze do dyspozycji. Nie chce pan obejrzeć restauracji?

– Nie. Za dużo ładnych rzeczy naraz źle mi działa na samoocenę – odparł Rocco, uśmiechając się, i wstał.

Pierron zrobił to samo i uściśnął rękę Luisy Pec.

– Odwagi – to było jedyne, co umiał jej powiedzieć.

– Odwagi? – zapytał wicekwestor, jak tylko wyszli ze schroniska. – Skąd ci to przyszło do głowy, Italo?

– Biedaczka źle się czuje, wydawało mi się...

– Co ci się wydaje, zachowaj dla siebie, trzymaj za zębami i zabierz ze sobą do domu. Odwagi. Bez sensu! Dawaj, Luigi, odpalajmy ten sprzęt i wracajmy na górę.

– Chce pan poprowadzić? – zapytał szef ekipy ratraków ze zgaszonym papierosem w ustach.

– Oczywiście.

Minutę i czterdzieści pięć sekund później quad kierowany przez Rocca Schiavonego zatrzymał się przed hangarem ratraków.

– Jazda tą maszyną to wielka radocha. Za wielka.

– Już myślałem, że pokoziołkujemy pod koniec trasy, w tym zagłębieniu – powiedział Italo Pierron, strzepując resztki śniegu z kurtki.

– Wszystko przez to, że mi nie ufasz.

– To co, widzimy się potem? – zapytał Luigi, oddalając się.

– Widzimy się.

Italo i Rocco mieli właśnie ruszyć w stronę stacji kolejki, kiedy jakiś głos zakrzyknął:

– Panie komisarzu!

Rocco odwrócił się. Spomiędzy grupki instruktorów rozpartych na ławkach wynurzył się mundur neapolitańczyka, co to umie zjeżdżać na nartach. Cacioppolo machał ręką, żeby przyciągnąć uwagę, i szczerzył białe zęby w uśmiechu. Szedł szybkim krokiem, niosąc na ramieniu narty z wpiętymi butami.

Wicekwesor ruszył mu na spotkanie z rękoma w kieszeni, bo po przejeździe na dwóch tysiącach metrów zamieniły się w sople lodu.

– Caciuppolo! – odkrzyknął gromko i z jego ust dobył się obłok gęstej pary.
– Dlaczego nie jesteś z ekipą kryminalistyczną?

– Szefie – młody policjant podniósł rękę do czoła w geście wojskowego salutu – nie życzyli sobie mojej obecności, podobno narobiliśmy straszego burdelu. – Uśmiech policjanta zgasł, jego twarz była teraz smutna pomimo brązowej opalenizny. – Komisarzu, pogadać chciałem.

– O czym?

– Nie tutaj.

– A gdzie?

– Zjeżdżacie do wioski?

– Tak.

– To zabiorę się z wami. W kabinie będzie lepiej.

Najpierw wsiadł Pierron, potem Schiavone i na końcu Caciuppolo, po tym jak przypiął narty do stojaka na zewnątrz. Pracownik wyciągu sprawdził zamknięcie drzwi i gondola zaczęła swój zjazd.

– No i co masz do powiedzenia?

– Musi pan wiedzieć o jednym. Leon Micciché, czyli trup...

– Co trup?

– No to, że był z Luisą Pec od trzech lat. Spodziewali się dziecka.

Rocco spojrzał w ciemne oczy policjanta.

– A ty skąd wiesz?

– Wiem, bo mi Omar powiedział.

Italo Pierron przytaknął.

– Też go znasz? – zapytał Rocco.

– Tak, Omar jest jednym z instruktorów w szkółce narciarskiej. Można by nawet powiedzieć, że szefem – wyjaśnił Italo.

– A co to wszystko Omara obchodzi? Zamiast uczyć jeździć na tych deskach, zajmuje się plotkowaniem?

– Nie – zaśmiał się Caciuppolo. – Widzi pan, Omar Borghetti był narzeczonym Luisy Pec, zanim ona się zesła z Leonem. No to teraz już pan wie wszystko.

– Narzeczonym?

– Tak.

Rocco popatrzył na zewnątrz. Słońce, zachodząc, rozbijało się o granie, barwiło przy tym góry na pomarańczowo, tak że wyglądały jak wielkie torty Mont Blanc oblane karmelem.

– Narzeczony. I to mi chciałeś powiedzieć?

– Nie tylko, szefie – ciągnął Caciuppolo. – Musi pan wiedzieć jeszcze

o jednym. Kiedy Luisa go zostawiła, Omar Borghetti bardzo się przejął i nie umiał się z tym pogodzić. Mieli razem urządzić schronisko, Omar wystąpił o pożyczki, wszystko załatwił. A potem sen przysł. Widział pan zresztą Luisę?

– Nasz dzielny Caciuppolo, już masz podejrzanego. Brawo.

Kabina weszła w chmury. Niebo, góry, zachód słońca, wszystko znikło połknięte przez mleczny lukier. Wicekwesor rozmyślał na głos.

– A więc dowiedział się, że Luisa jest w ciąży, i odbiło mu już całkiem. Możliwe, że tak było, Caciuppolo. Nie mówię nie. Nie lekceważmy niczego.

Dolna stacja była coraz bliżej. Rocco dostrzegł ekipę kryminalistyczną ładującą plastikowe skrzynie do zaparkowanych pick-upów. Wzniósł oczy do nieba.

– Patrzcie, ci z dochodzeniówki – powiedział. Italo i Caciuppolo wyjrzeli przez okienko. – Wiecie, jak ich rozpoznać? Kiedy idą, wyglądają, jakby cały czas się bali, że wdepną w gówno. Skrzywienie zawodowe. Widzicie tego w zielonej kurtce? – Wskazał palcem mężczyznę stojącego z założonymi rękoma obok samochodu. – To zastępca komisarza, ich szef.

– Skąd pan wie? – zapytał Italo.

– Bo go znam. Nazywa się Luca Farinelli. Jest maksymalnie upierdliwy, ale to najlepszy fachowiec. I ma coś, dla czego warto stracić głowę.

– Czyli?

– Żonę. Kobiętę piękną, że aż strach. Oliwkowa cera, kręcone włosy, zielone oczy. Trudno zrozumieć, jak mogła się zakochać w Farinellim. Stąd nie widać, ale to najbardziej smętny typek, jakiego kiedykolwiek poznałem. Wiecie, człowiek o twarzy, którą natychmiast zapominasz.

Komórka Rocca zagrała pierwsze takty *Ody do radości*.

– Czego chcesz, Deruta?

– Szefie, pracujemy, ale jest też mnóstwo Anglików, tych również mamy sprawdzać?

– Wszystkich, Deruta, macie sprawdzić wszystkich. Jeszcze coś?

– D’Intino...

– No więc?

– Miał zawał.

Rocco dostał ataku śmiechu.

– Jak to?

– Widział zwłoki. Najpierw zbladł, potem zszedł, potem upadł na ziemię. Teraz jest w szpitalu, ale mówią, że jutro będzie mógł wyjść.

– W porządku, Deruta. Wydaje mi się, że to dobra wiadomość.

– Tak pan sądzi?

– Tak sądzę, trzymaj się. – Chichocząc, odłożył telefon do kieszeni.

Pierron spoglądał pytająco, ale Rocco nie widział powodu, żeby zaspokoić

ciekawość młodego podwładnego.

Jajowata kabina zatrzymała się i wypuła z siebie trzech policjantów.

– Teraz pójdziesz do baru razem z Caciuoppolem i wymienicie się numerami telefonu. Ja pójde do Farinello. Trzymajcie się. Nie, jeszcze chwila, Italo, daj mi fajkę.

Pierron wyciągnął paczkę chesterfieldów i poczęstował zwierzchnika.

– Dlaczego wreszcie nie kupisz cameli? Nie lubię chesterfieldów.

Rocco wetknął papierosa do ust i zapalił, podczas gdy dwaj młodzi policjanci kierowali się w stronę żelaznych schodów prowadzących do głównej drogi Champoluc. Wicekwesor pokręcił dla rozluźnienia szyję i ruszył na parking, gdzie czekał na niego szef ekipy kryminalistycznej.

– Jak leci?

– Leci – odpowiedział Rocco. – Co mi powiesz?

– Aleście burdelu narobili.

– Farinelli, zmierzaj do sedna. Boli mnie prawa noga, mam przemarznięte stopy, palę papierosa, który smakuje jak gwóźdź, nie mam czasu. Masz coś, co by mnie zainteresowało?

– To. – Wyciągnął z kieszeni foliową torebkę.

W środku było coś małego, czarnego, nieokreślonego. Wyglądało jak muszki rozpląszczone na przedniej szybie samochodu.

– Co to jest?

– Tytoń. Całkiem sporo, widzisz?

– Tytoń?

– Zbadamy go i zobaczymy, czy dowiemy się więcej.

– Dobra, dobra, kiedy? Na święty nigdy. – Rocco wiedział, że badania tego typu zajmują mnóstwo czasu. Ale wiedział także, że jeśli zabójca nie zostanie zatrzymany w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, potem robi się za późno.

– Marlboro light, facet miał paczkę w kieszeni. To on palił.

– Dobrze, sam wypalił. Poza tym... – Farinelli włożył torebkę z powrotem do kieszeni – ktoś naszczał na drzewo obok miejsca zbrodni. Pobraliśmy próbki moczu.

– Wywal je.

Farinelli popatrzył na niego, przechylając głowę, jakby nie dosłyszał.

– Należy do Caselli.

Farinelli posmutniał.

– Jest mnóstwo innych śladów, ale założę się, że jeśli przebadamy je dokładniej, okaże się, że wszystkie zostały po was.

– Moje łatwo rozpoznać. – Rocco podniósł nogę i pokazał but. – Jako jedyny noszę tu clarksy.

– To są clarksy?

– Kiedyś były.
– Wyglądają jak para onuc. Będę musiał złożyć teraz raport sędziemu.
– Rób, jak chcesz.
– Pójdiesz ze mną, złożymy razem?
– Nie, zajęty jestem.
– Słuchaj, nic mnie nie obchodzi, jak pracujesz. Ja po prostu stosuję się do procedur.

– Świetnie, stosuj się. Rzuciłeś okiem na zwłoki?
Farinelli pokiwał parę razy głową. Rocco wyrzucił peta.
– Skrobałem mu pod paznokciami.
– Super, i co znalazłeś?
– Nic. Brak śladów walki. Tylko ślady czarnego materiału, ale... – Pochylił się, na ziemi stała walizeczka z zamkiem szyfrowym. Otworzył ją. – Pod frezami ratraka znaleźliśmy trochę wszystkiego. Kawałki odzieży, krwi, wymiocin, dwa zęby i jeszcze to.

Wyjął kolejną torebkę. W środku był palec od czarnej rękawicy. Policjant z ekipy dochodzeniowej wyprostował się i pokazał go wicekwestorowi.

– Resztki rękawicy. Jestem pewien, że włókna, jakie facet miał pod paznokciami, pochodzą z tego. Postaram się określić model i typ.

– Spoko, znam. To jest narciarska rękawica marki Colmar. Drugą znaleźliśmy przy zwłokach.

– To ważne? – zapytał Farinelli, patrząc mu w oczy.

– Fundamentalne.

Miał wyłączoną komórkę. Rocco Schiavone, otulony ciasno płaszczem, w nowych clarksach na nogach, stał pod bezgwiezdnym niebem na piazza Manzetti przed dworcem. Zaparkował w drugim rzędzie i nawrzeszczał na strażnika miejskiego, który chciał interweniować. Pociąg Sebastiana miał pół godziny opóźnienia.

Wreszcie usłyszał stukot kół na torach. Wyrzucił papierosa i wszedł na dworzec. Było mało ludzi. Pustą dworcową kawiarnię właśnie zamykali. Ale i tak nie chciało mu się pić. Chciał tylko wyściskać Sebastiana, pójść z nim coś zjeść i pogadać o dawnych czasach.

Zobaczył, jak wysiada z wagonu. Wysoki, postawny, w ręku mała walizeczka jak u komiwojażera, długa broda i kręcone czarne włosy w nieładzie. W osobistej klasyfikacji zoologicznej, jaką prowadził Rocco, był to *Ursus arctos horribilis*, jak nieładnie się zwie grizzly po łacinie. Ospały, urodziwy, potężny, a przy tym bardzo, ale to bardzo niebezpieczny.

Stanął w świetle latarni, żeby go było widać. Sebastiano, gdy tylko go spostrzegł, uśmiechnął się i przyspieszył kroku, chociaż kupił sobie buciory ważące z siedemdziesiąt kilo. Uściskali się bez słów.

Sebastiano chciał iść na kolację do restauracji artystycznej Pam Pam, opisanej w przewodniku „Gambero Rosso”, czyli jedynej książce, jaką zawsze nosił przy sobie, a także zbierającej liczne pozytywne recenzje w sieci. Nad deską wędlin i butelką wina Le Cret wreszcie poczuli, że się spotkali.

– No i jak się czujesz?

– Widzisz, Seba, czuję się tak, jakbym miał w pokera tylko jedną parę w ręku.

– To do dupy – skwitował Sebastiano.

– No tak, a u ciebie co?

Sebastiano szybko przełknął plaster szynki.

– Rzym to już nie jest ten sam Rzym, co kiedyś. Źle się tam czuję. Wszyscy się źle czujemy. À propos, masz pozdrowienia od Furia, od Brizia i od Cerveteriego.

– Co u nich słyhać? – zapytał Rocco z łagodną nostalgią na twarzy.

– Brizio użera się z adwokatami o alimenty, Furio otworzył dwa lokale z automatami do gry, a Cerveteri podobno znalazł niezłe dojścia w Ameryce.

– Ciągle etruskie graty?

– Nie, zajął się teraz obrazami. Po historii z kradzioną wazą Eufroniosa, która poszła do amerykańskiego muzeum, a potem prasa narobiła wokół tego rabanu, to jest ryzykowny kanał, nie da się zarobić ani grosza.

– Dlaczego mówisz, że to już nie jest ten sam Rzym? – zapytał Rocco, sięgając po plaster specku.

– Dlaczego? Ludzie inni. Kiedy byliśmy mali i bawiliśmy się na San Cosimato, w porze obiadu słyszałeś, jak wołają: Mario, do domu! Jak zaraz nie przyjdiesz, to zobaczysz, policzymy się!

– No jasne. Jak przychodziłem z obtartym kolanem, to mama mnie goniła tak, że zdarłem sobie drugie.

– Już nie ma dzieciaków na ulicy. Jeśli matka ich woła, to krzyczy: Enrico, kurwa mać, jak nie wrócisz zaraz, ryja ci obije. – Sebastiano spojrzał ze smutkiem.

– Rozumiesz? Matka grozi dziecku, że mu ryja obije. To nieprawdopodobne. A wiesz dlaczego? Bo ludzie nie mają grosza. Wszyscy wściekli, przyciśnięci długami, zdeptani przez turystów i ich autokary, które parkują ci pod domem, nawet do kibla są gotowe wjechać. Ale jak ty zaparkujesz bez papierka, to zaraz sto euro mandatu. A do tego jeszcze serce pęka – nalał sobie pół kieliszka wina i połknął jednym haustem – na widok starych ludzi. Idź sobie na targ. Na Zatybrze, na Campo dei Fiori, na piazza Crati. I zaczekaj, aż będą zamykać. Zanim się zjawią śmieciarki, nadchodzą starzy. Niektórzy nawet pod krawatem, w marynarce. Zbierają do foliowych siatek jeszcze nie całkiem zepsute owoce i warzywa. I to nie są jacyś bezdomni, Rocco. Emeryci. Ludzie, którzy całe życie harowali. Powinni siedzieć w domu i bawić się z wnukami, czytać, oglądać telewizję. Ale nie, oni czy

słońce, czy deszcz, idą zbierać starą kapustę i ziemniaki.

Rocco skończył swoje wino i przytaknął.

– Wiem, Seba, wiem. Przecież nie wyjechałem znowuż tak dawno. Ledwo cztery miesiące.

– A poza tym, Rocco, rządzą Cyganie. Nie ci z obozowisk i przyczep, tylko ci z willi i mieszkań w centrum.

– Zawsze przecież rządzą. – Rocco spojrzał w spokojne, łagodne oczy przyjaciela.

Sebastiano bez przerwy narzekał. Od kiedy się poznali pierwszego dnia szkoły. Fartuszki z włókien sztucznych śmierdziały, zbyt sztywne kołnierzyki wpijały się w kark, okładka w zbiorze czytanek się rozklejała. Niebieskie i czerwone pióra nigdy nie chciały pisać.

Nawet pacierz odmawiany co rano przed lekcją był zbyt długi i Seba nie rozumiał, co to są „jakoimy”. Ale dziś w oczach przyjaciela widział dziwną nostalgię. Może to jego siwe włosy, pomyślał, a może jutro się dowiem. Sprawiał wrażenie kogoś, kto zaraz się podda, rzuci wszystko.

– Chciałbym już odejść, ale jest za wcześnie – Sebastiano podjął wątek.

– Ja jestem tutaj i czekam. Jeszcze mi sporo brakuje. Ale jeśli nic się nie ruszy, trzeba będzie coś zrobić.

– Ale miasto chociaż spokojne, nie?

– Wydawało mi się. Ale właśnie wyskoczył trup. Sycylijszyk, zaciukali go na trasie narciarskiej.

– Wypadek?

– Gdzie tam, zabójstwo.

– No to masz zawracanie dupy.

– Dziesiątego stopnia. Śpisz u mnie?

– Nie, hotel sobie zarezerwowałem. To sprawa na parę dni.

Rocco nie zapytał. Wiedział, że jak Sebastiano rozleje wino do kieliszków, sam zacznie mówić.

I rzeczywiście zaczął.

– No więc sprawa jest prosta. Przez granicę jedzie ciężarówka z ładunkiem mebli egzotycznych. Z Rotterdamu do Turynu.

– Kiedy?

– Pojutrze wieczorem. W ciężarówce będzie skrzynia, mam jej wymiary, na wierzchu napis „Chant number four”. Po angielsku znaczy pieśń numer cztery. To kawałek Spandau Ballet.

– A co w tej skrzyni?

– Maryśka.

– Ile tej marihuany?

– Parę kilo.

Rocco szybko policzył.

– Od kogo masz cynk?

– Od Ernsta.

– Ufasz Niemcowi?

– Niezbyt, ale co mamy do stracenia?

– Jak chcesz to rozegrać?

– Proste. Zatrzymujemy ciężarówkę, sprawdzamy ładunek, wykrywamy przemyt, zabierasz wszystko ze sobą. Co dojedzie na komendę, to dojedzie. Przecież nikt na miejscu tam nie będzie tego ważył.

– Gdzie schowamy nadwyżkę towaru?

– Zajmę się tym. Zabiorę do Rzymu.

– Ile dla mnie?

– Trzydzieści tysięcy euro.

– Czyste?

– Czyste, jak zawsze. Dam adwokatowi, on się tym zajmie.

Rocco pokiwał głową.

– Jasne, jasne, chętnie bym nie tykał tego gówna, ale... No dobra. Ja i ty?

– Ja i ty, po cywilnemu.

– Ilu będzie kierowców?

– Nie wiem.

– Jeśli jedzie z Rotterdamu, to całkiem możliwe, że będzie ich dwóch. Na długich trasach prowadzą na zmianę.

Do stolika podszedł kelner, Rocco i Sebastiano zamilkli. Młody chłopak z uśmiechem zabrał pustą deskę po wędlinach i zapytał:

– Panowie już coś wybrali?

– Tak – odparł Sebastiano, który nauczył się menu niemal na pamięć. – Dwa kotlety po aostańsku i jedną polentę z serem na spółę.

Kelner spojrzał, nie rozumiejąc. Sebastiano wyjaśnił:

– To znaczy, że się podzielimy jedną porcją. Do picia czerwone niemusujące. Dość wytrawne jednak. Ser, masło, jajka, musi być wino, które to uniesie.

– Dobrze – odrzekł gorliwie kelner – zatem proponuję Enfer d'Arvier.

– Znakomicie.

Kelner, ukłoniwszy się, odpłynął.

– Jeśli ich kuchnia jest na poziomie wędlin i wina, które podają, to czuję się jak w raju.

– Lepiej niż w raju, lepiej!

– Dobra, wracamy do naszych spraw – podjął wątek Sebastiano. – Mówisz, że może być dwóch kierowców, co proponujesz?

– Sądzę, że jeden mundurowy nie zaszkodzi.

– Ale musi być zaufany. Masz takiego?

Rocco zadumał się.

– Może tak. Znajdziesz trzy i pół dla niego?

– Ja daję półtora, ty dwa?

– Ustalone. Do jutra dam ci znać.

Wzniesli toast za interes. Potem przeszli do poważnych tematów.

– Jak tu się sprawy mają z dupami? – zapytał Sebastiano.

– Nieźle, jest ich trochę.

– Co mam robić dziś wieczorem?

Rocco poszukał w kieszeni portfela, wyjął wizytówkę.

– Masz, na początku korzystałem. Sto pięćdziesiąt euro i przychodzą do twojego pokoju.

Sebastiano wziął karteczkę.

– Włoszki?

– Zależy. Jeśli masz farta. A jak nie, to z Mołdawii.

– Lepiej. Nic nie mówią. Sto pięćdziesiąt euro, powiadasz? Ujdzie.

Dziesiąta. Jest dziesiąta, a ja czuję się tak, jakby była trzecia nad ranem. Nawet zostawiłem włączony telewizor i światło. Co za bajzel.

– *Świetnie, na tym zdjęciu świetnie wyglądasz. Masz zmysłowy czar top modelki...*

W telewizji pokazują jakąś brunetkę, ładną, z gładkimi włosami. Według mnie to peruka. Była sławna modelka. Nazywa się Tyra Banks. Siedzę na kanapie i gapię się w nią. To coś w rodzaju konkursu. Wokół grupa wystraszonych lasek, które chcą zostać top modelkami.

– *Świetnie, Jeannie, dałaś z siebie wszystko.*

Co za durny program. Była modelka, jakiś trans i paru starych knurów, którzy wybierają najlepszą. Poszaleli wszyscy.

– *Po co to oglądasz? – wyrzucam Marinie, która siedzi rozłożona na fotelu.*

Uśmiecha się, ale wcale nie odpowiada.

– *Widziałem się z Sebastianem. Ma do załatwienia interes, ale zaraz wraca.*

– *Mogłeś go zaprosić do domu – mówi Marina.*

– *Zamieszkał w hotelu, tak wolał.*

Marina wzrusza ramionami. O nic nie pyta. Nie chce wiedzieć. Nigdy nie chciała wiedzieć.

– *Widzisz, Elisabeth? Na tym zdjęciu nie wypadłaś maksymalnie dobrze – mówi z telewizora Tyra Banks. – Jesteś przygaszona, bez energii.*

– *Jak się czuje Sebastiano?*

– *Nieźle. Wielki i milczący. Chce wyjechać z Rzymu.*

Marina uśmiecha się. Wie, że ten niedźwiedź nigdy nie ruszy się ze swojej nory. Sebastiano zostanie i umrze w Rzymie.

Przygląda mi się. Chce wiedzieć. Opowiadam jej.

– Nazywał się Leon Micciché, zabili go. Na razie nie mam niczego konkretnego. Wiem tyle, że był Sycylijczykiem i miał w ustach chustkę.

– Chustkę w ustach.

– Wiem, o czym myślisz. Ale to nie jest żadna mafia i jej pierdolone porachunki.

– Skąd wiesz?

– Po pierwsze, jeśli mafia zabija, to albo trup znika na zawsze, albo, jeśli zabójstwo ma być nauczką, przekazać jakąś wiadomość, trup nagle odnajduje się na ulicy albo na ruchliwym chodniku pod jakimś wiaduktem. Wszyscy mają go zobaczyć. Nie zostawiasz trupa w środku lasu przy drodze, którą jeżdżą tylko ratraki.

– A po drugie?

– Mafia nie wtyka w usta chustek noszonych pod szyją. Wkłada kamień na znak, że zabity za dużo gadał, albo fiuta. Nie, ten, kto zabił, jest stąd. Z Champoluc.

– Brawo, Eveline – mówi Tyra Banks, komentując zdjęcie anorektycznej dziewczyny wysokiej jak latarnia – na tym wreszcie jesteś sobą.

– Wkurza mnie ten program. Zmień, zobacz, czy leci coś innego – prosi Marina.

– Po co oglądałaś? – pytam.

Uśmiecha się.

– Bo dziewczyny są ładne. Durne, ale ładne. Przypominają mi mnie w ich wieku.

– Byłaś ładna, ale nie byłaś durna.

Patrzy na mnie.

– Popraw się. Byłaś ładna, ale nie jesteś durna. Lepiej brzmi, prawda?

– To prawda, nie jesteś durna – mówię, a oczy wypełniają mi się czymś płynnym. Muszę je zmrużyć ze trzy razy, bo nie widzę nawet kanapy, na której siedzę.

– Nie płacz, Rocco, nie warto. Idę spać. – Wstaje, zabiera notes i idzie do przedpokoju. – Wyłączysz?

– Jasne. Co mamy dzisiaj?

– Dzisiaj mamy słowo wysięk. Co oznacza płyn powstający w wyniku zapaleń.

– Kiedy robi się wysięk, Mari?

– Czasami, jak ktoś dzierga igłą.

Dziergać, czyli tracić bez sensu czas. Wysięk, czyli płyn z zakażonej rany.

– To o mnie, Mari?

Ale już poszła spać.

Wyłączam telewizor, w domu zapada cisza, jakby spadło na niego sto kilo

ołowiu. Gaszę też światła, stoję i patrzę na salon. Wygląda dziwnie. Telewizor jest wyłączony, ale emituje poświatę jaśniejszą od otaczającej ciemności. Już wiem: albo wywalę ten telewizor, albo kupię nowy. Plazmę HD. Ale do starego jestem zbyt przywiązany. Tyle rzeczy mi przypomina. Wspomnienia.

To przez nie ciągle się potykam. Był taki niemiecki poeta, który mówił, że przeszłość to ktoś zmarły bez zwłok.

Nieprawda.

Przeszłość to zmarły, którego zwłoki ciągle cię nawiedzają. Za dnia i w nocy. Czasami to nawet przyjemne. Bo jeśli nadejdzie dzień, kiedy przeszłość nie zjawi się w twoim domu, to znaczy, że sam do niej dołączyłeś. Stałeś się przeszłością.

Może powinienem częściej sobie popieprzyć.

Sobota

Domenico i Lia Miccichè, czyli brat i bratowa zmarłego, czekali w obitym zielonym pluszem salonie hotelu Europa. Domenico był gruby. Jego żona również. Mieli smutne twarze. Ale był to nijaki, zdawkowy smutek, taki, jaki się okazuje, kiedy dziecko przyniesie złą ocenę ze szkoły albo samochód po wypadku trzeba oddać do kasacji.

Jak tylko zobaczyli Schiavonego, przedstawili się. Policjantowi nie umknął lekko alkoholowy oddech bratowej. Domenico Miccichè wypowiedział swoje imię przez zęby. Prawie jakby się go wstydził. Zdążył już pojechać do zakładu medycyny sądowej. Pozałatwiał formalności i widać było, że nie może się doczekać powrotu do swojej winnicy. Rozmawiali oboje o mrozie, o śniegu, aż Domenico zapytał:

– Dlaczego?

Rocco pokręcił głową.

– Na razie jestem w stanie powiedzieć panu tylko kiedy i o której godzinie. Na odpowiedź „dlaczego” i „kto” nie jestem jeszcze gotowy.

Domenico Miccichè usiadł na kanapie, w ślad za nim jego żona. Rocco nie miał wyboru i uczynił to samo.

– Ale za to ja miałbym do pana parę pytań.

– Jeśli to pomoże w śledztwie – zgodził się Domenico.

Z czarnego golfa wystawała twarz czerwona jak morska boja. Na czole, dokładnie na linii kręconych włosów, widać było oleisty ślad. Mógł to być pot, ale równie dobrze oliwka do włosów. Zegarek marki Rolex w stalowej kopercie. Pośród włosów na nadgarstku lśniła złota bransoletka.

– Pański brat Leon był tu od trzech lat. Odremontował chatę z...

– Luisa – dokończyła Lia, głaszcząc się po podwójnym podbródku i podzwaniając przy tym naszymi na białym swetrze.

– Tak. Luisa Pec. Zdaje się, że finansowo szło im całkiem nieźle. Ale jest coś, co może pomogliby mi państwo zrozumieć. Parę dni temu pokłócił się pan z bratem przez telefon, tak twierdzi jego żona.

Domenico prychnął.

– W kółko to samo. Widzi pan, wiele lat temu spłaciłem mu jego część spółki. Ale mamy jeszcze parę wspólnych nieruchomości. Leon chciał je sprzedać.

– A konkretnie?

– Gospodarstwo do remontu koło Erice i kamienny budynek na Pantellerii.

– O jakich sumach mówimy, panie Miccichè?

– Około miliona, do podziału oczywiście.

– Oczywiście.

Domenico poprawił się na kanapie.

– Niech pan posłucha. Moja firma ma ponad sześć milionów rocznie obrotu, jak wynika z deklaracji podatkowych. Niech pan sobie nie myśli, że ja dla pięciuset tysięcy euro...

Rocco zatrzymał go ruchem dłoni.

– Niczego sobie nie myślę. Chcę mieć jasność. Podając mi te informacje, oszczędza mi pan czasu. A więc brat chciał sprzedać, a pan nie?

– To niedokładnie tak.

– Tak twierdzi Luisa – wtrąciła się Lia Miccichè.

– Lio, proszę cię, daj mi dokończyć. To chodzi o mojego brata!

Lia spuściła wzrok.

– Przepraszam. Mówiłem więc, że to niedokładnie tak. Ja nawet i bym chciał sprzedać, ale za dobrą cenę. Albo odkupić drugą połowę. Leon chciał tych pięciuset tysięcy euro i nie mam pojęcia, na co ich potrzebował. Tylko że nie mogliśmy się dogadać. Wie pan, jak to jest między rodzeństwem?

– Nie, nie wiem, proszę mi opowiedzieć.

– Nawarstwiające się historie. Trwają latami i się zaogniają, potem już nawet nie wiadomo, jak się zaczęły. Jestem starszy od brata o pięć lat. On zawsze był tym najbardziej narwanym w całej rodzinie. Po śmierci mamy i taty, gdyby nie było mnie, przepuściłby całą firmę. Taki był ten Leon. Gonił bez rozważania za i przeciw. Tak żył, idąc za tym, co mu akurat sprawiało przyjemność.

– Wie pan, ile zostawił po sobie pieniędzy?

– Nie, nie wiem.

– Znając go, to niewiele – znów wtrąciła się Lia. – A może jeszcze będą do pospłacania długi.

Rocco spojrział na kobietę. Miała wąskie, wilgotne usta wcięte w białą, rozmiękłą twarz.

– Gospodarstwo i dom chyba wystarczą z naddatkiem, nie sądzi pani?

– Nie, bo te nieruchomości przejdą teraz na jego żonę. Dziwię się, że pan jako przedstawiciel prawa nie orientuje się w pewnych sprawach.

– A panią może jeszcze mocniej zdziwi, że oprócz majątku dziedziczy się też wiarygodności. A więc długi będą problemem Luisy Pec, nie sądzi pani?

Lia Miccichè zamilkła. Mąż spojrział na nią spode łba. Gdyby jego oczy były nożami, od dawna byłaby martwa.

Rocco nie mógł już więcej wytrzymać siedzenia z tą parą. Piły go majtki i chętnie by się podrapał, przeszedł się i zapalił papierosa.

– Nigdy się z bratem specjalnie nie lubiliśmy – nagle stwierdził Domenico. – Od zawsze. Miałem nadzieję, że któregoś dnia, może, coś się naprawi. Ale nic się nie naprawiło. A teraz za późno.

– Tak, za późno – przyznał Rocco. – À propos, dla mnie też już jest późno.

Bar przy dolnej stacji kolejki, gdzie spotykali się kierowcy ratraków

i instruktorzy narciarscy, był ulubionym miejscem biednego Leona Micciché. Wieczorami przesiadywał tam i gadał z Mariem i Michaeliem, właścicielami lokalu. O tej porze na miejscu był tylko Mario. Rocco usiadł na drewnianym stołku, oparł łokcie o bar zrobiony z jednego drewnianego rzeźbionego kłosa i zaczął się gapić na drogę przez zaparowane okno, jeszcze udekorowane bożonarodzeniowymi motywami. Mario odwrócony tyłem dosypywał kawy do młynka. Nie zwracał uwagi na faceta o zmęczonej twarzy, który siedział w płaszczu przy barze już jakiś czas.

– Żeby dostać kawę, muszę mieć nakaz? – zapytał Rocco, ciągle gapiąc się w okno.

Mario odwrócił się, uśmiechnął i podszedł do baru.

– Dzień dobry, to czym mogę służyć? Kawa?

– Nie, dziesięć deka sezonowanej szynki. No jasne, że kawa, to jest bar, nie?

Mario skrzywił się i wrócił do ekspresu.

– Pan jest Mario? – zapytał Rocco.

Tamten przytaknął, wsuwając filiżankę pod głowicę, z której miała wypłynąć kawa.

– Znał pan Leona?

– Tak, ciągle tu przesiadywał. Nieszczęsny, co za straszny koniec.

– Poproszę ristretto. Jaki był?

– Leon?

– Tak, on.

– Był pełen energii, wie pan? – Postawił kawę na barze. Rocco wsypał torebkę cukru. – Kiedy tu się zjawił, nie miał zielonego pojęcia o górach. Ale nie minęło parę lat i już zjeżdżał na nartach, a w lecie się wspinał. Dookoła jest sporo ładnych tras wspinaczkowych.

– Niech mi pan powie, u kogo miał krzywo?

Barman spojrzał na wicekwestora pytająco.

– Czy ktoś Leona nienawidził? – Rocco dopił kawę, była gęsta i smaczna.

– Nie, nie, nikt. Dlaczego niby? Zajmował się swoim życiem, zawsze uprzejmy. Był z Luisą, otworzyli to śliczne schronisko w Cuneaz.

– Jakiś konkurent biznesowy?

– Tu w Champoluc? Gdzie tam. Kasy starcza dla każdego. Nie, nie, żyli spokojnie i byli lubiani oboje. Chcieli założyć rodzinę. Szkoda ich, prawie im się udało, wie pan?

– Co się udało?

– Luisa jest w ciąży z Leonem, dowiedziała się miesiąc temu, panie wicekwestorze.

– Skąd pan wie, kim jestem?

– Widziałem pana. W noc zabójstwa. Luigi zawiózł pana na górę ratrakiem.

Luigi Bionaz to mój bliski przyjaciel oraz kuzyn Michaela, współnika. Wszyscy w Champoluc jesteśmy jakoś spokrewnieni. My miejscowi, mam na myśli.

Rocco oblizał łyżeczkę.

– Dobra ta kawa, dziękuję. Niech mi pan powie, gdzie tu znajdę sklep sportowy, ale najtańszy?

– Sto metrów dalej przy tej ulicy jest sklep. Dobry i tani.

– Należy do pana kuzynki?

Mario zaśmiał się.

– Nie, to tylko koleżanka.

– Wszyscy jesteście jakoś spokrewnieni, nie?

– Prawie wszyscy.

– No to niech mi pan wyjaśni: skoro wszyscy jesteście jedną rodziną, jak komuś mogło strzelić do głowy, żeby zabić Leona?

– A skąd pan wie, że to ktoś miejscowy? Mógł być z zewnątrz.

– Nie, jest stąd, niech mi pan uwierzy. Muszę tylko zrozumieć, dlaczego zabił.

Wyjął euro z kieszeni, wstał ze stołka i wyszedł z baru bez pożegnania.

Rzeźkie powietrze paliło w płucach. Patrzył na domy ze spadzistymi dachami, na zamarznęty brudny śnieg na poboczu drogi. Minał go samochód, podzwaniając łańcuchami na asfalcie. W małym supermarkecie pełno było Anglików, stali w kolejce do kasy z piwami w garści. Witryna sklepu koleżanki Maria była ozdobiona styropianowymi płatkami śniegu pokrytymi srebrnym sprejem. Dobrze wyeksponowane stały narty w jaskrawych kolorach. Rocco był zdumiony cenami. Poniżej ośmiuset euro nie było o czym gadać. Wszedł.

Rozbrzmiał dzwonek ostrzegający, że zjawił się klient. Rocco rozejrzał się, ani śladu właściciela. Same regały, lada z kasą, wszędzie pełno swetrów, czapek, rękawic, spodni, puchówek, kombinezonów i butów.

– Hej, jest tam kto?

Nic. Zero odpowiedzi. Pomyślał o tym, co by się stało, gdyby ktoś zostawił tak sklep bez opieki w centrum Rzymu. Oskubaliby go jak rybę do gołych ości. Podeszedł do kasy. Przynajmniej ta była zamknięta. We wnętrzu unosił się przyjemny zapach drewna i żywicy. A jak się uważniej powąchało, to także lekka nuta konfitury wiśniowej. Ładna drewniana klepka ułożona w jodełkę skrzypiała pod stopami. Pasowałaby także do domku nad morzem. Dąb, stwierdził Rocco, bez sęków. Dobry wybór. Obok kasy stał otwarty komputer. Vaio najnowszej generacji, pierwsze, co w Rzymie ukradliby bez mrugnięcia okiem. Na monitorze rozpoznał obraz górnej stacji kolejki na dwóch tysiącach metrów. Widać było kawałek hangaru, gdzie parkowały ratraki, biuro szkółki narciarskiej. Podeszedł do monitora. Notebook był podłączony do strony Monterosa Ski.

Przyglądał się stop-klatce, kiedy znów rozległ się dzwonek przy drzwiach.

Do sklepu weszła uśmiechnięta brunetka, na oko trzydziestopięcioletnia, krótko ostrzyżona, z wystającymi kośćmi policzkowymi.

– Dzień dobry, czym mogę służyć?

Od razu mu się spodobała. Odszedł od lady.

– Dzień dobry, proszę popatrzeć, jak ja wyglądam. – Wskazał na swoje buty, które z oryginalnych clarksów zachowały już tylko logo. – Pani kolega Mario powiedział, że tu są najlepsze ceny w całym Champoluc.

– Prawdę mówił. Najlepsze ceny i wysoka jakość. Moje motto. Mam sporo modeli, jaki pan nosi numer?

– Czterdzieści cztery.

Zniknęła za filarem, na którym wisiały lustra obklejone nalepkami.

– Niech pan podejdzie – zawołała go zza parawanu.

Rocco podszedł. Kiedy nachyliła się, żeby wyciągnąć buty z niższej półki regału, jej obcisłe spodnie lekko się zsunęły, ukazując gumkę od majtek. W kwiatki.

Stringi, ocenił po namyśle Rocco.

– Pokażę panu parę modeli. Woli pan skórę czy tkaniny techniczne?

– Żadnego plastiku, proszę.

Uśmiechnęła się. Pokazała dwie pary buciorów. Jedne były toporne w kształcie, z czerwonymi sznurowadłami.

– Te mają niezłe powodzenie.

Rocco przyjrzał się im sceptycznie.

– Chyba miały. Wyglądają jak buty wojsk alpejskich z pierwszej wojny światowej.

Wybuchnęła śmiechem i pokazała inne. Wydawały się trochę bardziej normalne. Z brązowej skóry. Brzydkie buty miejskie.

– Dobra, wolę te.

– Proszę przymierzyć – powiedziała sprzedawczyni i Rocco poszedł za nią.

Usiadł, rozwiązał clarksy. Przez chwilę bał się, że ma dziurę w skarpecie. Nie mógł zrobić z siebie idioty przed kumpelką barmana. Nie dlatego, że była zakolegowana z Mariem, ale dlatego, że choć nawet nie wiedział, jak ma na imię, już miał w głowie pewien plan wobec tego pięknego okazu kobiety.

Zdjął but, skarpetka była cała. Odetchnął z ulgą.

– Słyszał pan, co się stało na górze, w Creście? – zapytała, wyciągając zwinięty papier ze środka buta.

– Tak, to ja prowadzę śledztwo.

Wydała z siebie suchy dźwięk, jakby próbowała cmoknąć językiem przy otwartych ustach.

– To pan jest policjantem.

– Wicekwestor Schiavone. – Wyciągnął dłoń, wstając.

– Annarita Pec.
– Pec? Chwileczkę, takie samo nazwisko jak Luisy, żony zabitego?
– Tak, ale jesteśmy tylko kuzynkami trzeciego stopnia. Wie pan, tu w Champoluc...
– Wiem, wiem, jesteście spokrewnieni.
– Ale nie utrzymujemy z Luisą kontaktu. Witamy się, dzień dobry, dobry wieczór. To nie znaczy, że jej nie lubię, w końcu to moja kuzynka. Ale co się stało?
– zapytała z błyskiem ciekawości w oczach. – To był wypadek czy...
– Czy – uciął sucho Schiavone.
Kiwnęła głową i podała mu but.
– Proszę przymierzyć.
Rocco usiadł i przymierzył. Kiedy tylko wsunął stopę, poczuł, jakby w środku działał piecyk.
– Ciepłutkie są – zagadnął z uśmiechem i wstał. Zrobił krok. Wygodne. – Dobra, wezmę je.
Wziął z rąk Annarity drugi but, usiadł i zaczął go wkładać. Ona stała wciąż nieruchomo, patrząc mu w oczy.
– Skąd pan pochodzi?
– Z Rzymu – odpowiedział, wymawiając tę nazwę jak najwyraźniej. – Była pani?
Pokręciła głową.
– To źle, bardzo źle. Cudowne miasto. Gdyby się wreszcie pani zdecydowała, to oprowadzę. Znam je dość dobrze.
I posłał jej najlepszy uśmiech, do jakiego był zdolny. Ten z na wpół uchylonymi ustami, dzięki któremu miał naciągniętą skórę na policzkach i kurze łapki przy oczach. W dzieciństwie podpatrzył go u Clinta Eastwooda i przysiągł sobie, że jak dorośnie, też się tak nauczy. Zwykle działał.
– Miasto z pewnością cudowne. Mam nadzieję, że się pan nie obrazi, jeśli coś powiem.
– Ależ proszę.
– No więc chodzi o rzymian, nie znoszę ich. A tam jest ich parę milionów – i przypieczętowała ten cios uśmiechem.
Również ona, uśmiechając się, ściągała skórę na policzkach i lekko mrużyła orzechowe oczy, przez co błyszczały jeszcze bardziej. Annarita Pec umiała się bronić. Żeby mieć z taką szansę, potrzeba by paru tygodni starań. Ale przecież musiał rozwiązać sprawę Leona, do tego w Aoście czekał Sebastiano. Nie miał czasu. Szkoda, powiedział sobie w duchu i wstał.
– Zrozumiałem aluzję, pani Annarito. Jasno i wyraźnie.
– Ale nie obraził się pan?
– Nie, skądże. W sumie ma pani rację. Osiemdziesiąt procent rzymian jest

nie do zniesienia.

– Nie wątpię, że należy pan do tych lepszych dwudziestu procent.

– Błąd. Należę do najgorszych dwóch procent – mówił bez uśmiechu, patrząc jej w oczy. – Wróćmy do poważnych spraw. Potrzebuję rękawic.

Annarita jakby się obudziła.

– Dobrze. Skórzane czy z goreteksu?

– Nie, nie, chodzi mi o konkretny typ rękawic. Może pani ma takie. Śniegowe. Marka Colmar. Z czarnej skóry.

– Ten model był popularny parę lat temu. Może w koszu z promocjami... Sprawdzę. – Szybko podeszła do skrzyni z jasnej sosny pełnej rękawic narciarskich. Zaczęła wyciągać z niego różne pary. – To dla pana?

– Pani jest kuzynką Luisy. Zatem znała pani Leona.

Annarita odwróciła się do niego.

– Jasne, a bo co?

– To niech pani sobie wyobrazi, że rękawice są dla niego.

Potrząsnęła głową, uśmiechając się.

– Nie rozumiem.

– Musiał mieć mniej więcej mój rozmiar, nie?

Właścicielka sklepu popatrzyła na jego dłonie. Potem ze smutkiem przytaknęła.

– Mniej więcej. – Znów zaczęła grzebać w skrzyni. – Mam, pasują?

Rocco obejrzał je.

– Świetne. Biorę. Ile razem?

– No więc buty Teva dwieście trzydzieści euro, rękawice osiemdziesiąt.

Nie drgnęła mu powieka. Wyciągnął portfel, ominął Annaritę i podszedł do kasy. Annarita szybko dogoniła go i weszła za ladę.

– Mogę zapłacić kartą?

– Jasne.

Wsunęła kartę, wstukała sumę na kasie i na terminalu.

– Gdzie wisi ta kamera? – zapytał, wskazując na włączony komputer.

– Ta? Na tarasie naprzeciw tras. Służy do sprawdzania, jaka jest pogoda na stokach. Obraz idzie przez internet.

– Jest włączona na okrągło, dwadzieścia cztery godziny na dobę?

– Zawsze, ale robi stop-klatki, nie ciągłą transmisję.

– Kto ją tam postawił?

– Ludzie z Monterosa Ski. Kontrolują z biura.

Rocco odebrał kartę, podpisał paragon. Odwrócił się, wziął stare clarksy i wsadził do torby.

– Mogę? – zapytał, wskazując na kosz.

– Chce pan je wyrzucić?

– Tak. – I wywalił stare clarksy do śmietnika. – Dziękuję, jest pani bardzo uprzejma.

– Nie ma za co, to była przyjemność, panie wicekwestorze. Mogę zapytać, dlaczego kupił pan rękawice dla biednego Leona?

– Nie są dla niego, ale dla mnie. Miłego dnia.

Podchodząc do biura Monterosa Ski, Rocco patrzył na nowe buty. Z wysoką cholewką, z izolowaną podeszwą, grzały tak, że stopy się w nich gotowały. Były grube, ale miały znośny kolor i ściśle przylegały do kostek, więc nogawki spodni dobrze je przykrywały. Nie musiał wpuszczać spodni w cholewy i chodzić jak powodzianin po zalanym domu. Rękawice też grzały. Otulały mu dłonie miękką i przyjemną podszewką z jakiegoś okropnego materiału syntetycznego, który jednak dobrze spełniał swe zadanie. Jedyne problemy to palce. Były ogromne, jakby szyte na yeti. W tych rękawicach nie dawało się zrobić nic innego jak bić dłońmi o siebie niczym orangutan.

Pierron zaparkował tuż przed biurem wyciągu. Kiedy zobaczył nadchodzącego wicekwestora, od razu zauważył zmianę w odzieniu.

– Wreszcie! To są porządne buty.

– Dwieście trzydzieści euro, przepłaciłem?

– To zależy. Jakiej marki?

– Nie wiem. Są skórzane i mają podeszwę jak czołg. O, widzę, jest napis „Teva”.

– Teva za dwieście trzydzieści euro? Dobra cena.

– Zanim wejdziemy do biura, zadzwoń do tego, no, jak się, kurwa, nazywa, Luigiego, szefa ratraków, i sprowadź go tutaj. Musi nas zawieźć na górę.

– Możemy wsiąść do kolejki linowej.

– Italo, fajny z ciebie facet, ale jak coś mówię, to widocznie mam powody.

– Tak jest. Przepraszam. – Italo wyciągnął komórkę i ruszył w ślad za przełożonym w stronę drewniano-szklanego budynku Monterosa Ski.

Rocco żałował, że nie było Margherity, dziewczyny spotkanej poprzedniego wieczoru. Na jej miejscu siedział całkiem łysy facet żujący powoli gumę. Miał podłużną twarz i jakby tego było za mało, wyhodował sobie spiczastą białą bródkę, która ją jeszcze bardziej wydłużała. Okrągłe zgaszone oczy patrzyły w pustkę. Jedyne śladem aktywności mózgu była nieustająca praca szczęk. Schiavone od razu skatalogował go jako *Connochaetes gnou*, antylopę afrykańską, którą w filmach dokumentalnych zawsze masakrują lwice i gepardy.

Kiedy mężczyzna wyciągnął rękę, żeby się przedstawić jako Guido, szef biura, Rocco prawie się zdziwił, że zamiast kopyta miał palce.

– Zdjęcia wrzucamy do internetu i przez parę dni zostają w komputerze. Potem co jakiś czas je kasujemy, bo zapycha się pamięć. Ostatnio nie kasowaliśmy. Ma pan szczęście – powiedział gnu i dalej żuł, gapiąc się nieruchomo na

wicekwestora.

– Ma pan tutaj te zdjęcia?

– Nie, są na zapleczu technicznym.

I przeżuwał dalej tkwił nieruchomo naprzeciw policjantów.

Rocco uśmiechnął się.

– A to zaplecze jest gdzie?

– Na dole.

– Na dole gdzie?

– Obok składu z narzędziami.

Rocco spojrzał na Italo.

– Według ciebie on udaje czy taki jest naprawdę?

– Według mnie taki po prostu jest – odpowiedział Italo.

Rocco nie mógł się nadziwić, że udawało mu się zapanować nad nerwami.

– Guido, jeśli mnie pan nie zaprowadzi, to skąd mam wiedzieć, gdzie jest zaplecze i skład?

– Nie wiem, czy mogę pana zaprowadzić.

Wicekwestor wziął głęboki wdech.

– Zrobmy tak: albo pójdziesz tam ze mną, albo pogonię cię na kopach aż do komendy w Aoście. – Potem wskazał na Pierrona. – A on mi pomoże.

W oczach przeżuwacza nie rozblysło żadne światelko. Ani lęk, ani czujność, ani złość, ani wyzwanie. Nic. Czarna dziura bez wyrazu. Wyjął gumę z ust, różową kulę wielkości piłeczki pingpongowej, przykleił od spodu do biurka i wreszcie wyszedł z pokoju. Rocco rozłożył ręce i ruszył za nim.

Zaplecze techniczne mieściło się w czymś w rodzaju pustego garażu. Stało tu parę komputerów i fotel z wytartą tapicerką. W nozdrza uderzał smród pleśni i innych grzybów.

– To jest ten komputer. – Guido wskazał przedmiot przypominający stary kaloryfer. – Do niego jest podłączona kamera i stąd obrazy idą do sieci.

– Umiesz go obsługiwać? – zapytał Rocco, gapiąc się na zawilgocone ściany, podczas gdy Italo przyglądał się bardzo uważnie komputerowi.

– Nie.

– To zawołasz kogoś, kto potrafi?

– Ja się tym zajmę, to stary pecet, żaden problem – zapewnił Italo.

– Dobra, bierz się do roboty.

Policjant podszedł do stołu, podsunął sobie krzesło, lekko tknął myszkę, monitor rozblysnął natychmiast. Guido stał w bezpiecznej odległości od komputera, jakby bał się, że zaraz wybuchnie.

Było ze dwadzieścia folderów ponazywanych według dat.

– Widzi pan, jaki bajzel? Posiedzimy tu do nocy – jęknął Guido.

– Co zawierają te foldery?

Italo otworzył pierwszy z brzegu. Zawierał kilkadziesiąt zdjęć. Ten sam kadr. Webcam przy trasach zjazdowych. Godzina po godzinie. Akurat to były zdjęcia z maja i zamiast śniegu i niskich chmur widać było ukwiecone łąki i słońce wysoko na niebie. Na lewo wielki garaż i szkoła, w środku wejście do kolejki, po prawej wzgórze, za którym krył się Cuneaz, mała wioska między zboczami, gdzie Miccichè miał schronisko.

– Dobra, Italo, poszukaj zdjęć z przedwczoraj, z czwartku.

– Ale w nocy nic nie widać.

– Pokaż mi te z czwartej po południu i dalej.

Italo odnalazł folder.

– Mamy je. Czwartek, piąty lutego, zobaczmy.

Było tam kilkadziesiąt zdjęć. Wszystkie identyczne, zmieniał się tylko kolor nieba.

– Słuchajcie, skoro umiecie to obsługiwać, to was zostawię, nie mogę się oddalać od biura na zbyt długo.

Rocco obserwował zdjęcia na pulpicie i pokiwał głową, nie odpowiadając.

– Kiedy skończycie, podejdźcie do mnie, dobrze?

I Guido ociężale ruszył w stronę drzwi.

– Wstań na moment – polecił Rocco i Italo odstąpił mu krzesło.

Zaczął przeglądać zdjęcia z czwartku, robione co godzina. Ułożył je w rzędzie. Utworzył się ładny efekt wędrówki słońca po niebie. Rocco przyglądał się zwłaszcza klatkom z siedemnastej trzydziści i osiemnastej. Miał nadzieję na łut szczęścia. Że zobaczy coś albo kogoś i to mu pomoże. Ale nic z tego. Śnieg, tylko śnieg. Na zdjęciu z osiemnastej widać było ratrak na gąsienicach wspinający się w górę.

– Może to nawet jedzie Amedeo, ten, co potem odkrył zwłoki – powiedział Italo.

Obaj policjanci utkwili wzrok w monitorze. Rocco otworzył foldery ze zdjęciami z poprzednich dni. Też były podzielone na godziny. Wybrał zdjęcia z siedemnastej trzydziści i powymyślał je z folderów, przeciągnął na pulpit i zaczął porównywać z tym zrobionym we czwartek.

– Co pan robi? – zapytał Italo.

Wicekwesor pracował myszką.

– Ustawiam zdjęcia do porównania. Zobaczymy, czy coś tu jest. Pamiętasz tę zabawę „wyteż wzrok”?

– Jasne: odkryj dwadzieścia szczegółów różniących dwa obrazki.

– No właśnie, Italo, skup się.

Niebieska poświata monitora oświetlała twarze policjantów, tak skupionych, że prawie przestali mrugać oczami. W źrenicach odbijały im się dziesiątki identycznych zdjęć. Nie mogli znaleźć niczego, co by je różniło. Ciągle to samo.

Śnieg. Garaż ratraków, szkołka narciarska, stacja kolejki. Trasa dla początkujących. Grzbiet, za którym leży Cuneaz. Ani jednego cienia, nikt nie przechodził.

– Tu! – krzyknął nagle Rocco, aż Italo podskoczył.

– Co?

Rocco wrócił do zdjęcia z dnia zabójstwa: czwartek, 5 lutego, godzina osiemnasta. Coś w tym zdjęciu nie pasowało. Porównał je ze środowym, z godziny osiemnastej. Ułożył obok siebie. Wszystko identyczne, garaż, kolejka.

– Wygląda, że wszystko jest takie samo – powiedział Italo.

– Szkołka narciarska, popatrz uważnie! – Rocco wskazał ją kursorem.
– Widzisz?

Italo pochylił się. Na zdjęciu z dnia zabójstwa drzwi do biura szkołki były uchylone.

– Są otwarte!

– Właśnie. A teraz popatrz na zdjęcie ze środy – rzucił Rocco.

Drzwi były zamknięte.

– Teraz pootwieram zdjęcia z poprzednich dni.

Ciągle osiemnasta. Ten sam kadr. Drzwi zawsze zamknięte.

– Widzisz? O osiemnastej drzwi są zamknięte, tylko w dniu zabójstwa nie.
– Przeciągnął się na krzesło, założył ręce za głowę i uśmiechnął się. – Chcę te zdjęcia zabrać na komendę.

– Żaden problem, skoczę kupić pendrive i je ściągnę. – Italo ruszył do wyjścia.

W chmurze dymu i rozpylonego śniegu, z tym samym co zawsze szczękiem żelastwa pojazd gąsienicowy podjechał pod dolną stację kolejki.

– Już jest – wskazał Italo.

– Zdążyłem zauważyć – odpowiedział Rocco.

Luigi Bionaz wysiadł, pozdrowił policjantów i ruchem dłoni zachęcił, by podeszli.

Nie było porównania. Chodzenie w tych grubych łodziach zamiast w clarksach zdecydowanie poprawiało jakość życia. Rocco prawie miał ochotę bawić się w rozdeptywanie kupek śniegu, tych samych, które do niedawna omijał jak najgorszych wrogów.

– Dzień dobry, komisarzu!

Nie poprawił go. Miał już dość. Z drugiej strony lata obcowania z literaturą i serialami, od Maigreta po Cattaniego, wdrukowały ludziom to słowo: komisarz. Które jemu z kolei kojarzyło się z procesami politycznymi w Związku Sowieckim za Stalina. Wsiadł na ratrak razem z Pierronem. Luigi wrzucił bieg i zaczął wspinać się główną trasą.

– Dokąd jedziemy? – zapytał.

- Tam, gdzie leżał Leon.
- Tak jest. – Wziął zakręt, zagryzając jak zwykle zgaszonego papierosa.

Rocco popatrzył na Itala.

- Potem musimy pogadać.

Italo kiwnął głową zmartwiony.

- Zrobiłem coś głupiego?
- Nie, musimy pogadać właśnie dlatego, że nie robisz głupot.
- Nie rozumiem.
- Nie możesz, bo nie wiesz, o czym mam z tobą do pogadania.

Luigi zainteresował się dialogiem policjantów.

- Teraz to i ja się zaciekałem – powiedział, zmieniając biegi.
- Pierdol się. Pilnuj, żeby się to coś nie wywaliło, i będzie dobrze – zgasił go

Rocco.

Luigi roześmiał się, klepnął kierownicę.

- Wy z Rzymu jesteście aż za sympatyczni.

– Prawda?

– Tak. Wydajecie się zamknięci i źli, ale tak naprawdę zawsze gotowi, żeby pożartować.

- Jeśli tak to widzisz – zakończył Rocco.

Wokół miejsca odnalezienia zwłok rozciągnięto biało-czerwoną taśmę. Jakiś człowiek pochylony zbierał coś ze śniegu. Miał biały kombinezon, rękawice i ochraniacze na buty. Wełniana czapka mocno nasadzona na głowę chroniła go przed zimnem.

Italo przyjrzał mu się uważnie.

- Ekipa dochodzeniowa jeszcze pracuje?

– Tak.

Człowiek w białym kombinezonie się odwrócił. Rocco pozdrowił go, a on z daleka odpowiedział ruchem głowy. Potem wrócił do swoich poszukiwań. Rocco i Italo przeszli pod taśmą, Luigi został przy ratraku i przypalił swój niedopalek.

Schiavone stanął dokładnie w miejscu, gdzie wcześniej znaleziono zwłoki. Śnieg jeszcze był poplamiony na brązowo. Rozejrzał się. Przed nim, na szczycie pagórka, leżał Crest, osada z sześcioma domami i schroniskiem. Wyraźnie widoczna była droga na skróty schodząca ku nim i biegnąca dalej aż do szerokiej trasy, która prowadziła w stronę wioski w dolinie. Po prawej miał drzewa, po lewej drzewa i opuszczoną szopę. W dali dach jakiegoś domu. Z komina unosił się dym.

– Tam mieszka samotna kobieta, osiemdziesiąt lat – zaczął Italo, jakby czytał mu w myślach. – Gadaliśmy z nią, ale jest prawie głucha i to w ogóle cud, że jeszcze pamięta, jak się nazywa.

– Dlaczego Leon się tu znalazł? – Słowa Rocca rozplynęły się wraz z parą z ust. – Jeśli schodził do wioski na piechotę główną trasą, która biegnie tam dalej,

to po co odszedł w bok, aż tutaj?

– Może schodził z Crestu?

– Ktoś go widział?

– Nikt. W schronisku jest sześcioro gości, kelner, kucharka i dwóch pracowników. Nikt go nie widział tamtego wieczoru. A domy stoją puste.

– Żeby dojść do Crestu, musiałby zboczyć. A więc jeśli tam naprawdę zmierzał, to musiał mieć jakiś powód. A nie miał powodu. No więc ja twierdzę, że szedł sobie z domu do wioski główną trasą. Ale nie rozumiem, czemu skręcił i znalazł się tu na skrócie, z dala od trasy. Coś tu nie gra.

– Nie, nie gra. Chyba że go ktoś zaciągnął.

– Nie ma śladów wleczenia po śniegu. No więc doprowadzili go żywego?

– A potem zabili?

Rocco znów spojrzał na trasę. Ślady ratraka, który w czwartkową noc rozjechał ciało Leona, były widoczne. Ocenił na oko odległość.

– Stąd do trasy jest jakieś czterdzieści metrów. Trudno wlec kogoś po świeżym śniegu przez czterdzieści metrów. Jakiś ślad powinien zostać, nie? Przecież nie spadł z nieba!

Italo nie miał odpowiedzi. Rocco pokiwał głową parę razy.

– Przyszedł tu z własnej woli. Był tu ktoś, kogo znał. Kto go zawołał, a może byli nawet umówieni. Wypalili papierosa i tamten zapewne go zabił. Właściwie nie mam co do tego wątpliwości. – Zrobił głęboki wdech i poczuł, jak zimne, czyste powietrze wnika mu do płuc. – Dobra, wracamy do Luigiego. Podejdę odwiedzić szkółkę narciarską, ty zaczekaj przy stacji kolejki.

Szedł w stronę dużego budynku, służącego głównie za garaż dla ratraków, w którym z boku za szklanymi drzwiami mieściła się szkółka narciarska. Kobiety opatulone w futra siedziały i czekały na swoje dzieci. Wyglądały jak żółwie z głowami prawie całkowicie pochowanymi w kudłate skorupy. Ich buty przypominały foksteriery owinięte wokół kostek. Rocco spojrzał za siebie. Przy stacji kolejki przywożącej ludzi z doliny Italo palił papierosa i wygrzewał się na słońcu. Powyżej stacji przy tarasie, który wszyscy omijali z powodu oblodzenia, znajdował się bar. Za stalowym masztem z włoską flagą ukryta była kamera internetowa. Wicekwesor pomachał do obiektywu w nadziei, że akurat w tej właśnie chwili aparat robił zdjęcie i go uwiecznił. Ruszył dalej w stronę szkółki.

Jeden z instruktorów wylegiwał się na leżaku w lustrzanych ray-banach, z rękami założonymi za głowę. Twarz miał już śniadą od opalenizny. Rocco minął go i wszedł do biura. Od razu uderzył go zapach kwaśnawego grzanego wina. W środku siedziała dwójka instruktorów, około dwudziestopięcioletni mężczyzna, przystojniak atletycznej budowy, i kobieta. Kobieta siedziała za biurkiem. Na widok Schiavonego od razu wstała. Miała sporą nadwagę.

– Dzień dobry – przywitała się.

- Dzień dobry – odpowiedział Rocco.
- Chce pan zapisać się na kurs? – zapytał uprzejmie opalony kaszalot.
- Nie, przyszedłem z innego powodu.
- Jeśli chodzi o informacje, to słucham.

Dwudziestopięciolatek zbierał się do wyjścia, ale Rocco zatrzymał go gestem.

– Proszę poczekać, może się pan okazać przydatny. I jeszcze niech pan ściągnie kolegę z zewnątrz.

Chłopak zmarszczył brwi. Rocco posłał mu uśmiech.

– Wicekwestor Schiavone, wydział śledczy komendy w Aoście. Policja. Kapewu?

Chłopak szybko przytaknął i wybiegł po kolegę, który nadszedł z beczelnym wyrazem twarzy człowieka, co to niczego i nikogo się nie boi.

- Co jest? Chodzi o sprawę z czwartku w nocy?
 - Świetnie, domyślił się pan. Powinien pan przyjść popracować z nami
- zmroził go Rocco.

Stanął przed trójką instruktorów i popatrzył na nich przez dziesięć sekund. Dziesięć sekund, które trzem śnieżnym smokom wydawały się wiecznością. Lody przełamała kobieta.

- Co możemy dla pana zrobić?
- O której kończycie?
- O czwartej. Lekcje trwają godzinę, a kolejka kończy jazdy o szesnastej czterdzieści pięć, więc ostatni moment, żeby zacząć lekcję, to wpół do czwartej.
- Kto zamyka?
- Zależy, mamy grafik dyżurów.
- Kto zamykał we czwartek? – sprecyzował pytanie Schiavone.
- Przedwczoraj to ja zamykałem – odpowiedział dwudziestopięciolatek.
- O szesnastej czterdzieści pięć?
- Tak, mniej więcej. A nawet wcześniej, bo kiedy sobie poszedłem, kolejka robiła ostatni kurs.

Rocco rozejrzał się. Popatrzył na plakat z ekipą instruktorską w komplecie. Co najmniej dwadzieścia osób.

- Ten, kto zamyka, otwiera następnego ranka?
 - Tak, zawsze ta sama osoba. W piątek rano to ja otworzyłem
- odpowiedział chłopak.
- A jak wyglądały drzwi do biura?
 - Były zamknięte, a bo co?
- Rocco wskazał na zdjęcie.
- Kto z tej grupy ma jeszcze klucze do biura?
 - Ten, kto ma dyżur, i Omar, kierownik szkółki.

– Omar Borghetti, prawda?

Bezczelny zdjął lustrzane ray-bany. Miał zeza. Rocco o mało nie roześmiał mu się w twarz.

– Zna go pan? – zapytał instruktor.

– Słyszałem o nim. Gdzie teraz jest?

– Prowadzi lekcję.

Rocco przeniósł wzrok na młodego instruktora.

– Co pan robił po zamknięciu?

– Założyłem narty i zjechałem w dolinę.

– Trasą czy skrótem przez Crest?

– Oszałał pan? Jasne, że trasą. Na skrócie, na tych wszystkich kamieniach, narty bym sobie uszkodził. Pod koniec dnia, kiedy wracam do domu, zjeżdżam na własnych, nie na firmowych.

– A potem?

– Potem nic. Poszedłem do domu. Prysznic, papieros, kolacja w knajpie. Kiedy wyszedłem z pubu o dziesiątej, już był ten cały cyrk.

– A więc, powiedzmy, od szesnastej trzydzieści do dziewiętnastej był pan w domu. Czy ktoś to może potwierdzić?

Chłopak popatrzył zmieszany na policjanta i spuścił wzrok w chwili, kiedy kobieta podnosiła rękę. Zezowaty instruktor wybuchnął śmiechem.

– Z czego się pan śmieje? – znów zmroził go Rocco.

– Przepraszam, ale nie wiedziałem o tym. – Popatrzył na kolegów. – Od kiedy?

– Co cię obchodzi, pilnuj swojego nosa – odpowiedziała mu kobieta, która stała się bardziej czerwona od służbowego swetra.

– Może mi pan zawołać tego Omara Borghettiego? – uciął Rocco.

– Wie pan co, szkoli grupę Szwedów w Gressoney, po drugiej stronie doliny.

Wróci za parę godzin.

Rocco potrząsnął głową.

– Pecha mam, co? Jak tylko wróci do bazy, przekażcie mu, że ma się skontaktować z komendą w Aoście. Mam z nim do pogadania. Trzymajcie się.

– Uśmiechnął się półgębkiem, spojrzał na kędzierzawego młodzieńca. – Cześć, Achab.

Zostawiwszy chłopaka zdumionego tym dziwnym pozdrowieniem, pożegnał się.

Kiedy tylko wysiadł z kolejki w wiosce, chwycił za komórkę.

– Inspektor Rispoli, to ja, Schiavone.

W telefonie rozległ się dźwięczny głos policjantki.

– Słucham pana.

– Ile ci zajmie zdobycie adresu Omara Borghettiego?

- W Champoluc?
- Chyba tak.
- Oddzwonię za minutę. Aha, jeszcze coś, D’Intino i Deruta nie dają znaku życia. Nie dzwonią i nie odpowiadają na telefony. Co mam zrobić?
- Odpuść sobie, chrzań to, uznamy ich za *missing in action*.
- Rocco rozłączył się. Włożył rękawice Colmar. Spojrzał na Italo.
- W takich rękawicach to możesz komuś dać w mordę, ale nic poza tym.
- Takie same miała ofiara?
- Ta sama marka, mniej więcej ten sam rozmiar.

Świeciło słońce, dachy domów parowały. W powietrzu unosił się zapach dobrych rzeczy do jedzenia. Wszędzie cisza i spokój. Schodząc po metalowych schodkach na drogę, Rocco przez chwilę pomyślał, że może to nie taki zły pomysł zamieszkać tutaj. Było dość zacisznie i pogodnie. Ale nie mógłby tu znaleźć schronienia na starość. Trzy podstawowe wady tego miejsca to: brak morza, za zimno i we Włoszech.

– Szkoda, zaczynałem cię lubić – powiedział w stronę wioski, ale zdanie podchwycił Italo, który dotychczas milczał.

– Ja? Co znów złego zrobiłem?

– Nie do ciebie mówię. Do wioski.

Italo nie skomentował.

Szli do samochodu, kiedy zatrzymał ich łatwy do rozpoznania głos Deruty.

– Proszę pana, proszę pana!

Deruta i D’Intino byli o jakieś pięćdziesiąt metrów od nich. Mieli twarze posiniałe z zimna. D’Intino szczął zębami, a uszy Deruty osiągnęły fioletową barwę. Rocco uśmiechnął się na ten widok żalostnego wycieńczenia, składając sobie w duchu gratulacje.

Dwaj policjanci zbliżali się szybkimi kroczkami, im byli bliżej, tym bardziej było widać, że buty, spodnie i kurtki mundurowe mieli przemoczone na wylot.

– Wyglądają jak kiepscy komicy rozgrzewający publiczność przed głównym występem, nie?

Italo uśmiechnął się pod wąsem, którego nie miał.

– O mamusiu, co za zimno – zawołał Deruta, kiedy podszedł do wicekwestora.

– Według mnie wcale nie – odparł Rocco, pokazując swoje nowiutkie rękawice. – D’Intino, lepiej się czujecie? Słyszałem, że wczoraj zaliczyliście zapasć.

– Tak, lepiej, podali mi kroplówkę.

– Super. A jak tam poszukiwania?

D’Intino wyciągnął notes.

– Zbieramy wszystkie nazwiska, tak jak pan rozkazał, i...

Notes upadł prosto w śnieg. D'Intino go podniósł, ale notatki zdążyły się już rozmazać i wkrótce stałyby się całkiem nieczytelne.

– D'Intino, co ty, kurwa, wyrabiasz?

D'Intino niezgrabnie próbował wytrzeć pierwszą kartkę, ale udało mu się tylko rozmazać kleks niebieskiego atramentu na całą stronę. Rocco wyrwał ją, zwinął spokojnie w kulkę, upuścił na ziemię i kopnął w stronę drogi. Potem spojrzął na obu podwładnych.

– Wracajcie do pracy, nie przyjechaliśmy tu na wakacje, jasne?

– Jasne. Jest coś, co może pana zainteresować.

– No, dawaj.

– W tamtym hotelu – wskazał budynek z napisem „Hotel Belvedere” – były dwie osoby, para, która wyjechała w wielkim pośpiechu w noc zabójstwa. Przedwczoraj.

– Dobrze, zanotowaliście dane?

– Tak.

– Przekażcie je inspektor Rispoli.

Deruta spuścił oczy.

– Co się dzieje, Deruta?

– No więc, chodzi o to, że Rispoli pracuje w policji dopiero dwa lata. Ja i D'Intino jesteśmy w służbie od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Nie wydaje się nam słuszne, że...

Rocco przerwał mu.

– Co jest, podważacie rozkazy? Jeśli mówię, że Rispoli koordynuje, to Rispoli koordynuje. Wyrażam się dość jasno? – Odwrócił się na pięcie, po czym ruszył do samochodu, a w ślad za nim Pierron.

W tej samej chwili zadzwoniła jego komórka.

– Co tam, Rispoli?

– Adres Omara Borghettiego to Saint Jacques, Chemin de Resay dwa. Zanim mnie pan spyta, od razu powiem, że sprawdziłam w komputerze na mapie i mogę wyjaśnić, jak tam się jedzie.

– No to wyjaśnij.

– Trzeba dalej jechać drogą przez Champoluc, minąć Frachais, w pewnym momencie dojedzie pan do wsi Saint Jacques. Stoi tam hotel. Przed nim odchodzi dróżka, pod numerem drugim mieszka Borghetti.

– Dzięki, Rispoli. Słuchaj, dopiero co spotkałem w Champoluc naszych Flipa i Flapa. Czują się dobrze, powiadom rodziny.

Caterina zaśmiała się. I ten jasny, dźwięczny śmiech przywrócił Roccowi dobry humor.

Z włączonym na maksimum ogrzewaniem Rocco i Italo opuścili Champoluc, jadąc w stronę Frachais. Droga prowadziła pomiędzy cielskimi gór, które

przytłaczały świat i wyglądały tak, jakby za chwilę miały połączyć samochód. Rocco przyglądał im się w milczeniu. Nie było to przyjemne uczucie. Olbrzymie masy gotowe cię zmiążdżyć. Od razu włączała się świadomość kruchości istoty ludzkiej, życia i tak dalej. Na szczęście równie ponure co bezużyteczne myśli przerwał mu telefon od Sebastiana.

– Sebastiano, jak leci?

– Miałaś rację, stary, podłapałem Ukrainkę, świetną, że aż strach.

– Zabawiłeś się?

– Tak, i to całkiem tanio. Gdzie jesteś?

– W Champoluc. Podążam swoim szlakiem.

– Zjazdowym? – Sebastiano nie zrozumiał metafory.

– Widziałeś mnie kiedyś na nartach? Słuchaj, nie gadałem jeszcze z mundurowym, który jest nam potrzebny. – Rzucił ukradkowe spojrzenie na Itala, wpatzonego w drogę. – Potem to zrobię. Spotkamy się w restauracji i zastanowimy się nad planem.

– Dobry pomysł. Idę coś zjeść i po południu zadzwonię znów do tej kobiety.

– Nie zakochaj się.

– Rocco, ona robi laskę tak, że powinni ją włączyć do listy światowego dziedzictwa UNESCO.

Rocco się rozłączył. Też by wolał spędzić leniwe popołudnie pod koldrą z jakąś Ukrainką albo Norą.

– Dojechaliśmy – oznajmił Italo.

Tabliczka z napisem „Saint Jacques” sprowadziła go z powrotem na ziemię, do gównianych obowiązków służbowych.

– Jaki fajny dom! – zawołał Pierron. – To rascard.

– Ras co?

– Rascard to typowe chałupy w tej okolicy, także po francuskiej stronie. Kiedyś na parterze były obora i stajnia, ludzie mieszkali na górze. Potem...

– Potem zabrali się do tego architekci – dokończył Rocco. – Ale i tak jest ładny.

– Omara nie ma. Co robimy?

– Zaczekasz grzecznie w samochodzie.

– A pan?

– Ja nie. Mamy tu śrubokręt?

Italo otworzył schowek i wyjął mały śrubokręt z czerwoną rączką. Podał go wicekwestorowi.

– Co pan z nim robi?

– Italo, matka ci nie mówiła, że zadajesz za dużo pytań?

– Nie, umarła, jak jeszcze byłem mały.

– No to ja ci to mówię.

Otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. Rozejrzał się po okolicy. Domy i droga w Saint Jacques wyglądały jak wymarłe. Podszedł do drzwi Omara, które wychodziły na ślepy zaułek prowadzący do domu w budowie. Śnieg pokrywał rusztowania, betoniarkę i cegły porzucone przez ekipę budowlaną pod koniec jesieni. Rascard był cofnięty w stosunku do drogi i schowany przed wścibskimi oczami. Rocco obejrzał drzwi wejściowe. Zwykły zamek, żadnych zabezpieczeń. Prosty zamek do drzwi zewnętrznych.

Mają zaufanie do ludzi w tych stronach, pomyślał. Podszedł do okna. Małe okienko z przesuwaną pionowo szybą. Stare, popękane ramy. Spróbował zajrzeć do środka, co utrudniała firanka. Ale jemu zależało na ustaleniu, gdzie dokładnie mieścił się zamek. Pośrodku. Podciągnął lekko dolną szybę, tak by przez szparę wsunąć czubek śrubokręta. Przejechał nim szybko raz i drugi, aż usłyszał kliknięcie zapadki, wyjął śrubokręt, podciągnął szybę. Okno było otwarte. Wślizgnął się przez nie wprost do mieszkania Omara Borghettiego.

Mieszkanie było małe, wyłożone drewnem. Na jednej ze ścian regał pełen książek. Stół i cztery krzesła, dwa fotele obite zielonym pluszem, mały telewizor. W kącie kuchenka z podstawowym wyposażeniem. Jedna sypialnia, łazienka, szafa ścienna pełna sprzętu narciarskiego. Czterdzieści metrów kwadratowych, przytulne gniazdko. Dobre schronienie, żeby się wyłączyć, odciąć od świata zewnętrznego.

Nie miał pojęcia, czego dokładnie szuka. Ale wiedział, że jak się grzebie w czyichś rzeczach, można się dowiedzieć więcej niż z rozmowy. Przedmioty nie kłamią.

Zaczął od komody w saloniku. Pierwsze, co znalazł ciekawego, to zdjęcia. Nie ze stoków narciarskich, jak mógł się spodziewać. Znad morza, robione wśród palm. A na nich Omar Borghetti i Luisa Pec. Na leżaku z drinkiem. Pod liściem bananowca. Ona siedząca mu na barana, on zanurzony w krystalicznie błękitnej wodzie po ramiona. Opaleni jedzą kolację przy świecach na tle zapierającego dech w piersiach zachodu słońca. Oboje na tle piramidy Luwru. Oboje w kafejce w Dzielnicy Łacińskiej. Ciągle i tylko oni dwoje.

Nieźle się zafiksował ten Omar Borghetti. Oprócz jego uczucia do żony Leona Micciché dzięki zdjęciom z plaży Rocco odkrył coś jeszcze: jakie ciało ma Luisa Pec.

– O kurwa! – skomentował krótko. Doskonale.

Czy dla takiej można umrzeć? Chyba tak, odpowiedział sam sobie. I można też zabić. Luisa Pec wyrwała i zabrała ze sobą serce Omara, a on siedział tu jak niedźwiedź w jamie, lizał rany i wspominał skórę, pośladki i oczy Luisy.

Miłość.

Miłość i Rocco nieraz się spotykali. Kiedyś łatwo się zakochiwał. Serce i myśli goniły za koleżankami z liceum, ze studiów, z pracy. Mariadele, Alessandra, Lorenza, Myriam, Finola. Wystarczyło coś w oczach, fryzura,

spojrzenie posłane spod powiek i już jego serce przyspieszało, szalało. Rzucił się w to cały, żeby potem żałośnie upaść. Któregoś dnia zjawiała się Marina i się pobrali. I tak jakby zatrzasnęła się zapadka w zamku. Miał trzydzieści pięć lat. Marina nacisnęła guzik i jego serce zaczęło odtąd bić tylko dla A.S. Roma. Był z żoną, kochał ją i nie było już miejsca dla innych kobiet. Patrzył na nie, ale tak jak się patrzy na ładny obraz albo pejzaż. Marina była jego portem. Zacumował i nie czuł już potrzeby pływania po morzach.

W łazience Omara stał rząd kremów do rąk i do twarzy, różnych marek z różnymi dodatkami. Staranność, z jaką Omar traktował skórę, kontrastowała z narzędziem do golenia: starego typu brzytwa, taka, jaką widać czasami w filmach gangsterskich, kiedy Al Capone siedzi u fryzjera albo gdy dochodzi do pojedynku bandziorów w zaułku Harlemu. Rączka z białej kości, wypolerowane ostrze.

Ale nie interesowały go ubrania i graty Omara Borghettiego. Chciał zrobić krok dalej. Znaleźć drobiazg, szczegółik, który wszystko by tłumaczył.

I wreszcie znalazł.

Między dwoma segregatorami wypełnionymi deklaracjami składek emerytalnych, rachunkami za prąd i aktem zakupu domu, w 2008 roku za dwieście osiemdziesiąt tysięcy euro, tkwił plan nieruchomości na kartce formatu A4. Była to kserokopia mapy geodezyjnej. Na górze skala, 1:100, oraz miejsce położenia nieruchomości: Cuneaz.

Dom był ogromny. I łatwo było się zorientować, że to plan schroniska, które postawili Luisa i Leon.

Dlaczego trzymasz to u siebie w domu? – zapytał w duchu Rocco i zaraz udzielił sobie na głos odpowiedzi:

– Sycylijczyk wyrolował cię, kolego, uprzedził cię i dał swoje pieniądze.

A Omar swoje pieniądze włożył w ten domek, gdzie teraz wicekwesor myszkował jak włamywacz, wtykając nos w przeszłość i teraźniejszość właściciela.

– Nie było pana prawie pół godziny – powiedział Italo, kiedy Rocco odkładał śrubokręt na miejsce.

– No i co z tego?

– Zastanawiałem się, czy znalazł pan coś interesującego.

– Sporo rzeczy. Głodny jestem. Poszukajmy jakiegoś przyzwoitego miejsca, zjemy coś i pogadamy.

Italo zapalił silnik, wrzucił pierwszy bieg.

– Dobrze pan zamknął okno?

Rocco spojrzał na niego.

– Nie zorientuje się, że byliśmy w środku.

– Byliśmy?

Rocco miał na ustach ironiczny uśmiezek.

– Zgoda, byłem. Ale dlaczego nie lubisz ze mną pracować?

- Bardzo lubię, chciałbym robić więcej.
- Żebyś robił więcej, musiałbym ci ufać.
- Rocco, ty i tak już mi ufasz.

Uśmiech wicekwestora zrobił się jeszcze szerszy.

- Niezły z ciebie cwaniak, Italo.
- Taki sam jak ty, Rocco. Mogę mówić ci na ty?
- Już to robisz. W komendzie mówimy urzędowo per pan, dobra?
- Tak jest. Co robimy, wezwiemy tego Omara Borghettiego?
- Na razie muszę skoczyć do biura. A on niech się trochę pogotuje we

własnym sosie.

Zatrzymali się koło Frachais, w hotelu o obiecującej nazwie Le Charmant Petit Hotel. Restauracja hotelowa była przytulna, a zapachy z kuchni wydawały się godne obietnicy zawartej w nazwie. Wnętrze wyłożone starą boazerią, ogień w kominku. Ogromne okna wychodziły na ośnieżony las. Rocco chrupał paluszka, Italo tymczasem słuchał Carla, młodzieńca z zarostem, o urodzie śródziemnomorskiej, prawie arabskiej.

- Na pierwsze mamy risotto w barolo, cudowne albo...
- Stop! – zdecydował Rocco. – Przekonałeś mnie. Zamawiam.
- Ja też – dodał Italo.
- Wino?
- Lubię Le Cret. Macie?
- Naturalnie. A z drugim daniem poczekamy?
- Dobrze. Carlo, przepraszam za pytanie, ale kolegujesz się z Cacioppolo?
- Z kim?
- To nasz kolega, pracuje teraz na trasach zjazdowych.

– Tak, znam go. Jest z Vomero. Ja jestem z Caserty. Przyjechaliście tu z powodu tej tragedii koło Crestu?

- Tak.
- Złapiecie skurwysyna, który zabił Leona?
- Próbujemy.

Italo się wtrącił.

- Co mówią we wsi?

Carlo oparł ręce o stół.

– Dużo mówią. Niektórzy podejrzewają, że Leon nadepnął na odcisk komuś na Sycylii. Inni sądzą, że narobił długów i nie mógł ich spłacić.

Schiavonemu podobał się ten chłopak. Był bystry.

- A ty co o tym sądzisz? – zapytał.

– Nic. Nie znałem go dość dobrze. Ani nie wiem nic o jego interesach. Ale gadanie, że to ktoś spoza doliny, wydaje mi się głupie. Jeśli zabijają cię z zemsty albo dlatego, że się naraziłeś, podrzucają ciało w centrum miasta albo likwidują je

tak, że na zawsze znika. Zostawianie trupa tam w lesie nie miało sensu.

– Racja, Carlo, dobrze rozumujesz.

– Ale ktoś go nienawidził – dodał Italo.

– Słuchajcie – Carlo wziął głęboki wdech – Leon miał tylko jedno, czego w Champoluc każdy by chciał.

– Schronisko? – podsunął odpowiedź Rocco.

– Nie. Chodzi o Luisę. Widzieliście ją?

– A jakże – potwierdził Italo.

– Przepraszam na chwilę, skoczę do kuchni, bo jak nie, to risotto dostaniecie na kolację.

I zniknął za wahadłowymi drzwiami. Italo pochylił lekko głowę w stronę wicekwestora, żeby nie słyszały ich trzy pary siedzące przy pobliskich stolikach.

– Rocco, ale mnie nie stać na taką knajpę.

– Spoko, ja zapraszam. Po cholere się męczyć, jakbym nie mógł nawet obiadu ci postawić?

Italo wzdrygnął się.

– No właśnie. Po cholere się męczyć, skoro mam dwadzieścia siedem lat i ciągle mieszkam z tatusiem, żeby zaoszczędzić na czynszu. I muszę uważać na kasę, jeśli chcę wyskoczyć do kina i na pizzę...

– Jasne. – Rocco znów zagryzł paluszkiem. – Jesteś fajny, Italo, ale perspektywy twojej kariery w policji nie są znów takie różowe.

– Wiem. I powiem ci coś więcej. Moje perspektywy w ogóle są niewesołe. Jeśli znajdę coś lepszego, odejdę z policji.

Italo nie tyle uchylał szparkę w drzwiach, ile otwierał szeroko bramę. Rocco, nie tracąc czasu, wszedł w nią.

– Jest coś, co możemy zrobić, żeby polepszyć trochę naszą ziemską egzystencję. Pasuje ci?

– O co chodzi?

– Coś nielegalnego.

Italo wziął paluszek. Ugryzł.

– Jak bardzo?

– Bardzo nielegalnego.

– Kradzież?

– Kradniemy złodziejom.

– Wchodzę w to! – I znów zagryzł paluszkiem. – To ja byłem tym mundurowym, o którym rozmawiałeś przez telefon?

– Tak. Chcesz znać szczegóły?

– O szczegółach pogadamy na spokojnie. O co chodzi tak w ogóle? Trzeba będzie strzelać?

– Nie. Chodzi o marihuanę. Sporo.

- Konfiskata?
- Właśnie, Italo. Ale nie wszystko trafi pod strzechy magazynu.
- Ile dla mnie?
- Trzy tysiące pięćset.
- No to jesteśmy umówieni!

W tej chwili intensywny aromat zapowiedział nadejście risotta z barolo. Italo i Rocco odwrócili się w stronę kuchennych drzwi. Carlo nadchodził z wielką cynową tacą. Postawił risotto na stole. Nakładał porcje, a znad ryżu wydobywały się kłęby pary. W nabożnym milczeniu policjanci obserwowali czerwone ziarenka i wdychali zapach ziemskiego raju rozchodzący się po całej sali. Carlo nie wypowiedział ani słowa. Skończył nakładać, uklonił się nie całkiem na poważnie i oddalił się. Rocco chwycił widelec. Wziął do ust risotto. Zamknął oczy. Po Luisie Pec i wiecznych lodowcach to risotto miało być trzecią rzeczą, której wspomnienie zabierze ze sobą z Champoluc na zawsze.

Dopiero kiedy popijał jałowcówkę i gawędził z Italem i Carlem, przypomniał sobie, że Baldi wezwał go na wpół do czwartej. Wizja twarzy prokuratora czekającego za biurkiem była jak cios pałąk prosto w twarz.

Italo jechał ostro, ścinając zakręty na serpentynach. Rocco polecił mu zwolnić. Nie ze strachu przed kraksą. Po prostu bał się, że risotto wyląduje na tapicerce i to arcydzieło kucharskie zmarnuje się z powodu jakiegoś prokuratora. Dotarli z półgodzinnym opóźnieniem. Ale Baldiego nie było w biurze.

Rocco siedział przed biurkiem prokuratora i gapił się w płaskie szare niebo za oknem. Oprawione w ramki zdjęcie ciągle leżało z boku, odwrócone w dół. Wyciągnął rękę, podniósł, przyjrzał się. Kobieta mniej więcej czterdziestoletnia, kręcone włosy, uśmiech jak z reklamy pasty do zębów.

Ekszona prokuratora była dość ładna, sądząc z oprawionego w ramki popiersia. Nie oglądasz się za taką na ulicy, ale ujdzie. Musieli się rozstać niedawno. Bo odwrócone zdjęcie jest tylko pierwszym krokiem do ostatecznego rozwodu. Odwrócone zdjęcie oznaczało, że prokurator jeszcze miał jakąś nadzieję na odbudowanie związku. Następny krok to zdjęcie w szufladzie, znak, że sprawy idą coraz gorzej, aż w końcu to samo zdjęcie ląduje w koszu. Koniec, mogiła. Rocco odłożył ramkę w chwili, gdy otwierały się drzwi. Baldi wydawał się odświeżony i wesoły, lok zasłaniający mu część czoła był jeszcze bujniejszy i podskakiwał wraz z każdym krokiem. Ręka, którą podał do uścisku, była sucha, pewna, mocna.

- Przepraszam za spóźnienie, byłem w Champoluc.
- Jakież nowości? – zapytał Baldi.
- Kilka. Podążam tropem zranionego kochanka. Niejaki Omar Borghetti. Wezwałem go na przesłuchanie.
- Ja też coś znalazłem, niech no pan spojrzy – powiedział prokurator,

podnosząc palec wskazujący. Okrążył biurko, z szuflady wyciągnął czerwoną teczkę. Usiadł i wyjął z niej papiery. – Co my tu mamy... co my tu mamy – powtarzał i kartkował dokumenty, śliniąc co jakiś czas palce. – No więc, Luisa Pec i Leon Miccichè zawarli małżeństwo półtora roku temu. Ślub cywilny. Ceremonia odbyła się w Cuneaz, tam, gdzie mają ten niby-hotel przy trasach narciarskich. Wspólnota majątkowa i tak dalej. O tutaj. – Baldi podniósł wzrok, trzymając wciąż palec na jednym z dokumentów. – Poprosili o parędziesiąt tysięcy euro kredytu w tutejszym oddziale Banca Intesa. Ale bank odmówił.

– Mieli jakieś plany pana zdaniem?

– Raczej tak. Jako zabezpieczenie – Baldi wyjął jedną z kartek – dawali kilka nieruchomości na Sycylii.

– Własność Leona Miccichè i jego brata. Ale to niczego nie dowodzi.

– Nie, niczego nie dowodzi. Klocki w układance, Schiavone. Wszystko to klocki, które dopiero razem mogą dać nam obraz sytuacji.

– Tak, pełny obraz sytuacji. A propos klocków, mam to. – Rocco wyjął rękawice kupione parę godzin wcześniej w sklepie Annarity.

– Ładne – orzekł prokurator.

– Prawda? Identyczne miał Leon. Mogę zapalić?

– Raczej nie.

– Chcę przeprowadzić dowód.

– No to niech pan pali.

Rocco wetknął papierosa do ust, sięgnął po zapalniczkę. Potem włożył rękawice i usiłował zapalić papierosa. Nie udawało się. Prokurator się przyglądał.

– Co chce pan wykazać?

– Prostą rzecz. Leon Miccichè, zanim został zabity, palił. Zszedł z szerokiej trasy na tę boczną drogę i wypalił papierosa, może nawet pogadał z zabójcą. Ale nie miał na dłoniach rękawic. A to znaczy, że po pierwsze – wyciągnął kciuk, wciąż w rękawicy – papierosa nie dostał od zabójcy, miał swoje.

– Mógł już palić papierosa, zanim podszedł rozmawiać z zabójcą?

– Nie, bo gdyby miał go już w ustach, miałby też włożone rękawice.

– Słusznie.

– Po drugie – wyciągnął palec wskazujący – prawdopodobnie sam sobie zapalił. Ale jest coś, czego nie rozumiem.

– A mianowicie?

– Po co ściągać obie rękawice? Wystarczy jedną.

Baldi się zastanowił.

– To prawda. Ma pan jakąś hipotezę?

– Nie, na razie nie. Wiem tylko, że paczka marlboro w kieszeni Leona była pusta. Może wyjął ostatniego papierosa, a paczki nie wyrzucił, bo dbał o środowisko.

– Możliwe. Świetna robota, Schiavone, świetna, Musimy to zanalizować.

Rocco zdjął rękawice i wetknął je do kieszeni, podczas kiedy prokurator zamykał teczkę.

– Teraz, drogi Schiavone, proszę dać mi popracować. Mam na karku sprawy finansowe. Dopadliśmy paru oszustów podatkowych, grubsza sprawa.

Rocco wstał z krzesła.

– Wie pan, gdyby nie było tylu oszustw w podatkach, bylibyśmy jednym z najbogatszych krajów Europy.

Rocco zatrzymał się i słuchał. Przeczynał, że zacznie się zaraz dłuższy lament.

Nie pomylił się.

– Nikt tutaj nie uważa państwa za coś swojego. Wielu ludzi we Włoszech myśli i rozumuje jak w dziewiętnastym wieku, że państwo jest wrogiem, że jest najeźdźcą, który tylko doi. Jest jeden prosty sposób, żeby uciąć tę patologię unikania podatków. Wie pan jaki?

– Zaraz mi pan powie.

– Zlikwidować banknoty. Wszystkie płatności, ale naprawdę wszystkie, muszą odbywać się za pomocą karty. Nikomu nie wolno płacić gotówką. I załatwione! Mielibyśmy możliwość pełnego śledzenia płatności i nikt nie mógłby udawać, że nie zainkasował jakiegoś przychodu.

Rocco pomyślał chwilę.

– Może to dobry pomysł, ale jest jedno ale.

– Jakie?

– A co z rentą emisyjną?

Baldi spojrzał na niego.

– Wie pan, ile kosztuje druk banknotu stueurowego? Trzydzieści centów. A wart jest sto euro. Różnicę inkasują banki centralne. Według pana bankowcy zrezygnowaliby z tego dochodu, zwanego również senioratem, żeby walczyć z unikaniem podatków?

– Nie pomyślałem o tym. Słuszna uwaga. Pomyślę jeszcze.

– Co jest, kurwa, co to za śmiecie na moim biurku? – wrzasnął Rocco, patrząc na koperty i pliki papierów.

Przesyłki adresowane do Leona Micciché. Przypomniał sobie, że kazał naczelnikowi poczty w Champoluc przekazywać wszystko. A ten potulnie wykonał polecenie. Zaczął przeglądać. Rachunki, list z banku, faktura za kablówkę, list z Klubu Alpejskiego. Otworzył go. Przedłużenie członkostwa. Nic ciekawego. Posłał wszystko do kosza na śmieci.

Usiadł za biurkiem, wyjął kluczyk spod zdjęcia Mariny, otworzył szufladę. Miał potrzebę wypalenia jednego, na spokojnie, żeby rozluźnić nerwy i oddalić od siebie zmęczenie. Chwytał dobrze napakowanego skręta i już myśli zaczęły mu

krążyć wokół Nory. Czy dziś wieczorem będzie z nią spał? Nie wiedział. Nie lubił spędzać nocy poza domem. Lubiał swoje łóżko, swój materac, który go rozpoznawał i przygarniał co wieczór wraz z kołdrą. Zapalił jointa i zaciągnął się po raz pierwszy. Przypomniała mu się Annarita ze sklepu sportowego. Odepchnęła go jak silna sprężyna. Jasne, pomylił uprzejmość sprzedawczyni z innego rodzaju gotowością. Niewybaczalny błąd. Może dlatego, że był przyzwyczajony do chamstwa i opryskliwości rzymskich sklepowych. Ten uśmiech i uprzejmość miały inne znaczenie. W Rzymie. W Aości były po prostu zwykłym zachowaniem wobec klienta. Niczym więcej. Zaciągnął się drugi raz, kiedy zastukano do drzwi.

– Nie wchodzić! – krzyknął.

Zaciągnął się głęboko trzeci raz, zgasił skręta na blacie biurka. Na podłogę spadł deszcz iskierek. Napluł na niedopałek i wrzucił go do kosza. Wstał i otworzył okno. Na zewnątrz zrobiło się już ciemno. Lodowate ostrze przecięło mu płuca.

– Ożeż, jak piżdzi.

Usiłował ruchami ramion wymieszać powietrze, jakby polował na muchę. Podszedł wreszcie do drzwi, które minimalnie uchylił. Pojawiła się w nich twarz posterunkowego Caselli.

– Czego chcesz?

– Przyszedł Farinelli z kryminalistyki. Mam go wpuścić?

Rocco odwrócił się w stronę gabinetu. Powąchał powietrze. Zapach marychy był jeszcze zbyt wyczuwalny. Znów spojrzał na Casellę.

– Czy Farinelli ma katar?

Casella zrobił grymas.

– Katar? Nie wydaje mi się, a bo co?

– To każ mu poczekać w wydziale paszportowym.

– Mam mu dać jakiś druk do wypełnienia? – zapytał Casella.

– Jaki znowu druk?

– No, paszportowy.

– Casella, jedyny druk, jaki bym chciał, żebyś wziął do ręki, to podanie o przeniesienie do Kalabrii. Spadaj! – Odepchnął go i zamknął drzwi.

Farinelli bawił się plastikowym kubkiem z kawą. Kiedy Rocco Schiavone wszedł do biura paszportów, nawet nie spojrzał mu w twarz.

– Jak dajecie radę pić to świństwo? Wezmę to do laboratorium i dam do analizy.

– Nie rób tego. – Rocco usiadł naprzeciw kolegi. – Pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć. Łatwiej żyć.

– Szczególnie ty to wiesz, nie?

– Tak, wiem bardzo dobrze. Przyszedłeś grzebać w mojej przeszłości czy masz dla mnie jakąś naprawdę sensacyjną wiadomość?

Farinelli pochylił się nad skórzaną teczką. Otworzył ją. Tak powoli, że nawet

mnisi zen podczas ceremonii parzenia herbaty ruszają się szybciej. Rocco podparł brodę na rękę i obserwował go. Spory nos, ale dobrze dopasowany do krągłej twarzy. Miał lekki prognatyzm i dzięki dolnej szczęce wysuniętej do przodu wydawało się, że na jego ustach błąka się zawsze lekki uśmiezek. Czarne, bystre oczy zdradzały inteligencję księgowego, który umie każdy włos podzielić na czworo. Rocco nie umiał sobie go skojarzyć z żadnym zwierzęciem, chociaż starał się od dawna znaleźć w pamięci jakieś podobieństwo. Szukał głównie wśród gadów. Bo takie oczy, ciemne, nieruchome, mają tylko gady.

– Jak się czuje żona? – zapytał.

Farinelli popatrzył na niego.

– Dobrze, a czemu pytasz?

– Nic, tak sobie. Jak zawsze piękna?

– Wolalbym, żebyś nie myślał tyle o mojej żonie. – Wreszcie sięgnął po papiery. – No więc są dwie sprawy najwyższej wagi. Pierwsza dotyczy chustki odnalezionnej w ustach denata.

– Tak.

– Była nasiąknięta krwią. Zbadaliśmy ją.

– Niech zgadnę. Krew należała do Leona Miccichè.

Farinelli oblizwał wargi. Wyglądało, jakby chciał splunąć.

– Tak – odpowiedział – ale to nie wszystko. Zrobiliśmy prostą analizę i wyszła nam grupa A minus. Czyli grupa, jaką miał Miccichè. Ale potem, prawie przez przypadek, wiesz, co odkryliśmy?

– Że jest jeszcze druga krew.

– Tak, grupa zero. Zero Rh minus. Należała do mężczyzny. A to nam nasuwa dwie podpowiedzi: albo zabójca się zranił, albo Leon ugryzł go, kiedy tamten wciskał mu chustkę do ust. O ile jeszcze żył w tamtym momencie. Bo to może też być krew z jakiejś starej rany. Ale tak czy siak sędzę, że znamy grupę krwi zabójcy.

– Świetnie. Teraz zbadamy krew paru tysiącom ludzi, sprawdzimy, kto nie ma alibi, i bach, mamy ptaszka!

– To miał być dowcip?

– Daj spokój, Farinelli. Świetna robota, to dobra wiadomość. – Poklepał go po ramieniu.

– Mam coś jeszcze ciekawszego.

– Słucham.

– Pamiętasz pewnie ten tytoń, który znaleźliśmy na miejscu?

– Ten rozkruszony? Pamiętam. No i?

– Nie pochodził z marlboro.

Rocco aż zatkał sobie usta dłonią.

– Co się stało? – zapytał Farinelli.

– Wiecie już, jaki to tytoń?
– Czekają nas żmudne analizy. Ale jeśli to się ma przydać...
– Cholernie się przyda, cholernie – powiedział Rocco i zatopiony w myślach wstał z krzesła. – Powiedz mi, Luca, nie znaleźliście tam na górze zapalniczki?
– Nie, nie znaleźliśmy. Dlaczego?
– No to chyba zrozumiałem, dlaczego Leon zdjął obie rękawice. Dziękuję, Luca, świetna robota.

Potem wychodząc z biura paszportowego, głośno krzyknął:

– Pierron, do mnie!

Italo zahamował przy dolnej stacji kolejki. Było już ciemno i narciarze dawno odjechali samochodami. Na górze Rocco dostrzegł światła ratraków wyrównujących trasy. Sklepy były jeszcze pootwierane, wesołe oświetlenie utrzymywało w wiosce świąteczną atmosferę, chociaż od Bożego Narodzenia minął kawał czasu.

Temperatura spadła sporo poniżej zera. Rocco nadaremno zapiął płaszcz na guzik. Lodowata łapa i tak wślizgnęła się pod ubrania i sadystycznie głaskała go po skórze.

– Gdzie go szukamy? – zapytał Italo, zamykając samochód pilotem.

Rocco nie odpowiedział. Skierował się od razu w stronę baru Maria i Michaela, w którym spotykali się wszyscy instruktorzy. Kilku z nich stało wokół kramu z grzonym winem na zewnątrz, w swoich czerwonych kurtkach, z ogorzałymi od słońca twarzami, w butach narciarskich jeszcze na nogach. Śmiali się, żartowali i pili wino wraz z Anglikami.

– Wicekwesor Schiavone. Szukam Omara Borghettiego.

Instruktor z zezem odwrócił się, trzymając kubek w dłoni. Był już pijany.

– Jest w środku, gra w karty.

– Dziękuję. – Rocco przeszedł obok lady z winem i odwrócił się do Itala.

– Napij się jednego, zaraz wracam.

Szyby w barze były zaparowane, znak, że w środku panował ścisk. Rocco otworzył drzwi, wszedł i zaraz poczuł, jak ogarnia go tropikalne ciepło zmieszane z oparami kawy i alkoholu. Nie było nawet gdzie stanąć. Syk ekspresu, który tłoczył parę do ponczu, herbaty i cappuccino, śmiech i brzęk szklanek ogłuszały. Rozejrzał się dookoła. Dostrzegł Amedea, chłopak, który odnalazł zwłoki, siedział przy stoliku z paroma osobami. Była instruktorka, ta bez wcięcia w talii, i jej kolega kochanek. Potem jeszcze jedna czerwona plama. Sweter Omara Borghettiego. Siedział z trzema osobami, karty w dłoni, skupiony na metodycznej grze. Rzucił kartę na stół, krzyząc „Przebijam!”, aż jego partner zakwicział z radości. Omar uśmiechnął się.

– Mamy dwadzieścia jeden, nie?

W tej chwili poczuł na ramieniu dłoń Rocca Schiavonego, ciężką jak łyżka

koparki.

Mario dał im dwa krzesła, usiedli naprzeciw siebie w magazynku, pomiędzy skrzynkami a kartonami. Rocco patrzył na Omara, Omar za to gapił się w ziemię. Wicekwestor nic nie mówił, czekał. Pozwalał płynąć sekundom bez słowa.

Omar Borghetti był już po czterdziestce, ale jego ciało nie potwierdzało jego wieku. Gęste, krótkie włosy lekko przyprószone siwizną. Opalona twarz pocięta dziesiątkami małych zmarszczek, zwłaszcza wokół oczu, gdzie podkreślały wodnistozielony kolor tęczęwek. Musiał wymiatać wśród kobiet na trasie. Rocco wyobrażał sobie te chmary wielbicielek, które uganiały się za nim, krzycząc: „Panie instruktorze, panie instruktorze! Jak mi idzie?”, i upadały wprost na niego, żeby dać się podnieść tym krzepkim, męskim ramionom.

Cisza krępowwała narciarza, próbował stawić jej czoło, gładząc się po świeżo ogolonych policzkach. Zwłaszcza na szyi miał sporo drobnych ranek.

– Gdzie pan się podziewał? Wie pan, że pana szukałem? – odezwał się znienacka Rocco.

– Nie wiedziałem.

– Podjechałem na górę aż do szkółki. Nie było pana. Koledzy nie przekazali?

– Przekazali, ale myślałem, że być może chodzi o mandat z zeszłego miesiąca. Jakaś mało pilna sprawa – i nałożył na twarz uśmiezek z kategorii „no przecież się dogadamy”.

– Mandat? – ryknął Rocco, a uśmiezek natychmiast zniknął jak woda wessana w piasek na plaży. – I według ciebie wicekwestor będzie zawracał sobie dupę jakimś pierdolonym mandatem?

– To po co pan mnie szukał?

– Bo się w tobie zakochałem. Durniu jeden, kiedy policja cię szuka, masz się zgłosić, jasne?

– Czemu nie może pan innym tonem?

– Bo nie jesteśmy na stoku, Borghetti, i mógłbym już cię zapuszkować. Tu ja jestem wicekwestorem, a ty jesteś nikim i masz odpowiadać na pytania. Jasne?

– Jest pan bydlę, proszę nie mówić do mnie na ty.

Rocco zerwał się na równe nogi.

– Jak nie zamkniesz ryja, to zapewnię sporo roboty twojemu dentyście.

– Łatwo się chować za mundurem.

– Nie mam na sobie munduru, gnoju jeden, mam płaszcz. I mogę się spotkać, kiedy chcesz i gdzie chcesz, zrobię z ciebie kotlet siekany.

– Zadawaj pan te pytania i spadaj.

Najpierw wyczuł poruszenie powietrza, potem zderzenie ręki z twarzą, które obróciło mu głowę i o mało nie zrzuciło z krzesła. Omar wytrzeszczył oczy, wydawało się, że jeszcze nie może uwierzyć w to, co się dopiero zdarzyło. Rocco stał z rękoma na oparciu krzesła i nachylał się nad nim jak nadciągająca burza.

– Jeszcze nie zrozumiałeś, z kim masz do czynienia?

Omar dotknął policzka. Z prawego nozdrza pociekła krew.

– Niech pan trzyma – wicekwesor nagle przeszedł na pan i podał mu chusteczkę. Instruktor wytarł krew. – Dobra, zaczęliśmy w niewłaściwy sposób. Postaram się utrzymać dialog na płaszczyźnie wzajemnego szacunku, panie Borghetti.

Facet ma chorobę dwubiegunową, pomyślał Omar. Świr.

Rocco zapalił papierosa.

– Wróćmy do naszych spraw, dobrze? – Wydmuchał dym i przeniósł z powrotem spojrzenie na instruktora. – Dlaczego we czwartek wieczorem był pan w biurze szkoły po zamknięciu?

– We czwartek?

– W wieczór, kiedy został zabity Leon Micciché. Dlaczego był pan na górze?

– Ja? Mnie tam wcale nie było. Nigdy nie siedzę w biurze po wpół do piątej.

Trzęsa mu się broda, mrugał powiekami. Rocco nie odrywał od niego oczu.

– Drzwi do biura były otwarte. Poza dyżurującym pracownikiem pan jako jedyny ma klucze. Kto mógł je otworzyć, jeśli nie pan?

– Ten, kto miał dyżur.

– Błędna odpowiedź, to nie on. A więc?

Omar Borghetti przeciągnął dłoń po twarzy.

– Jeśli nie było pana wtedy w biurze, to niech pan łaskawie powie, gdzie pan był?

– To delikatna sprawa.

– Ale nie aż tak jak zarzut zabójstwa, może pan być tego pewien.

– Zabójstwa? – Pomimo opalenizny Omar zbladł jak płótno. – Jakiego zabójstwa, co za...

– Dokładnie po tym, jak pan kończył krzątać się po biurze, ktoś wykończył Leona. Tego pan nie wie, ale mam nadzieję, że teraz mamy jasność sytuacji.

– Nie, nie wiedziałem. To znaczy wiedziałem, że Leon tej nocy... ale nie wiedziałem o której godzinie. Mój Boże. Mój Boże. – Zakrył twarz dłońmi.

Omar Borghetti teraz zrozumiał.

Rocco odzyskał zakrwawioną chustkę. Popatrzył na nią z uśmiechem i schował do kieszeni.

– No więc naprawdę nie chce pan powiedzieć, co pan tam robił na górze?

– Chcę adwokata – powiedział Omar Borghetti teatralnym tonem, jakby ktoś podkładał mu dubbing.

– Za dużo się pan filmów naoglądał w telewizji, Borghetti, ja tylko pytam...

– Wkurza mnie pan, komisarzy, i jeśli się pan wziął na mnie, to chcę wiedzieć dlaczego. I chcę adwokata!

Rocco znów podniósł głos.

– Dopiero co pana prosiłem o utrzymanie tego dialogu na cywilizowanym poziomie. Chcę wiedzieć, co pan robił na górze w wieczór zabójstwa!

– A ja chcę adwokata.

– Dobra, zrobimy tak: wręczę panu urzędowe wezwanie do prokuratury w charakterze podejrzanego, stawi się pan najdalej jutro rano z adwokatem, mam w ręku dość dowodów, żeby to się skończyło aresztem. Zapewniam, że jeśli się pan jakimś cudem z tego wygrzebie, poświęcę trzy czwarte swojego czasu, żeby zamienić pana życie w piekło. Dopiero co przeprowadziłem się do Aosty i nie mam nic do roboty. Będzie pan przeklinał dzień, w którym nie chciał pan kulturalnie odpowiedzieć na moje pytania. Żegnam.

Odwrócił się plecami dokładnie w chwili, kiedy Omar przemówił.

– Byłem w Belle Cuneaz u Luisy.

Rocco znów przeniósł na niego wzrok.

– Po co?

– Chciałem z nią porozmawiać.

– Nienawidził pan Leona Micciché. Zabrał panu Luisę i projekt stworzenia schroniska. Niech pan powie wreszcie prawdę.

– Skąd pan wie takie rzeczy?

Nie odpowiedział.

Omar mówił dalej.

– Z Luisą byliśmy, nie, nadal jesteśmy bardzo zaprzyjaźnieni.

– Ale panu ten układ nie pasował. A potem jeszcze wiadomość, że ona jest w ciąży, i już pan nie wytrzymał.

– Luisa go kochała i nie było już dla mnie miejsca. Wiedziałem o tym i wiem nadal, kiedy nie ma już Leona. Jesteśmy z Luisą jak rodzeństwo.

– O czym pan chciał wtedy porozmawiać?

– O czym?

– Tak, dobrze pan słyszy. O czym?

– To delikatna sprawa.

– A ja jestem delikatnym człowiekiem.

Na twarzy Omara pojawił się ironiczny grymas. Rocco odpowiedział uśmiechem.

– Wiem, że sprawiam inne wrażenie. Ale czytał pan Pirandella? Każdy gra w tym życiu jakąś rolę, jest maską i tak dalej, i tak dalej.

Wreszcie Omar się odezwał.

– Luisa ma u mnie dług.

– Ile?

– Prawie sto.

– Sto tysięcy? Jak to?

– Zeszły sezon to była klęska. Poza tym Leon porobił różne rzeczy

podwyższające standard, chciał wstawić wanny z hydromasażem do każdej łazienki i zbudować na zewnątrz jacuzzi. Nie miał na to pokrycia finansowego. No i ja je zapewniłem. Moje oszczędności. Chciałem je odzyskać, wie pan, instruktorzy narciarscy nie są miliarderami.

– Ani policjanci. Rozmawialiście? Pokłóciliście się?

– Nie. Powiedziała po prostu, żebym poczekał jeszcze miesiąc, że sezon idzie dobrze i że odda dług.

– A potem?

– Poszedłem sobie. Założyłem narty i zjechałem do wioski.

– O której?

– Nie wiem, ciemno już było. Ratraki uklepywały trasę.

– Umie pan zjeżdżać po ciemku?

Omar strzelił swoim najpiękniejszym uśmiechem.

– Panie wicekwestorze, zdobyłem brązowy medal na mistrzostwach Włoch w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim i należałem do kadry narodowej. Mógłbym zjeżdżać brzegiem urwiska tyłem z zamkniętymi oczami. Najpierw nauczyłem się zjeżdżać na nartach, potem dopiero chodzić.

– Spotkał pan kogoś po drodze do wsi?

– Nie, nikogo.

– Często się widzicie z Luisą?

– Prawie codziennie. Wpada do mnie czasami. Gadamy, pijemy herbatę. Albo ja podchodzę do schroniska. Mówiłem panu, jak rodzeństwo.

– Jeśli poproszę panią Luisę Pec o potwierdzenie tej wersji faktów, co mi powie?

– To samo co ja. Prawdę.

Rocco przeszedł dwa kroki po kanciapie. Popatrzył na lustra z reklamą coca-coli, na lodówkę do lodów, która czekała na lato, na stojak pełny butelek wina i dżinu.

– To co pan o tym wszystkim myśli? Kto mógł być w biurze o tej porze?

– Nie mam pojęcia.

– Czy w biurze jest coś, co może kusić złodzieja?

– Nie ma. Szafka z paroma rzeczami na wszelki wypadek, wie pan, zapasowa bluza, gogle. Żadnych pieniędzy ani wartościowych rzeczy. Tylko telewizor z lat dziewięćdziesiątych, nie wiem nawet, czy działa.

– Jak się mogę z panem kontaktować?

– Proszę dzwonić do biura szkoły. Będę do nich dzwonił codziennie, żeby zapytać, czy mnie pan szukał. Dam adres na wszelki wypadek.

– Nie będę musiał posyłać po pana policjantów?

– Nie.

Rocco otworzył paczkę papierosów i podsunął Omarowi.

– Pali pan?

Instruktor zdecydowanie zaprzeczył.

– Nigdy nie paliłem.

Rocco zanotował sobie w pamięci tę informację.

– Przykro mi, że pana uderzyłem.

– To ja przepraszam, zachowałem się jak idiota.

Omar wyciągnął rękę, ale Rocco jej nie uścisnął.

– Jeśli pan pozwoli, uścisnę, kiedy to wszystko się skończy.

– To znaczy, że pan dalej myśli, że ja...

– Kiedy się skończy – powtórzył, akcentując każdą sylabę.

Italo pił już drugie grzane wino, kiedy Rocco wyszedł z baru.

– Cudownie wchodzi. Znalazł go pan?

– Wszystko w porządku. Wracamy do domu. – Popatrzył na niego. – Dasz radę prowadzić? Nie jesteś pijany? Nie chcę się rozkwasić o drzewo.

– Wszystko pod kontrolą.

Podeszli do samochodu.

– Odwieźć pana do domu?

– Nie jesteśmy w biurze, możesz mi mówić na ty.

– No jasne, zapomniałem. To jak, do domu?

– Najpierw do laboratorium, muszę coś dać Fumagallemu.

– Co?

– Chustkę.

Wsiedli do samochodu. Sześć sekund później bmw Itala, rozbryzgując śniegowe błoto spod kół, ruszyło w stronę Aosty.

Gorąca, prawie wrzątek, ścieram sobie skórę, chcę czuć, jak cierpi od gorąca. Lubię, jak woda spada mi wprost na głowę, i zamykam oczy. Tylko że pod powiekami zawsze zjawi się coś, co sprawi, że je otwieram. Coś w rodzaju albumu fotograficznego pod powiekami. Zdjęcia, na które sam z własnej woli nigdy bym nie patrzył. Ale one tam tkwią. Ktoś je przykleił. Otwieram oczy. Z łazienki zrobiła się łaźnia. Ledwo widzę własne stopy. Paznokiec zrobił się fioletowy. Wychodzę z kabiny prysznicowej. Wszędzie para. Gęsta, mleczna para, jakby do łazienki wpłynęła chmura. Miła, ciepła chmura.

– Co robisz? – To głos Mariny.

Nie mogę jej dojrzeć, para ją zasłania.

– Muszę wyjść, kochanie. Sebastiano na mnie czeka. Już jestem spóźniony.

– Znów jakiś głupi numer?

Chce mi się śmiać. Głupie numery, jak to nazywa moja żona, zapewnią nam kiedyś życie w Prowansji, ale ona o tym jeszcze nie wie.

– Tak, robimy głupi numer.

– Uważaj na siebie, w nic się nie wpakuj.

– *Dobrze, kochanie. Gdzie jesteś, nie widzę cię?*

Wycieram ręką zaparowane lustro. Pojawia się moja twarz.

– *Broda mi odrasta. I zobacz, jakie wory pod oczami. Wyglądam jak borsuk, nie?*

Marina śmieje się. Śmieje się po cichu. Można się zorientować po tym, jak z nosa wychodzi jej powietrze. Regularny, krótki szybki oddech. Sz... sz... sz... jak zraszacz trawnika.

– *Chcesz wiedzieć, jakie słowo mam na dziś?*

– *Jakie?*

– *Nadpobudliwość. Kiedy ktoś wykonuje bezcelowe działania, na przykład z powodu stanów lękowych.*

Rozsmarowuję krem do golenia.

– *Kto wykonuje takie działania ogarnięty stanem lękowym? – pytam.*

– *Sam powinieneś wiedzieć, Rocco.*

– *Ja? A jak to wygląda?*

– *Wcześniej czy później musisz temu stawić czoło, nie sądzisz?*

Wiem. Chciałbym móc na dłużej zamknąć oczy. Ale pod powiekami znów by się wyświecił album grozy. Otwieram oczy, para w łazience zniknęła. Tylko na lustrze ślad dłoni. Chyba mojej.

– Nie pamiętał tylko, że narysował serce. Oparł czoło o lustro. Potem zaczął znowu nakładać piankę do golenia.

Sebastiano Cecchetti siedział przy tym samym stoliku co poprzedniego wieczoru. Jak tylko spostrzegł Rocca, pomachał mu ręką. Na granicy włosów nad czołem błyszczał mu pot. I to nie z powodu temperatury w restauracji. Seba był spięty i zmartwiony. Wystarczyło spojrzeć mu w oczy.

– *Co jest, Seba?*

– *Czekam na telefon. Ciężarówka może przyjechać wcześniej, nawet jutro w porze obiadowej.*

– *W niedzielę?*

– *Tak, w niedzielę.*

– *Jutro Roma gra z Udinese. Nie zamierzam przegapić meczu.*

– *Rocco, chyba jednak go przegapisz. – Sebastiano rzucił okiem na komórkę. Sprawdzał, czy jest zasięg. – Gadałeś z mundurowym?*

– *W porządku. Jest z nami. Czekają tylko na telefon. Mówiłem mu, że to wieczorem, ale nie będzie problemu.*

Sebastiano pomasaował się po brzuchu.

– *Zacisnął mi się żołądek. Nie wiem, coś mi tu śmierdzi, boję się, że będzie jakaś wtopa.*

– *No i co robimy?*

– *Zjem tylko trochę sera.*

Rocco potrząsnął głową.

- Miałem na myśli jutro. Działamy?
- Powiem ci, jak dostanę ten telefon.
- Cześć, Rocco!

Nawet nie usłyszał, jak nadchodzi. Zjawiała się, wychodząc zza filara. Nora pogryzała paluszka, leniwie oparta o ścianę. Włosy spięte w koński ogon uwydatniały długą szyję i mały dołeczek pod grdyką okolone sznurem pereł.

– Cześć, Noro.

Sebastiano odwrócił się do niej.

- Zniknąłeś. Dużo pracy?
- Spory zapieprz. A to mój kumpel Sebastiano. Przyjechał z Rzymu.

Sebastiano wstał, szarmancko pocałował ją w rękę.

– Miło mi.

– Jesteś sama? – zapytał Rocco.

Nora wskazała na stolik, przy którym siedzieli mężczyzna i kobieta około pięćdziesiątki, dobrze utrzymani, którzy śmiejąc się, odsłaniali komplet zębów lśniący bardziej od nakryć na stole.

– Kto to?

Nora odgryzła kawałek paluszka.

– Przyjaciele. A co, zazdrośny?

– Nie – odpowiedział Rocco, podczas gdy Sebastiano taksował ją wzrokiem od góry do dołu jak lotniskowy skaner.

Nora w antracytowej garsonce wciąż stała oparta o ścianę. Czuła, że Sebastiano się w nią wgapia, i sprawiało jej to chyba lekką przyjemność.

- Jutro jest niedziela. Co robimy? Widzimy się?
- Noro, słuchaj, to nie jest dobry moment. Zadzwoń później, dobra?
- Później będzie późno.
- No to się usłyszymy jutro i powiem co i jak.

Nora puściła do niego oko, posłała Sebastianowi uśmiech i wróciła do swojego stolika. Sebastiano nie spuszczał z niej wzroku, dopóki nie usiadła.

– Ale dupa. Kto to?

– Taka jedna.

– Traktujesz ją jak szmatę.

– Tak uważasz? Traktuję ją tak, jak się traktujemy w łóżku. Nic więcej i nic mniej.

- Na moje oko pasuje do ciebie.
- Naprawdę?
- Naprawdę. Pójdiesz do niej wieczorem?
- Bo ja wiem.
- Weź ją do domu, czemu nie?

– Mowy nie ma, Seba. Do domu nie ściągnę żadnej.

Sebastiano nalał sobie wody.

– Musisz kiedyś to pokonać.

Rocco nie odpowiedział. Gapił się w obrus, zmiatał palcami nieistniejące okruszki chleba.

– Nie możesz tak dalej ciągnąć. Cztery lata minęły. Kiedy wreszcie...

Rocco podniósł wzrok na przyjaciela.

– Sebastiano, lubię cię. Ale nie gadaj o tym. Nie mów mi, co powinienem robić, bo sam dobrze o tym wiem. Nie dam rady. Kropka.

– Rocco, ale Marina...

– Dosyć! Proszę! – krzyknął Rocco. Oczy miał zaczerwienione i wilgotne, usta ściągnięte rozpaczą, która paraliżowała go i trzymała za gardło tak mocno, że ledwo oddychał.

Sebastiano pogładził go po dłoni opartej na stole.

– Przepraszam, przepraszam.

Rocco zamrugał parę razy. Otarł łzę, pociągnął nosem i uśmiechnął się.

– No już, w porządku, lubię cię, Seba.

Chmury odpłynęły i znów zaświergotały radośnie ptaszki. Sebastiano odzyskał uśmiech i wskazał na Norę.

– Chętnie bym ją poobracał.

– Ukrainka ci nie starczyła?

– Masz rację. Wyssała ze mnie szpik.

Wybuchnęli śmiechem, w tym momencie zawibrował blackberry Sebastiana. Jednym szybkim ruchem wielki niedźwiedź chwycił telefon i podniósł do ucha. Słuchał w ciszy, skupiając się na słowach rozmówcy. Rocco nie słyszał, a Sebastiano nie zdradzał na twarzy żadnej emocji. Potem niedźwiedź pochylił głowę i zamruczał parę razy. Zaczął toczyć kulki z chleba. Dalsze pomruki. Wreszcie wyartykułował jedno słowo: „kurwa” i rozłączył się.

Spojrzał wicekwestorowi w oczy.

– To nie będzie jutro w porze obiadowej.

– Na szczęście.

– Dziś wieczorem, Rocco.

Sobota wieczór

Dokładnie pół godziny później Italo Pierron zjawił się u nich w mundurze, odprasowany i ogolony. Siadł za kierownicą volvo wicekwestora. Rocco wyjął koguta i przyczepił do dachu. Podczas kiedy Italo pruł w stronę autostrady, Rocco dokonał prezentacji.

– Seba, to jest Italo. Italo, to jest Sebastiano.

– Miło mi – powiedział Italo.

Seba milczał. Patrzył na zewnątrz, na światła innych samochodów i na ciemną masę gór.

Przez pół godziny nikt się nie odezwał.

Potem Sebastiano zaczął.

– No więc plan jest taki. Ciężarówkę łatwo rozpoznać, jest pomarańczowa i na naczepie ma napis Kooning SpA.

– Wiemy, jaką drogą jedzie? – zapytał Rocco.

– Tir zjeżdża z autostrady za tunelem około jedenastej i dalej jedzie drogą numer dwadzieścia sześć. Ma zaplanowany postój w Morgex, ale musimy zatrzymać go wcześniej.

– W Chenoz? – próbował zgadnąć Italo.

– Świetnie! – zawołał zdumiony Sebastiano.

– Jest tutejszy – dodał Rocco. – Machamy lizakiem, zatrzymujemy i każemy otworzyć naczepę. A ty, Seba?

– Wysadzisz mnie przed Morgex, w Chez Borgne. Tam mam furgonetkę. Dojadę do was, przeładujemy i spadamy.

– Nie przewozimy ich na komendę? – zapytał Italo.

Rocco wyjaśnił.

– To zależy. Jeśli zgodzą się na propozycję, to puścimy ich dalej, tylko bez części ładunku. Jeśli będą się stawiać, to tak, zwiniemy ich na komendę.

– A co wtedy z naszą częścią?

– Weźmiemy ją po tym, jak oficjalnie zatrzymamy kierowców i ładunek – odparł Rocco. – Ale nie sądzę, żeby była taka potrzeba.

Silny, uporczywy wiatr targał czubkami drzew, które pochylały się, jakby chciały pozbierać zrzucone dopiero co szyszki. Płaty śniegu na poboczu były czarne. Italo z lizakiem stał przy drodze za zakrętem, przytupując z zimna. Rocco palił oparty o dach samochodu oświetlony pulsującym niebieskim światłem koguta. Chmury na niebie pędziły, odsłaniając czasem rąbek gwiaździstego nieba. Jedyna latarnia oddalona o dwieście metrów rzucała na drogę i śnieg trupiożółtą poświatę. Nieliczne samochody na widok policjanta z lizakiem zwalniały, ale Italo gestami kazał im jechać dalej i znikać w czeluści nocy. Dwudziesta trzecia trzydzieści. Już niedługo.

– No i czegoś się jeszcze o mnie dowiedział? – zapytał Rocco w ciszy przerywanej szelestem gałęzi.

Italo odwrócił się. Wicekwesor ze wzrokiem wbitym w drogę wydychał kłęby dymu papierosowego zmieszanego z parą.

– Że jesteś podejrzewany o zastrzelenie dwóch ludzi i o jakąś aferę z politykiem w tle.

Rocco zaciągnął się.

– No tak. A ty jak to widzisz?

– Ja? Nijak. A ściślej, o tych zabitych to coś sobie pomyślałem. Jakoś się nazywali?

– Jasne, że się nazywali.

– Ale to ty ich załatwiłeś?

Rocco rzucił papierosa.

– Wiesz co? Zemsta niczemu nie służy. Albo lepiej: pozwala ci uwierzyć, że wszystko naprawiłeś, ułożyłeś mozaikę z powrotem. W rzeczywistości rozładowałeś tylko swoją frustrację. To zrozumiałe, ale chodzi wciąż tylko o frustrację. Problem polega na tym, że dopóki nie dokonasz zemsty, to tego nie zrozumiesz. Bez sensu eliminować tego, który cię skrzywdził. Wciąż ten sam błąd. Będzie się za mną ciągnął aż do śmierci.

– Dlatego zesłali cię tutaj?

Rocco uśmiechnął się.

– Nie, to stara historia sprzed czterech lat. Jestem tutaj z innego powodu. Nic o tym nie wiesz, bo było o tym cicho.

– Możesz mi opowiedzieć?

– Trzydziestoletni kutas gwałcił dziewczynki. Dorwałem go i zamiast odstawić, jak powinienem zrobić, do pierdła, spuściłem mu zdrowy łomot. Chodzi o kulach i stracił widzenie w jednym oku. Starczy?

– O w mordę. Złożył na ciebie skargę?

– Nie, koleś jest synem kogoś na tyle wpływowego, żeby mi zrobić kuku, i zrobił.

– Ile dziewczynek zgwałcił?

– Siedem. Jedna odebrała sobie życie pół roku temu. Wiesz, gdzie był mój błąd? Chodziłem rozmawiać z nimi, z ich rodzicami, chciałem sobie wyrobić pojęcie, do jakiego stanu je doprowadzał. Nigdy nie należy angażować się emocjonalnie, Italo. To błąd. Wielki błąd. Traci się jasność widzenia i samokontrolę.

– Gdzie jest tamten facet teraz?

– Mówiłem ci, spaceruje sobie na wolności. Nawet jeśli o kulach. Wcześniej czy później zrobi to znowu. Fajne, co?

Italo potrząsnął głową.

– Dlatego wyrzucili cię z Rzymu?
– Dałbyś wiarę? Dlatego. Za jedną z niewielu słusznych rzeczy, jakie zrobiłem w życiu.
– Ja bym go zabił.
– Nie mów tak. Zabiłeś kiedyś kogoś?
– Nie.
– Nie rób tego. Potem się do tego przyzwyczajasz. – Rocco spojrział w niebo. Uśmiechnął się lekko. – Widać gwiazdy, jutro będzie słonecznie.

Italo popatrzył.
– Wcale nie jest powiedziane, za dziesięć minut może znów się całkiem zachmurzyć.

Gdzieś w oddali zaszczekał pies. Odpowiedziała mu, becząc, owca. Potem jakiś odległy ryk. Ciągłe, stłumione warczenie. Brzmiało jak wezbrana rzeka albo schodząca lawina. Ale były to konie mechaniczne silnika ciężarówki. Rocco oderwał się od samochodu.

– Dawaj, Italo, mamy go.
Italo splunął na ziemię, zeszywniał z lizakiem w dłoni.
– Odepnij kaburę – zasugerował Rocco.
Italo zdjął zatrzask i uwolnił pistolet.
– A ty masz swój?

Rocco przytaknął. Podszedł do drogi. Hałas narastał, ciężarówka się zbliżała. Jeszcze trochę, a snop światła pojawiłby się za zakrętem, oświetlając asfalt i drzewa. Italo przełknął ślinę. Rocco wyrzucił peta w brudny śnieg.

– Ja będę mówił, a ty rób, co ci każę.
Młody policjant nerwowo pokiwał głową.
– I uspokój się.

Hałas był coraz bliżej. Rocco pociągnął nosem i nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wiatr przestał chłostać ludzi i rzeczy. Zza zakrętu przy wtórze setek koni mechanicznych, wyłoniło się osiem reflektorów. Wielki, dyszący parą stalowy smok pędził, jakby chciał zaraz połknąć dolinę wraz z mieszkańcami. Italo podniósł lizak. Silnik bestii zakrztusił się, słychać było redukcję biegów, tir wytracił prędkość, zbliżając się do policjantów. Była to ciężarówka bez przyczepy. Na boku miała wyraźnie widoczny napis Kooning SpA.

– To on! – krzyknął Rocco.
Kolos zwalniał. Po prawej stronie zaczął migać kierunkowskaz. Kabina kierowców była ciemna. Kiedy tir ich mijał, Rocco dojrzał tylko blady refleks światełek kontrolnych na tablicy rozdzielczej. W końcu stanął ze zgrzytem jakieś dwadzieścia metrów przed policjantami. W oczekiwaniu na rozwój wypadków zapaliły się światła stopu, z dwóch rur wydechowych dalej wydobywał się dym. Drzwi od strony kierowcy się nie otworzyły.

– Idziemy – zdecydował Rocco i ruszył w stronę tira.

Italo odłożył lizak na dach volvo, upewnił się, że pistolet jest na swoim miejscu, i poszedł za nim.

Rocco dotarł do ciężarówki. Chromowane powierzchnie lśniły w świetle jedynej latarni w oddali, stojącej na skrzyżowaniu. Silnik na jałowym biegu rytmicznie młotkował noc. Wicekwesor zastukał trzy razy, usłyszał szelest opuszczanej szyby. Wychyliła się twarz kierowcy. Blondyn, spłaszczony nos, jasne oczy, skóra pełna pryszczu. Niewiele ponad dwadzieścia lat. Uśmiechnął się i popatrzył na policjantów. Brakowało mu co najmniej trzech zębów.

– *Ja?* – powiedział.

Już ja ci dam *ja*, pomyślał Rocco.

– Otwieraj, durniu! – wrzasnął.

– *Open and come down!* – krzyknął Italo głosem i tonem nieskazitelnego służbisty.

Drzwi się uchyliły i kierowca postawił stopę na pierwszym stopniu.

– *Am I to come down?*

– *Yes, now!* – odpowiedział Italo.

Kierowca usłuchał. Zeskoczył na drogę. Rocco dał mu znak, żeby podszedł. Tamten usłuchał, wciąż z uśmiechem na ustach. Italo wspiął się do kabiny.

– *You!* – wrzasnął. – *Come down, documents!*

Rocco nie rozumiał, do kogo mówi. Kierowców ewidentnie musiało być dwóch. Pierron zszedł z powrotem. Wkrótce z kabiny wyłonił się drugi człowiek, chyba dopiero co wybudzony ze snu. Był czarnoskóry, postawny, z fryzurą rasta. W rękę miał foliową torbę.

Dwaj tirowcy stanęli obok siebie. Chociaż mieli na sobie tylko bluzy, wydawali się nie odczuwać zimna, nie drżeli. Jakby była już wiosna i kwitły wiśnie. Byli wyżsi od Schiavonego o co najmniej dziesięć centymetrów, mieli pewnie po metr dziewięćdziesiąt, a ich bicepsy też robiły cholerne wrażenie.

– Dwa bysie, co? – powiedział Italo. – *Stay quiet and calm down, okay?*

– *Okay* – odpowiedzieli chórem.

Rocco otwierał teczkę z dokumentami. Udawał zainteresowanie, ale nic go nie obchodziły kwity i pieczęcie celne. Nie zaskoczyły go banknoty wetknięte do dowodu rejestracyjnego. Dwa po sto. Uśmiechnął się, patrząc na tirowców. Odpowiedzieli mu mrugnięciem. Rocco wyjął dwa zielone banknoty i pokazał je Italowi.

– Zobacz, co było w papierach. To wasze?

Wyciągnął ku nim pieniądze, ale tamci nie mieli zamiaru ich wziąć.

– Aaa, to dla mnie? Łapówa? Tłumacz, Italo!

– *It's a tip?*

Czarny przytaknął.

– Dzięki, no wielkie dzięki. Rozumiesz, Italo? To jest usiłowanie przekupstwa. Według tych dwóch gnojków jesteśmy warci dwieście euro. Trochę mało, nie?

– No raczej – odpowiedział Italo, wciąż napięty, z dłonią gotową wyjąć broń. Rocco zmiął pieniądze w kulkę i wetknął je do kieszeni spodni blondyna.

– Rozumiesz mnie, prawda? – Blondyn wytrzeszczył oczy ze strachu.
– Wsadź se w dupę te pieniądze. – Potem sięgnął do kieszeni, wyciągnął zadrukowaną kartę i podetknął ją tamtemu pod nos. – Italo, powiedz mu, że to jest nakaz przeszukania.

W rzeczywistości było to zestawienie wydatków związanych z wyjazdami do Champoluc.

– Nie umiem tego powiedzieć.

– Przeszukanie, *understand?* – krzyknął Rocco.

Kierowca zbladł.

– *Perquisition?*

– No, rozumiesz. Otwieraj! – I Rocco wskazał na tył ciężarówki.

– *But polizia italiana good! Forza Italia! Cannavaro!*

– Co ten debil pierdoli? – Wicekwesor zbliżył się do twarzy blondyna.

– Otwieraj natychmiast, bo cię zmasakruję!

– *I have to take the keys, may I?*

– Mówi, że musi wziąć klucze.

– Powiedz mu, że ja wezmę.

Rocco wskoczył na pierwszy stopień i wgramolił się do kabiny. Deska rozdzielcza migiała jak ocean światełek wszystkich kolorów. Na szybie wisiał przyklejony nawigator. Rocco przekręcił kluczyk i wyłączył silnik. Wyciągnął pęk kluczy. Pokazał kierowcy.

– To są te? *This?*

Kierowca przytaknął.

Rocco i blondyn szli na tył ciężarówki. Drugi został, oparty o maskę, z lekkim przestraczem na twarzy. Italo obserwował go z ręką na kaburze. Czarny to zauważył, uśmiechnął się. Drżała mu jedna powieka, co jakiś czas zwilżał wargi językiem.

– Ten zaraz narobi pod siebie! – krzyknął Italo.

– Przyrowadź go tutaj. I wyciągnij gnata, robi się gęsto – odpowiedział mu Rocco.

Italo wyjął pistolet, spojrzał na chłopaka rasta, który na widok broni zrobił oczy w słup.

– *C'mon, let's go...* – Obaj ruszyli.

Wszyscy stanęli przed tylnymi drzwiami. Kierowca wsunął klucz do podwójnego zamka kontenera. Robił to za wolno, na wycucie Rocca. Wyrwał mu

klucze i sam przekręcił. Zamek szczęknął, klamki ruszały się swobodnie. Italo nie spuszczał obu tirowców z oka. Drzwi kontenera otworzyły się. W środku nie było pudeł, tylko jeszcze jeden kontener.

– A to co, kurwa? Kontener w kontenerze? Dawaj, wchodzimy i go otwieramy.

Italo odwrócił się na hałas nadjeżdżającego samochodu. Niebieski furgon ducato zatrzymał się obok tira.

– Co teraz?

– Spokojnie – odparł wicekwesor dokładnie w chwili, gdy Sebastiano wysiadł. Italo uśmiechnął się.

– Zapomniałem o nim. – Zasalutował.

Sebastiano, odgrywając rolę gliny, odpowiedział na salut. Obaj kierowcy obserwowali nowo przybyłego w milczeniu. Ten zaś obrzucił ich groźnym spojrzeniem.

Wzrostem dorównywał obydwu facetom. Splunął na ziemię, otaksował zawartość ciężarówki.

– Dobrze, dobrze, co my tu mamy?

– Kontener w kontenerze – odpowiedział Rocco, dając znak blondynowi, żeby ruszył za nim.

Wsiedli. Mniejszy kontener był czerwony i na tylnych drzwiach miał zamek. Rocco przyjrzał się pękowi kluczy. Pokazał je przyszcza temu.

– Który?

Kierowca wziął je do ręki i zaczął przeglądać w poszukiwaniu właściwego. Wszystko potem rozegrało się w mgnieniu oka. Rzucił je w twarz wicekwesorowi, który z zaskoczenia odskoczył w tył na tyle, że tamten mógł wyskoczyć i rzucić się do ucieczki. Czarny błyskawicznie zdzielił Itala, który padając, wypuścił z ręki pistolet. Sebastiano ledwo zdążył się odwrócić, kiedy już uciekali drogą. Rocco zeskoczył z ciężarówki i podszedł do Itala, który z grymasem bólu trzymał rękę na wardze. Podniósł pistolet i ruszył w pościg.

Sebastiano od razu zrezygnował z pogoni. Szybcy byli, bydlaki. Na rozwidleniu dróg rozdzielili się. Rocco postanowił pójść za białym. Naoglądał się lekkiej atletyki, wiedział więc, że nie warto ścigać się z czarnymi. Brakowało mu tchu. Za dużo papierosów i zbyt długi czas powstrzymywania się od wszelkiej aktywności fizycznej dawały się we znaki. Blondas zwiększał przewagę. Kolano Rocca wyło z bólu. Mógłby do niego strzelać, uziemić go i potem zgarnąć. Ale nagle jego skrzywienie zawodowe ustąpiło.

Co ja wyrabiam, powiedział sobie. Po jaką cholere. I stanął.

– A biegnij sobie do samego Rotterdamu, kutasie! – krzyknął za nim.

Przygięty przez brak tchu splunął gęstą śliną. Potem wyprostował się, podparłszy dłonią boki, usiłował na próżno się rozciągnąć. W plecach zatrzeszczało

parę razy. Odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem.

Italo miał pękniętą wargę. Sebastiano przyłożył mu trochę śniegu. Nic groźnego. Rocco podniósł klucze z ziemi.

– Tak lepiej, mówię wam. Mamy więcej czasu, żeby popracować, nie?

Sebastiano zgodził się. Italo był niezadowolony.

– Wykiwali nas jak dupków, nie podoba mi się to wcale.

– To myśmy ich wykiwali – sprostował Sebastiano. – Dawaj, Rocco, otwieramy.

Rocco wspiął się na ciężarówkę i podszedł do drzwi wewnętrznego kontenera. Przymierzył pierwszy klucz. Potem drugi. Wreszcie przy trzecim zamek ustąpił. Drzwi otworzyły się z metalicznym zgrzytem.

Oczy.

Dziesiątki oczu. Patrzyły na nich. Rocco cofnął się i o mało nie spadł z ciężarówki.

Kontener był pełen ludzi.

– Ożeż kurwa – jęknął cicho Rocco. Z mroku kontenera wstawionego do tira wyłaniały się oczy, zęby, twarze. – Co za jedni?

Sebastiano potrząsnął głową. Italo z ręką na obolałej wardze podszedł bliżej.

– Hindusi? – zapytał półgłosem, kiedy Rocco schodził z ciężarówki.

Największe wrażenie robiła absolutna cisza panująca w tej niesamowitej kryjówce. Żaden z mieszkańców stalowej jaskini nie wydawał z siebie najmniejszego dźwięku.

– Musimy ich wyprowadzić. *Out!* – zaczął krzyczeć Schiavone. – *Out of here!* – I wraz z Italem i Sebastianem zaczął gestykulować, żeby przekonać ludzi do wyjścia na zewnątrz.

Powoli ciemna masa wydała z siebie kłęb ramion, nóg i głów. I zębów. Uśmiechali się i szeptali coś w nieznanym języku, który brzmiał jak modlitwa. Italo ustawiał ich na poboczu drogi.

– Jeden, dwa, trzy... – a z ciężarówki schodziły też kobiety z dziećmi na ręku, chłopcy, dziesięcioletnie dziewczynki.

– Pięćdziesiąt sześć, pięćdziesiąt siedem, pięćdziesiąt osiem – Italo liczył dalej. Prawie już się nie mieścili na poboczu. – Pięćdziesiąt dziewięć... Rocco, co robimy?

Rocco patrzył w głąb ciężarówki, która wcale nie przestawała wypluwać ludzi. Nieszczęsna, obolała cizba.

Przy osiemdziesiątym siódmym Italo przerwał. Wyszli wszyscy. Stali z przestraszonymi, wytrzeszczonymi oczyma. Przerażliwie chudzi, zziębnięci. Jeden z nich wyciągnął rękę z paszportem. Sebastiano podszedł i wziął dokument.

– Acoop Vihintanage... są ze Sri Lanki.

Człowiek zakołysał głową z prawa na lewo.

– Ach! – powiedział. Potem objął mężczyznę po swojej prawej i kobietę po lewej. – *Amma... akka!*

– Gówno rozumiem – odpowiedział Sebastiano.

– *Brother... sister... mine.*

– Mówi, że to jego brat i siostra – przetłumaczył Italo.

– A kogo to obchodzi. – Sebastiano zwrócił paszport. Podszedł do Rocca.

– No i co?

– A bo ja wiem? Spróbujmy zrozumieć, dokąd jechali. Italo, mówią po angielsku, zorientuj się, dokąd mieli jechać.

– Już zaraz. – Italo podszedł do człowieka, który wcześniej wręczył im paszport. Rocco tymczasem znów wspiął się do ciężarówki.

– Co robisz? – zapytał Sebastiano.

– Rozejrzę się. Chcę sprawdzić, co jest w środku.

– Łap. – Rzucił mu małą latarkę.

Rocco poświecił nią i wszedł dalej.

Fetor zaatakował go z siłą głodnego drapieżnika. Smród potu i stłoczonych ludzi. Musiał wybiec, krztusząc się.

– Kurwa mać, ale smród!

– Nie wiadomo, jak długo byli zamknięci. Przyłóż sobie chustkę do ust. – Sebastiano rzucił mu białą chustkę.

– Czysta chociaż?

– Na pewno mniej zasyfiona niż tam w środku – odpowiedział Sebastiano.

Rocco zatkał sobie nos i usta, zapalił latarkę i znów wszedł do kontenera. Ledwo się mieścił, prawie dotykał sufitu głową. W smudze światła tańczyły miliony drobin kurzu. Na podłodze leżały szmaty, płócienne worki. Drewniany konik, samochodzik z blachy. Latarka oświetliła coś w rodzaju przełącznika. Rocco przekręcił go, pod sufitem zapaliła się jarzeniówka. Teraz widać było całą ohydę. Po podłodze walały się nędzne rzeczy tych ludzi w workach na śmieci albo tobołkach z brudnych szmat. Rocco przeszedł przez cały kontener. Echo odbijało metaliczny pogłos kroków. Doszedł do końca kontenera. Nie było niczego więcej. Ale coś mu nie pasowało. Cofnął się do drzwi i naliczył dziesięć kroków, depcząc kartki, szmaty, ogryzki. Potem zszedł z ciężarówki.

– Co się dzieje? – zapytał Sebastiano.

Rocco nie odpowiedział. Odliczył kroki wzdłuż naczepy tira. Zatrzymał się. Do końca kontenera brakowało jeszcze trzech kroków.

– Seba?

Przyjaciel podszedł do niego.

– Co jest?

– Kontener w środku jest długi na dziesięć metrów. To znaczy do tego miejsca, widzisz? Do końca zewnętrznego kontenera brakuje co najmniej trzech

metrów.

– Co chcesz powiedzieć?

– Że za kontenerem jeszcze coś jest.

– No ale co możemy zrobić? Nie wyciągniemy go. Dźwigu potrzeba.

– No tak. Albo... – Postukał w metalowe poszycie kontenera. Podniósł kamień i uderzył z całej siły. Metal się nawet nie zarysował. – Takiego wała, nic nie zrobisz.

– Może spróbujemy go przedziurawić – zaproponował Sebastiano.

– Niby czym?

– Kluczem do kół.

Sebastiano podszedł do niebieskiej furgonetki. Otworzył tylne drzwi. Milczący oddział Syngalezów przyglądał się ich krzątaniu wokół tira. Italo nadał rozmawiał z człowiekiem od paszportu i jego bratem.

Sebastiano wspiął się na ciężarówkę z kluczem krzyżakowym. Podszedł do końca wewnętrznego kontenera i zaczął walić w ścianę. Stał ledwo się odkształcała, poza zdrapaniem lakieru i zrobieniem piekielnego hałasu nie osiągnął widocznych rezultatów. Rzucił na ziemię klucz i wrócił. Na zewnątrz czekał na niego Rocco.

– I jak?

– Nic. Potrzeba wiertarki, frezarki czy czegoś takiego.

Rocco rozejrzał się. Pola za rowem po prawej, las po lewej. Wyszedł na środek drogi, ruszył w stronę zakrętu. Do Sebastiana podszedł wtedy Italo.

– Jechali do Turynu. Tam mieli się spotkać z nie wiem kim, kto miał im załatwić mieszkanie i pracę.

– A co mnie to obchodzi? Nie jestem policjantem!

– Tak tylko sobie gadam – mruknął Italo. – Żeby to zrozumieć, musiałem się zdrowo namęczyć. – Warga przestała mu puchnąć. – A on czego szuka? – zapytał, patrząc na wicekwestora idącego drogą.

– Nie wiem.

– A z tymi co zrobimy? Nie możemy ich zostawić na drodze. Niedługo zamarzną – zauważył Italo.

– Niech wrócą do środka, będzie im chociaż cieplej. Nic mi nie przychodzi innego do głowy. No popatrz tylko, w co się wkopałem!

Italo podszedł do Syngalezów i w tej samej chwili wrócił Rocco. Spojrzał na Itala prowadzącego nieszczęśników z powrotem do ciężarówki.

– Co robisz?

– Sebastiano mówi, żeby ich wprowadzić do środka. Bo jak nie, to pozdychają z zimna.

– Nie, mam lepszy pomysł. Sebastiano, zostajesz tutaj na straży – krzyknął do przyjaciela, który podniesionym kciukiem dał znak, że się zgadza. – Masz

gnata?

Sebastiano wyjął zza paska beretkę.

– Świetnie – zawołał Rocco i ruszyli.

– A my dokąd idziemy?

– Weź tych ludzi i powiedz, żeby szli za nami.

Italo podszedł do człowieka z paszportem.

– *Okay, you! Follow us, follow!*

Marco Traversa wracał z żoną Carlą do domu. Spędzili straszny wieczór z kolegami z liceum. Jedno z tych spotkań, których Marco na ogół unikał. Wiedział, że po trzydziestu latach lepiej się nie spotykać na nowo. Nie były to przyjemne imprezy. Godziny spędzone na opowiadaniu o kłopotach ze zdrowiem, z dziećmi, na porównywaniu, kto w życiu zaszedł dalej albo zachował więcej włosów. Marco pracował w banku. Audi, które właśnie prowadził, kupili używane, a Carla siedziała w domu i dorywczo tłumaczyła dla miejscowego wydawnictwa. Żadnych dzieci, rzadkie podróże, normalne życie. Nie miał specjalnie o czym opowiadać kolegom z klasy. A słuchaczem nigdy być nie lubił. Zwłaszcza jeśli musiał wysłuchiwać, jak Giuliano chwali się jachtem albo Elda opowiada o hodowli pitbuli w Champorcher. Na szczęście państwo Traversowie urwali się wcześniej pod pretekstem, że muszą jutro bardzo wstąpić. Wyszli z odrestaurowanej willi kolegi Miglia wraz z piętnastoma innymi byłymi uczniami trzeciej B liceum klasycznego imienia 26 Lutego. Jadąc krętą drogą do autostrady, Marco martwił się tylko o ewentualne dmuchanie w balonik. Gdyby go zatrzymali, mógłby mieć problemy. Wcale za dużo nie wypił, ale teraz wystarczą dwa kieliszki i już ci zabierają prawo jazdy, blokują kartę do bankomatu i zsyłają do kamieniołomów w Cividale del Friuli. Jechał powoli, siedemdziesiąt na godzinę, pomimo że Carla chciała szybciej, zwłaszcza na prostych, gdzie przecież policję widać z daleka.

– Za tym zakrętem dodam gazu, przysięgam – tłumaczył się.

W zakręt wszedł sześćdziesiąt na godzinę. Nagle przed nim w świetle reflektorów wyrósł znikąd facet w płaszczu, stojący z otwartymi ramionami. Marco ostro przyhamował.

– Kurwa!

– Co się stało? – zapytała Carla.

– Może nic takiego.

Przed samochodem zjawił się kolejny mężczyzna, tym razem w mundurze policjanta.

– Kurwa mać, drogówka.

Marco tak mocno złapał kierownicę, że aż zbieleły mu knykcie. Już widział oczyma wyobraźni, jak jego prawo jazdy ląduje w strzępach na asfalcie. Ale ku jego zaskoczeniu policjant nie podszedł do audi. Przechodził dalej przez jezdnię.

– Dokąd idą?

– Carla, skąd mam wiedzieć?

Za mundurowym pojawił się mężczyzna o ciemnej karnacji. Chudy, mały, przygarbiony. Potem kolejny i jeszcze jeden.

– Co to za ludzie? – zapytała Carla ledwo słyszalnym szeptem.

Marco potarł sobie twarz.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem.

Mężczyźni, dzieci i kobiety z głową okrytą sari wciąż przechodzili przez drogę. Mijając samochód, uśmiechali się i pozdrawiali ich lekkim skinieniem głowy. Marco też się uśmiechał jak głupi i machał ręką. Wraz z żoną gapili się na tę biblijną pielgrzymkę, zrozpaczone stado ciemnych ludzi w mroku nocy, odzianych w szmaty i chusty.

– To Hindusi? – zapytała Carla.

– No może, może tak.

– Dokąd idą?

– A skąd ja mam wiedzieć?

Szli i szli. Rzeka ludzi wydawała się nie mieć końca. Wtem, tak jak się pojawili, tak nagle zniknęli pochłonięci przez ciemność. Marco odczekał z zapalonym silnikiem i reflektorami, które oświetlały pustą już jezdnię.

– Jak myślisz, jechać?

– Jedź, kochanie, jedź – powiedziała Carla, głaszcząc go po dłoni, którą trzymał mocno na dźwigni skrzyni biegów.

Marco Traversa wrzucił jedynekę i pomału ruszył. Spojrzał na lewo, ale po maszerującej grupie nie było śladu.

Kiedy Emilio Marris otworzył drzwi, ujrzał faceta w płaszczu, policjanta, a nieco dalej grupę mężczyzn i kobiet skrytych w półcieniu między pniami modrzewi.

– Kim... kim jesteście? – zapytał, czując, jak rumienią mu się policzki.

Facet w płaszczu wyjął legitymację.

– Wicekwesor Schiavone, komenda w Aoście. To jest posterunkowy Pierron.

– Miło mi, Emilio Marris, emerytowany pracownik poczty – odpowiedział, przyglądając zaczesane do tyłu siwe włosy.

– Można?

Emilio przytaknął i odsunął się, żeby zrobić przejście. Schiavone wszedł z Italem, potem jeden po drugim weszli Syngalezi. Emilio uśmiechał się, nie wiedząc, co zrobić. Ci zaś odpowiadali lekkim ukłonem, z dłońmi złączonymi na wysokości piersi.

– Czym mogę służyć?

Rocco rozejrzał się. Ładny, schludny domek, włączony telewizor. Przed nim

na pluszowej kanapie spała kobieta. Na marmurze obok płonącego kominka drzemał zwinięty w kłębek kot. Ściany wyłożone boazerią pełne były pejzaży. W rogu sztalugi i niedokończony obraz. Tubki farby rozłożone na niskim stoliku na kółkach.

– To pan maluje? – zapytał Rocco.

– Nie, żona. Ginevro! – zawołał.

Ginevra zerwała się ze snu. Wytrzeszczyła oczy, widząc swój salon zatłoczony jak autobus w godzinach szczytu.

– Co... co tu się dzieje?

– Ten pan to wicekwesor z Aosty – uspokoił ją mąż.

Wstała z kanapy. Trzęsła jej się broda. Patrzyła na ciżbę ludzką, poprawiając siwe włosy, potem ręką wygładziła sukienkę w kwiatki i zapięła zielony sweter.

– Dobry wieczór – przywitała się cieniutkim głosem.

– Nie bójcie się, zaraz wam wszystko wytłumaczę – zaczął Rocco.

– Przechwyciliśmy ciężarówkę wiozącą tych uchodźców.

– Ale tu nie ma miejsca, mamy tylko jeden pokój gościnny – zaprotestował Emilio.

Syngalezi rozstawili się wzdłuż ścian. Tworzyli trzy szeregi, zostawiając tylko trochę miejsca dla Ginevry, jej męża i policjantów. Obudzony kot zabrał się do mycia przedniej łapy.

– Nie będą tutaj spali. Proszę tylko o przetrzymanie ich w ciepłe, póki ja z kolegą nie skończymy spraw przy ciężarówce – powiedział Rocco.

– Są pewnie głodni – zauważyła Ginevra.

– Niech się pani nie przejmuje. To tylko na krótko. Mogę o coś poprosić, panie Emilio?

Gospodarz uśmiechnął się.

– W tej sytuacji jedna prośba więcej czy mniej to żadna różnica.

– Ma pan diaks?

– Przecinarękę do metalu?

– Tak.

– Mam, ale na baterie.

– Tym lepiej, mogę pożyczyć?

– Jasne, proszę za mną. Przepraszam... – Emilio usiłował zrobić sobie przejście wśród stłoczonych w małym salonie Syngalezów. – Przepraszam, mogę przejść? – I przedzierał się z policjantami w stronę drzwi wejściowych. – Na momencik, niech się panie przesuną – poprosił dwie kobiety i wreszcie mógł odsunąć nieco obite blachą skrzydło drzwi.

Wyszli z domu.

Ginevra została w środku, w salonie, patrząc na wszystkich tych ludzi, którzy stali ze wzrokiem wbitym w ziemię. Wstydzili się.

– Ktoś tu mówi po włosku?

Żadnej odpowiedzi. Nie słyhać było najmniejszego szmeru. Nawet dzieci były cicho.

Ginevra spojrzała jednej z kobiet w oczy. Mogła mieć równie dobrze trzydzieści, jak pięćdziesiąt lat.

– Niech pani pójdzie ze mną, *venez avec moi*, okay? – Dała jej ręką znak, by za nią poszła. – *Tout le monde* – zwróciła się do reszty. – *Asseyez, asseyez s'il vous plait*. – Gestami pokazywała, że chodzi o to, by usiedli.

Tamci zaczęli się rozglądać za miejscem, gdzie można usiąść. Jedni na kanapach, inni na krzesłach, większość na podłodze. Ginevra wraz z jedną z kobiet wyszła do kuchni i wzięła się do otwierania szuflad i szafek. Wyjęła na stół wszystko, co było jadalnego. Wymawiała wyraźnie każde słowo.

– Ugotujemy dużo makaronu i podzielimy to, dobrze? Dla dzieci mam mleko, dzisiaj wydoiłam. *Lait, compri? Pour les enfants!*

Kobieta podziękowała ukłonem.

– Przykro mi, nie mam tego dużo. Kurczę, gdybym wiedziała, że przyjdziecie, poszłabym na zakupy – tak mamrocząc, Ginevra wyciągała po kolei garnki i patelnie.

Sebastiano przycupnął wśród skrzyń, czujnie nasłuchując każdego dźwięku. Kierowcy mogli przecież wrócić, czekał na nich z bronią w pogotowiu. Spręzał się w gotowości na każdy szelest liści, podmuch wiatru, trzask gałęzi. Zza zakrętu wyłoniły się trzy cienie. Odbezpieczył pistolet, ale zaraz go opuścił, to Rocco i Italo szli z facetem około siedemdziesiątki, który niósł jakiś sprzęt.

– To jest Emilio, będzie nam pomagał – przedstawił go Rocco. Podali sobie dłonie. – Przyniósł przecinarkę – dodał Rocco.

Emilio pokazał ją Sebastianowi.

– Jeśli ktoś nie umie się z tym obchodzić, lepiej, żeby nie używał, dlatego przyszedłem.

Sebastiano spojrzał krzywo, ale Rocco wzruszył ramionami. Wspiął się na ciężarówkę i wyciągnął rękę, żeby pomóc się wdrapać starszemu panu, który jednak zwinnie sam wskoczył. Zobaczywszy kontener, pokręcił głową.

– Jechali upchnięci tutaj? Rzeczy nie z tego świata!

– Prawda? Ale to się właśnie dzieje na tym świecie, drogi panie Emilio. Proszę tu podejść.

Emilio stanął obok wicekwestora, który ostukiwał dłonią tylną ścianę kontenera.

– Mamy powód przypuszczać, że z tyłu coś jeszcze jest.

– A gdzie są kierowcy?

– Uciekli. To jak, spróbujemy przebić?

– Oczywiście. – Emilio chwycił za przecinarkę. – Proszę się cofnąć.

Włączył, rozległ się ogłuszający hałas wzmocniony jeszcze przez zamkniętą przestrzeń. Kiedy tarcza wgrzyła się w metal, hałas stał się jeszcze bardziej nieznosny. Coś pomiędzy piskiem kredy na tablicy a świdrowaniem wiertła dentysty. Stojący na zewnątrz Italo zasłonił uszy. Sebastiano dalej czujnie obserwował drogę. Rocco zwinął dwie kulki papieru i wetknął je sobie w uszy.

W niecałe pięć minut Emilio wyciął dziurę, w którą swobodnie zmieściłoby się dziesięcioletnie dziecko. Wyłączył przecinarkę, przetarł dłonią usta.

– Gotowe.

Rocco podszedł do wyciętego otworu, Italo i Sebastiano wspieśli się na ciężarówkę, żeby spojrzeć. Schiavone oparł się o ścianę, kopnął w wyciętą blachę raz i drugi. Sebastiano i Italo patrzyli w gorączkowym napięciu. Emilio usiadł na bocznej ławce, czekając grzecznie na dalsze polecenia.

Za piątym kopniakiem blacha ustąpiła i wpadła do wnętrza tajnej skrytki. Rocco wszedł z latarką. Sebastiano i Italo podeszli do dziury.

Drewniane skrzynie. Sześciennie i podłużne. Jedna na drugiej. Rocco ledwo był w stanie się obrócić. Oświetlał latarką po kolei każdą skrzynię, Sebastiano, przechylając się przez dziurę, starał się odczytać napisy.

– Znajdź *Chant number four*, to nasza skrzynia.

– Nic takiego – głos Rocca odbijał się echem o blachę. – Same cyfry.

– Co tam jest?

– Nie wiem, wynieśmy na zewnątrz, to sprawdzimy.

Skrzynie były ciężkie, Emilio dzielnie pomagał. Po godzinie ciężkiej pracy, spoceni i wymęczeni, usiedli na skrzyniach postawionych na poboczu. Piramida z drewna. Każda skrzynia była zamknięta na kłódkę i nosiła tajemniczy napis. Niebo się rozchmurzyło, zimne gwiazdy pulsowały w górze. Była pierwsza w nocy, drogą już nikt nie przejeżdżał. Emilio wrócił z termosem.

– Żona zrobiła kawy. Dała jeść tym biedakom. Posnęli wszyscy.

Wypili, była dobra, a przede wszystkim gorąca. Rocco i Italo zapalili po papierosie.

– Co teraz, Rocco?

– Otworzymy i zobaczymy, co tu mamy.

Emilio szybkim ruchem tarczy przeciął kłódkę pierwszej skrzyni. Rocco otworzył. W środku była słoma. A pod słomą kubiki plastiku.

– Ożeż w mordę! – krzyknął.

– Co tam masz? – zapytał Sebastiano.

– Plastik.

Sebastiano i Italo spojrzeli na siebie. Emilio nie rozumiał.

– Plastik?

– Tak, materiał wybuchowy – wytłumaczył Italo.

Emilio z lekka przerażony wytrzeszczył oczy.

– Otwieramy następne, dawaj, Emilio.

– Na rozkaz!

W drugiej były karabinki automatyczne. Potem dalej plastik i detonatory. I jeszcze plastik. Wyrzutnia pocisków w częściach. Amunicja.

Siedli na pootwieranych skrzyniach i popatrzyli na siebie bezradnie.

– Sebastiano, zaczynam mieć wątpliwości, może *Chant number four* to po prostu C-cztery, materiał wybuchowy. Zobacz, ile tego tu jest – zauważył Rocco.

Sebastiano przytaknął.

– Możliwe, możliwe. Aleśmy się dali zrobić, nie ma co ufać Ernstowi.

– Dzwońmy na policję – zaproponował Emilio.

Rocco klepnął go w ramię.

– To my jesteśmy policją. – Sebastiano i Italo spojrzeli z niepokojem.

– Dobra, teraz weź sprzęt i wróć do domu, odpocznij, bo zmarzłeś. Dzięki za pomoc. Bez ciebie nic byśmy nie działali.

Emerytowany pracownik poczty uśmiechał się.

– Ale to drobiazg, wicie, jestem zadowolony.

– Wracaj do Ginevry, potem przyjdziemy i rozwiążemy sprawę Syngalezów.

– Dobrze, zaczekam w domu. To była przyjemność wam pomóc. Niezła przygoda... – I Emilio ruszył do domu lekkim krokiem.

– Tutaj to trzeba po Interpol dzwonić! – stwierdził Sebastiano. – Widziałeś, cały arsenał!

– Jasne, musimy skonfiskować cały ładunek, nie ma to tamto. – Rocco rzucił wreszcie zgaszony niedopałek, który trzymał cały czas w ustach.

– *Chant number four!* – krzyknął Italo.

– Co? – zawołali naraz Sebastiano i Rocco.

Italo klęczał przy jednej ze skrzyń.

– Tu jest napisane *Chant number four!*

Podeszli, zgadzało się. Napis flamastrem: *Chant number 4*. Spojrzeli na siebie. Rocco złapał karabin z najbliższej skrzyni i dwoma celnymi ciosami kolby rozwalił kłódkę. Otworzyli skrzynię. Osiem kamiennych głów Buddy. Sebastiano chwycił jedną, roztrzaskał o ziemię. Ze skorupy wypadły trzy foliowe paczki pełne marihuany. Na twarzy całej trójki pojawił się szeroki uśmiech. Po to przecież przyszli.

– Dawaj, ruszać się – zawołał Sebastiano, biorąc paczki i trzy głowy Buddy.

– Dzięki, Ernst, miałeś rację – krzyczał na cały głos.

Italo i Rocco skończyli przenosić rzeźby. Sebastiano odwrócił się do przyjaciela.

– Spadam. Zostawiam cię w niezłej dupie.

– Nie przejmuj się. Mój numer konta znasz?

– Najdalej za trzy dni przeleję forszę.

- Jemu też – Rocco wskazał na Itala.
 - Z nim rozliczymy się od razu. – Sebastiano wyjął z kieszeni zwitek zielonych banknotów po sto euro. – Trzy tysiące pięćset, przelicz.
 - Ufam wam – odparł policjant, chowając pieniądze.
- Sebastiano klepnął go w ramię, wsiadł do furgonetki i wrzucił wsteczny bieg.
- Cześć, Italo, równy z ciebie facet. Do zobaczenia, Rocco!
 - Do zobaczenia. Myśl o mnie i odzywaj się.
 - Pozdrów Ukrainkę, jak ją spotkasz.
 - Nie omieszkam.

Furgonetka ruszyła pędem w noc. Italo i Rocco patrzyli za nią, aż tylne światła zniknęły w mroku.

- Dobra, a co z tamtymi?
- Rocco wskazał na ciężarówkę stojącą ciągle z zapalonymi światłami.
- Umiesz prowadzić to coś?
 - Umiem nawet tira z przyczepą, a bo co?
 - Stąd do Turynu jest półtorej godziny drogi. Jest pierwsza czterdzieści. Powiedzmy, że ich teraz znów załadujemy, na wpół do czwartej będziesz w Turynie. Zostawisz ich tam i na wpół do szóstej jesteś z powrotem.

- I?
 - O szóstej zadzwonię do centrali, zrobimy niezły raban. Pasuje taki pomysł?
 - Daj mi termos z kawą, bo usnę, zanim dojadę do Verrès.
- Rocco podał kawę, podszedł do kabiny. Usiadł na miejscu kierowcy, spojrzął na nawigator.

- Tu jest wpisany namiar. Masz fart, przyjacielu, nie musisz nawet zjeżdżać z autostrady, to jest parking. Zadowolony?
- Za trzy pięćset to ja mogę i do Katanii dojechać.

- Rocco wysiadł.
- À propos, daj pięćset, oddam jutro.
 - Po co?
 - Upchnęliśmy im osiemdziesięciu siedmiu Syngalezów w chałupie. Coś im się chyba należy.

Italo przytaknął i wyciągnął zwitek banknotów.

- Idę po tych nieszczęśników, ty tu pilnuj, z odbezpieczoną bronią. Te dwa skurwysyny mogą wrócić, ładunek jest zbyt cenny. Oczy szeroko otwarte, pamiętaj.

Niebo się rozjaśniało. Siedząc na skrzyni z AK-47 na kolanach, Rocco Schiavone czekał, paląc kolejnego papierosa. Myślał o parze emerytów, którzy przyjęli bez słowa wszystko, co się zdarzyło. I którzy z początku nie chcieli nawet przyjąć tych pięciuset euro, Rocco musiał długo ich namawiać. Obiecali, że nikomu nie pisną ani słowa, popierali decyzję wicekwestora, żeby nie zgłaszać

niczego władzom. Zapominając o tym drobnym szczególe, że w tym przypadku Rocco Schiavone był przedstawicielem władz.

Samochody zwalniały, żeby przyjrzeć się dziwnej kupie skrzyń porzuconych na poboczu i okrytemu kwiecistą kołdrą dziwnemu facetowi z kałasznikowem na kolanach, czekającemu jak Apacz w zasadzce. Była piąta, mroźny jak lada chłodnicza niedzielny poranek. Gdyby nie kołdra oraz kolejne kawy, grappa, szynka i czekolada, którą Ginevra donosiła mu ciągle aż do czwartej, skończyłby jak początkujący alpinista na stokach Mount Everestu.

Miał czerwony nos, nie czuł już uszu. Jeśli chodzi o resztę, to oprócz bólu w kolanie wszystko było w porządku. Posłuchał rady Emilia i trzymał nogi w skrzyni wypełnionej słomą i materiałem wybuchowym.

Wreszcie zobaczył w oddali światła ciężarówki. Italo wracał pół godziny przed czasem. Schiavone wstał, rzucił niedopałek daleko od skrzyń, złożył kołdrę i podszedł do drogi. Tir zwolnił, sapiąc jak lokomotywa, zaskrzypiały hamulce i wreszcie samochód stanął obok wicekwestora. Z okienka wychylił się zmęczony, ale zadowolony Italo.

– Wszystko załatwione, szefie, parkuję!

Rocco uśmiechnął się.

– Parkuj, parkuj.

Potem złapał komórkę. Był cholernie zadowolony na myśl, że zaraz powyciąga z łóżek komendanta, prokuratora, dziennikarzy i całą resztę towarzystwa.

Niedziela

Sprawa odbiła się echem w całym kraju. Komendant mimo niedzieli z rozkoszą odbywał kolejne konferencje prasowe. Prokuratura gratulowała sprawności i inteligencji wicekwestorowi i nieznanemu z nazwiska policjantowi, którego z pewnością czeka świetlana przyszłość. Zaczęły też mnożyć się hipotezy, kim mógł być adresat arsenału. Italo i Rocco uzgodnili wspólną wersję i się jej pilnowali: donos od informatora z kręgów przemytniczych, ucieczka kierowców, odnalezienie broni.

– Dziwne jednak, że jechał taki wielki pusty kontener – zastanawiali się komendant i prokurator. Rocco rozkładał ramiona i uśmiechał się.

– Ktoś musiał zdjąć resztę ładunku jeszcze przed granicą albo cholera wie gdzie.

O Syngalezach ani słowa. Ci ludzie stali się na powrót niezauważalnym cieniem codziennego życia obywateli włoskich.

– Wie pan, że w kabinie kierowców znaleźliśmy nawet paczkę marihuany?
– ciągnął Corsi.

Rocco znów rozłożył ramiona.

– Co pan chce, szefie, to ludzie bez Boga.

– No tak, prowadzą takiego kolosa ujarani jak Jimi Hendrix. Koniec świata.

– Zna pan Jimiego Hendrixa?

Corsi milczał przez chwilę.

– Drogi panie Schiavone, kiedy pan miał jeszcze mleko pod nosem, ja już tańczyłem do muzyki *Hey Joe*, *Little Wing* i *Passion's Killing Floor* przed wydziałem architektury.

– Nie uwierzę. Brał pan udział w protestach sześćdziesiątego ósmego roku?

– Miałem dziewiętnaście lat i byłem zakochany.

– Bił się pan z policją?

– Nie, uciekałem. A teraz myślę, że mamy obaj ważniejsze sprawy na głowie.

Resztę niedzieli Rocco przespał. Przegapił mecz Roma–Udinese. Ale nie było czego żałować. Żółto-czerwoni dostali zasłużony łomot.

Poniedziałek

Rocco nie lubił szpitali, a tym bardziej kostnic. Ale Alberto Fumagalli pracował w kostnicy i Rocco wiedział, że jeśli się chce mieć robotę wykonaną szybko i porządnie, należy ją zlecić osobie, która jest bardzo zajęta. Drzwi zakładu anatomopatologii otworzyły się i Alberto wyszedł, w fartuchu jak zwykle upstrzonym rdzawymi plamami – tyle że to raczej nie była wcale rdza. Rocco poderwał się i ruszył mu na spotkanie.

– Dopiero co dzwonił z laboratorium. Zrobili analizy krwi, którą przyniosłeś na chustce.

– Po południu jest pogrzeb Leona.

– Wiem, wysłałem cały raport z autopsji Baldiemu. Stan narządów wewnętrznych i tak dalej.

– Odkryłeś coś istotnego?

– Tak. Leon Miccichè cieszył się świetnym zdrowiem.

– Nic więcej?

– Założę się o jedno ze swoich jaj, a może nawet obydwa, że umarł między siódmą a dziewiątą wieczorem.

Rocco stanął jak wryty pośrodku korytarza.

– Wiesz, co to znaczy?

– Tak. Praktycznie to, że zabił go niechcący Amedeo Gunelli. Kiedy go rozjeżdżał tym swoim czołgiem, Leon na dziewięćdziesiąt procent jeszcze żył. Bliski zamrażnięcia, pod dwudziestoma centymetrami śniegu, ale wciąż żył. Niezły pech, co?

– Powiadasz?

Ruszyli z miejsca, wyszli z korytarza w stronę windy.

– Masz zmęczoną twarz – powiedział Alberto. – Słyszałem, że zeszłej nocy zaliczyłeś niezły strzał.

– Tak, zwinęliśmy transport broni palnej.

– Niezły fart.

– Starczy mieć dobre informacje.

Alberto spojrział pustymi oczyma bez wyrazu, tak jak zwykle, gdy nie chciał być robiony w konia.

– Kto był w tym kontenerze?

Rocco podrapał się w głowę.

– Osiemdziesięciu siedmiu Syngalezów.

– Dokąd ich wywiozłeś?

– Do Turynu. Mieli tam jakiś kontakt, który obiecał zapewnić im pracę.

Fumagalli pokiwał głową parę razy. Winda dojechała, wyszli.

– Masz niezły tupet, Rocco.

- Wiem.
- Zrobiłbyś to samo, gdyby to byli Rumuni?
- Po pierwsze nie chodziło mi wcale o rasę. Rasy dla mnie nie istnieją. Rumuni poza tym należą do Unii, nie wjeżdżają do nas na lewo. Nie muszą.
- Jestem wzruszony.
- A weź spierdalaj.
- Tak bardzo cię lubię, Rocco.
- Tylko bez pedałstwa.
- Nie, mówię serio.
- Gdybyś mnie lepiej znał, nie mówiłbyś tak.
- Teraz to ty zaczynasz mnie wnerwiać.
- Daleko jeszcze do tego laboratorium?
- Nie, już zaraz, a bo co?
- Bo ta dyskusja z tobą mnie męczy i wprawia w stan napięcia emocjonalnego.
- Rocco, ty nie wiesz, co to napięcie emocjonalne. – Alberto otworzył drzwi do pracowni.
- Laborant podał wicekwestorowi kartkę.
- Krew na papierowej chustce, którą nam pan dostarczył, ma grupę zero Rh minus.
- To jest ta sama grupa, co na chustce znalezionej w ustach Leona!
- zakrzyknął Alberto.
- Kurwa – wymamrotał przez zęby Schiavone.
- To niedobrze? – zapytał anatomopatolog.
- Niedobrze dla Omara Borghettiego. Krew na papierowej chusteczce jest jego. Pobrałem ją w sposób nie całkiem, że tak powiem, regulaminowy. Do zobaczenia, Alberto, dzięki!
- No tośmy go dorwali. Lubię cię! – zakrzyknął lekarz, gdy Rocco był w drzwiach, po czym wybuchnął serdecznym śmiechem.
- Oda do radości* Beethovena oznajmiła wicekwestorowi, że ktoś do niego dzwoni. Odpowiedział bez patrzenia na wyświetlacz.
- Schiavone, kto mówi?
- To ja, Italo. Przepraszam pana, jeśli przeszkadzam.
- Zwracał się urzędowo w trzeciej osobie, znak, że siedział w komendzie i nie był sam.
- Mów, Italo.
- Proszę przyjechać do biura. Inspektor Rispoli pokazała mi coś, co chyba pana bardzo zainteresuje.
- Możesz mi z góry powiedzieć, o co chodzi?
- Nie, bo jest w zamkniętej kopercie. Według mnie musi pan to przeczytać.

Pieczętka głosiła: Laboratorium Medyczne Lab2000. Koperta adresowana do Leona Micciché.

– Przyniósł ją naczelnik poczty parę godzin temu. Pozwoliłam sobie...
– oznajmiła inspektor Rispoli.

– I dobrze pani zrobiła.

Otworzył kopertę. Tabelki z wynikami badań. Spermogram, USG krocza, TSH, obserwacja plemników. Starał się coś zrozumieć.

– Azoospermia, hm.

– Co tam jest napisane?

– Nie wiem. To badania, które Leon zrobił sobie... zaraz sprawdzę
– odwrócił kartkę – niecałe dwa tygodnie temu.

– Badania czego?

– Tak na oko to badania płodności.

Rocco podał kartkę Italowi.

– Masz, zadzwoń do Fumagallego. Dopiero co tam byłem i nie chce mi się znów go wysłuchiwać. Niech ci powie, o co tu biega. I zadzwoń na komórkę, idę do prokuratora.

Rocco wstał z krzesła i poklepał inspektor Rispoli po ramieniu.

– Super, Caterino, według mnie to coś ważnego.

Caterina zarumieniła się. Italo sięgnął po telefon na biurku wicekwestora.

– Chce pan nakaz zatrzymania? – zapytał prokurator Baldi.

– Jeszcze nie. Coś mi tu nie pasuje. Krew na czerwonej chustce znalezionej w gardle denata należy do Omara Borghettiego i to mogłoby go całkowicie pogrążyć, ale...

Prokurator wychylił się w jego stronę.

– Ale?

– Jak wykazałem wczoraj, Leon Micciché, stojąc na tamtej drodze na górze, wypalił papierosa. Zdjął rękawice zapewne po to, żeby go przypalić. Ale nie znaleźliśmy niedopałka. Na miejscu zbrodni znaleziono za to ślady tytoniu.

– I co w związku z tym?

– Omar Borghetti nie pali.

– A co to ma za znaczenie? Tytoń z pewnością pochodził z papierosa Leona, nie?

– Nie. Leon palił marlboro light. Od zawsze. Tytoń był innego gatunku.

Prokurator przeciągnął się na krześle, wydając z siebie głośne westchnienie.

– To znaczy, że osoba, która z nim była, pali, ale nie marlboro?

– Tak. I jestem przekonany, że zabójca poczęstował Leona. A on wypalił. Po pierwsze dlatego, że w przeciwnym razie znaleźlibyśmy ślady marlboro oprócz tamtego tytoniu. Po drugie, bo żona powiedziała nam, że skończyły mu się papierosy. No dobra, sam jestem palaczem i jak mam trzy ostatnie fajki w paczce,

to już mówię, że się skończyły, i idę kupić nową. Ale paczka znaleziona przy zwłokach była rzeczywiście pusta. Jest wysokie prawdopodobieństwo, że nie miał przy sobie papierosów.

– A niedopałek? Dlaczego go nie znaleziono? Filtr, cokolwiek...

– Bo skurwysyn, który go załatwił, pozbierał niedopałki. Stanowią dowód, nie?

Prokurator zaczął się bawić piórem. Ugryzł je parę razy, patrząc wicekwestorowi w oczy.

– Ale ma pan jakąś koncepcję.

– Tak. Brakuje mi jednego szczegółu, żeby wszystko zobaczyć w nowym świetle. Omar Borghetti miałby powód, by zabić. Zazdrość, odkrył, że Luisa jest w ciąży, rzuca się na jej nowego faceta. Ale dlaczego czeka aż trzy lata? Czeką, aż wezmą ślub? Widzi pan, że coś nie styka.

– Nie styka.

– Musi być jakiś inny motyw.

– Pieniądze?

– Nie tylko. Luisa i Leon byli winni Omarowi sto tysięcy euro. Finansowo sprawy szły tak sobie. Leon usiłował sprzedać majątek na Sycylii, żeby mieć dość kasy. Prawie udało mu się przekonać brata. Który, między nami mówiąc, nie bardzo go kochał.

Baldi nagle wstał.

– A jeśli nie chodziło o pieniądze?

I znów w kieszeni płaszczka zabrzmiała *Oda do radości*.

– Pozwoli pan? Czekam na ważny telefon.

– Proszę.

– Schiavone, słucham.

– Cześć, Rocco, to znowu ja, twój ulubiony anatomopatolog.

– Czytałeś wyniki?

– Nie trzeba dyplomu, żeby je zrozumieć.

– Co mówią?

– Prosta sprawa. Leon Micciché był bezpłodny. Nie mógł mieć dzieci. Stwierdzili u niego azoospermie.

– Co to jest azoospermia?

– Ani jednego plemnika na mililitr spermy. A powinno być ich, wyobraź to sobie, że dwadzieścia milionów.

– Chcesz mi powiedzieć, że Leon Micciché nie mógł mieć dzieci?

– Tak. I to nie były wcale pierwsze badania. Powiedzmy, że te analizy to matka wszelkich analiz, mówię obrazowo, żebyś mnie, ciemniaku, zrozumiał.

– Wytlumacz jeszcze prościej.

Alberto Fumagalli prychnął.

– Zanim Leon zrobił tak dokładne badania, musiał pójść do lekarza, który dał mu skierowanie, bo miał jakieś podejrzenia. Na pewno zaliczył wcześniej wizytę u lekarza. Potem dopiero poszedł do laboratorium zrobić to badanie.

– Skąd się dowiem, jaki lekarz go skierował?

– Proste. Zadzwoń do laboratorium. Powinni mieć skierowanie z nazwiskiem i adresem lekarza.

– Dzięki, Alberto, wiszę ci kolację.

– Daj spokój, drobiazg. *Bye*. – I się rozłączył.

– Dobrze zrozumiałem? – zapytał Baldi.

– Raczej tak.

– No więc z kim zaszła w ciążę Luisa Pec?

– Ze skurwielem, który zabił Leona. Biedak odkrył zdradę, poszedł zrobić badania, a tamten musiał się o tym dowiedzieć. Pasuje?

– Powiedziałbym, że tak. A krew na chustce? Należała przecież do Borghettiego?

– Mam co do tego pewien pomysł. Żegnam się. Mam nadzieję, że wrócę w ciągu doby z koleżką w kajdankach.

Rocco wstał z krzesła, schował telefon do kieszeni. Prokurator go zatrzymał.

– Jest pan sprawny, ale to już wiedziałem. Tylko jest jedna rzecz, którą musi mi pan wyjaśnić.

– Słucham.

– Wie pan, chodzi o tę ciężarówkę z bronią, była w połowie pusta.

Rocco przybrał niewinną minę.

– Tak?

– Coś tu nie pasuje.

– Słucham pana.

– Nawigacja. Miała wpisane adresy, jeden z nich koło Turynu, na parking przy autostradzie.

Rocco mimowolnie przełknął ślinę.

– Drugi adres to... – Zaczął szukać kartki w aktach. – Mam. Alekse Šantića, ciekawe, czy to się tak wymawia. Uliczka w osadzie Bečići w Czarnogórze.

– Mmm...

– Bečići leży koło ładnego miasta o nazwie Buvda.

– Mmm...

– Niech pan przestanie mrużyć. Interpol już od rana wkroczył do akcji, jest spore prawdopodobieństwo, że broń miała dotrzeć właśnie tam. Buvda to port, wiedział pan?

– Właśnie się dowiaduję.

– To w takim razie proszę się skupić. Jeśli broń miała dojechać do Czarnogóry, to po co był wpisany adres parkingu koło Turynu?

Rocco poczuł zimny pot spływający mu po plecach.

– No i zgadnie pan, co zrobiłem?

– Słucham.

– Poprosiłem dyrekcję autostrad o zapis monitoringu z A-pięć na trasie Aosta–Turyn. Żeby sprawdzić, czy ta ciężarówka tamtędy jechała. No i przy okazji o monitoring parkingu. Nie uwierzy pan...

Potrask! Rocco poczuł, że dał się złapać w pułapkę jak mysz w piwnicy.

– ...ale nie mieli zapisu – ciągnął prokurator.

– Jak to?

– Niech pan sobie wyobrazi, akurat była usterka w systemie informatycznym. Już ją naprawili, ale z zeszłej nocy nie ma nic. Szkoda, zgodzi się pan ze mną? – Spojrzał ze złośliwym uśmiechem, który Rocco widział dotąd tylko na twarzach gangsterów albo polityków świeżego chowu. Uśmiech tego, kto wie. Ale woli nie powiedzieć.

Wicekwestor odchrząknął.

– Szkoda, diabelska sprawa.

Prokurator popatrzył na niego.

– Szkoda. A może wielkie szczęście, mam rację, wicekwestorze? Proszę mi dostarczyć zabójcę Leona Micciché, panie Schiavone. A ja zapomnę o sprawie kontenera w Turynie. To przyjacielska rada.

Rocco przytaknął dwa razy. Podziękował Baldiemu wzrokiem i wyszedł.

Dziesięć po dziesiątej Italo i Rocco byli już w drodze do Champoluc.

– Boli cię warga?

– Nie, zimno mnie praktycznie znieczuliło.

– Uszy mi się zaczynają zatykać – Rocco ścisnął sobie nos i dmuchnął z całej siły.

– Jak masz chore zatoki, to sobie w ten sposób możesz zaszkodzić.

– Tyle rzeczy szkodzi, Italo. Jedna więcej...

Italo zredukował bieg.

– Mamy się przejmować?

– Czym?

– Jak to czym? Sprawą tych Syngalezów.

– Nie, spoko. Wszystko w porządku. Przypomnij mi, że wiszę ci pięćset euro.

– Nie podejrzewają niczego?

Rocco postukał palcami w szybę.

– Prokurator Baldi wie.

Italo poblądł.

– Co wie? O trawie?

– Nie, o trawie nie. Wie o Syngalezach.

– O kurwa!

– A jakże. Wymyślił sobie historyjkę o usterce sieci monitoringu na autostradzie, ale widział wszystko.

Italo potarł dłonią usta.

– Co z tym zrobi?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, czy zachowa dla siebie, żeby mieć mnie w garści, czy w końcu machnie na to ręką. Baldi nie jest całkiem normalny.

– Za to ty jesteś, co?

Wicekwestor wybuchnął chrapliwym śmiechem. Italo pierwszy raz słyszał, jak tak serdecznie się śmieje. Też mu się zachciało śmiać. I śmiali się razem. Aż do oblodzonej fontanny przy wjeździe do wioski. Przestali dopiero, gdy zobaczyli, jak dwóch mężczyzn wieszka nad wejściem do kościoła fioletowe i czarne wstęgi. Zapomnieli, że dziś pogrzeb Leona Micciché.

– Zdamy? – zapytał Italo.

– Jasne, że zdamy. To krótka sprawa. Przy następnej przecznicy zaparkuj po prawej, tam przy spożywczym.

Na pierwszym piętrze drewnianego domu z kamienną podmurówką przyjmował doktor Alfonso Lorisaz. Rocco wspiął się po schodach. Pchnął drzwi opatrzone mosiężną tabliczką z napisem „Alfonso Lorisaz, specjalista chorób dróg moczowych”. Wszedł, poczekalnia była pełna, wszyscy natychmiast odwrócili się w jego stronę. Za biurkiem sześćdziesięcioletnia na oko pielęgniarka drukowała recepty.

– Słucham? – zapytała, nie odrywając wzroku od monitora.

– Schiavone, muszę porozmawiać z panem doktorem.

– Był pan umówiony?

Rocco podetknął przed monitor swoją legitymację. Dopiero wtedy kobieta podniosła wzrok.

– Czy teraz słucha mnie pani uważniej?

– Tak.

– Jestem wicekwestorem, nie byłem umówiony, ale nie wątpię, że znajdzie pani sposób, by oszczędzić mi czekania, *nespà*?

Pielęgniarka natychmiast wstała i zapukała do drzwi gabinetu. Weszła, po kilku sekundach wyszła z rumieńcami na policzkach.

– Pan doktor zakończył badanie, może pana przyjąć od razu.

– Świetnie!

To było nieprzyzwoicie proste zadanie – zaklasyfikować Alfonsa Lorisaza w osobistym zwierzyńcu wicekwestora. Był to *Castor fiber*, czyli bóbr. Wystające siekacze, oczy ukryte za okrągłymi okularkami w złotej oprawce, małe dłonie, na których nikogo nie zdziwiłaby błona między palcami, łysy na głowie, ale z rozpiętej koszuli wystawała kępka włosów. Wyglądał, jakby przed chwilą

skończył budować tamę i czujnie węszył oznaki nadchodzącego zagrożenia. Kiedy Rocco wszedł, poderwał się na nogi. Nie miał nawet metra siedemdziesięciu.

– Co mogę dla pana zrobić? – zapiszczał.

– W Lab2000 w Aoście powiedzieli mi, że to pan zlecił badania Leonowi Micciché. Zna go pan?

– Oczywiście, że znam. A raczej znałem. Biedaczek. To był miły facet, wie pan? Pamiętam, jak...

– Stop. Policji nie interesują pana relacje osobiste. Proszę mi tylko powiedzieć: pamięta pan, na czym polegał jego problem zdrowotny?

– Tak, zbadałem go, zrobiłem wstępne rozeznanie i zorientowałem się, jaki jest problem. Dlatego zleciłem tamte badania. W karcie pacjenta wpisałem...

– Stop. Policji nie interesuje, co pan wpisał. W każdym razie, jeśli chce pan wiedzieć, Leon był bezpłodny.

– Sam się tego domyśliłem. Pamięta pan może liczbę plemników? Tak z ciekawości pytam.

– Azoospermia. Ani jednego plemnika w mililitrze nasienia. Zadowolony?

– Nie jestem zadowolony. Byłem tego pewien.

– Tak szczerze, rozmawiał pan z kimś o tym?

– O tej przypadłości Leona?

– No jasne, że o tym.

– Nie, o ile pamiętam, nie. Ale wie pan, to jest mała wioska.

– To znaczy?

– Wieści się szybko rozchodzą. Wie pan, dlaczego tak mówię? Jesteśmy wszyscy jakoś spokrewnieni. Tu nie jest jak w mieście. O każdym sporo wiadomo.

– Ale jeśli pan się nie wygadał, to jak się to mogło rozejść?

– No tak, ale...

– Ale pilnował pan języka w gębie.

– Tak, pilnowałem, nikomu nic nie powiedziałem. Takie delikatne sprawy, nie ma mowy.

– No więc?

– No więc, bo ja wiem, pierwsze badanie nasienia robiliśmy tu, w małym laboratorium, które mam na dole. Może pielęgniarka się dowiedziała. Albo ktoś inny.

Rocco spojrzał lekarzowi prosto w skryte za szklami oczy.

– Dlaczego mam przeczucie, że pan coś ukrywa?

– To mylne przeczucie, panie wicekwestorze. Nikomu niczego nie powiedziałem.

– To bardzo ważne. Chodzi o zabójstwo i jeśli pan ukrywa jakieś informacje, jest to przestępstwo. Każdy ma obowiązek pomagać w śledztwie, wie pan?

– O mój Boże, teraz to mnie pan zmartwił.

– I bardzo dobrze, proszę się martwić.

Lekarz popatrzył na podłogę, jakby szukał pomocy w fugach między kafelkami. Rocco wiedział, że w rzeczywistości obmyśla najmniej bolesny i najsprytniejszy sposób wydobycia się z matni. Mrugał oczami i przygryzał wargę wystającymi siekaczami.

– Nic się panu nie przypomina?

W końcu pan doktor wszystko sobie przekalkulował i odrzekł:

– Nic, co by mogło pana zainteresować. Nie sądzę, żebym z kimkolwiek o tym rozmawiał.

– Mam nadzieję, że mówi pan prawdę. Jest pan żonaty?

– Ja? Tak, dlaczego pan pyta?

– Mogę wiedzieć, jak się nazywa pana żona?

Lekarz spojrział dziwnie.

– Po co?

– Zawodowa ciekawość.

– Rozumiem. Moja żona ma na imię Annarita.

– Annarita. Ma pewnie też nazwisko.

– Moje, Lorisaz.

– A panińskie?

– Pec. Tak jak żona biednego Leona. Annarita i Luisa są kuzynkami trzeciego stopnia.

Annarita Pec. Właścicielka sklepu sportowego. Ta, która go spławiła z godnością.

– No jasne, jesteście wszyscy trochę spokrewnieni, słyszałem.

– Prawda. Ale dlaczego pan pyta?

– Bo może wieczorem w domu, po pracy, zamienił pan z żoną parę słów i wymknął się panu mały sekret Leona. Mogło tak być?

Alfonso westchnął głęboko, wzruszając ramionami.

– Mój Boże, nie wiem. Na pewno bym o tym pamiętał. Ale nawet gdybym jej opowiedział, to żona nie jest gadatliwa.

– Możemy zatem liczyć na jej dyskrecję?

– Tak – odpowiedział lekarz z uśmiechem, jakby mu spadł kamień z serca.

– Moja żona jest jak grób.

– To metafora w bardzo złym guście, doktorze Lorisaz. Żegnam pana.

Italo zapalił silnik bmw dokładnie w chwili, gdy Rocco wychodził z budynku mieszczącego gabinet. Kiedy Schiavone zatrzasnął drzwi samochodu, Italo wcisnął sprzęgło.

– Dokąd teraz?

– Jedziemy pod wyciąg. Lekarz rozmawiał o analizach Leona ze swoją żoną.

Ominęli staruszka idącego środkiem oblodzonej drogi, który niósł narty jak

Chrystus krzyż na drodze krzyżowej.

– Może żona się nie wygadała.

– Żona lekarza jest kuzynką Luisy. I według ciebie jej nie powiedziała? Jej albo swojemu kumplowi barmanowi?

– Mogło tak być. Masz rację, Rocco. Ale dlaczego to zrobiła?

– To jest wioska! Plotki? Wścibstwo? Albo z powodu wrodzonej kobiecej skłonności zwanej sadyzmem. Słyszałeś kiedyś o tym?

– No jasne!

Słońce pokonało chmury, narciarze wyglądali jak kolorowe mrówki na zjeżdżalni z lukru. Rocco i Italo zmierzali do biura szkółki narciarskiej. Stawiali wielkie kroki. Pod wpływem ostrego słońca płaszcz Rocca parował, nadając mu wygląd apokaliptycznego demona wynurzającego się z dymiących czeluści. Spotkali Luigiego, szefa ratraków, jak zwykle zwijającego sobie skręta.

– Dzień dobry, panie wicekwesterze!

– Dzień dobry, Luigi. Dasz mi papierosa?

– Oczywiście. – Podał mu dopiero co zrobionego skręta.

– Mmm, paliłem takie w liceum.

– Ja tylko takie mogę.

– Jakiego tytoniu używasz?

– Samsona, jest najlepszy. – Podał ogień. – Przyjechał pan na pogrzeb?

– A ty się wybierasz?

– Jasne, że się wybieram, wszyscy idą.

– No to widzimy się w kościele.

– Zjedzie pan ze mną? – Wskazał na swojego quada. – Dam panu prowadzić, z górki jest jeszcze fajniej.

– Nie, jedź, spotkamy się na dole. Dobry skręt, trochę mocny, ale ten tytoń jest tego wart.

Kiedy Rocco Schiavone wszedł do biura, siedziała w nim otyła instruktorka i jeszcze jeden mężczyzna, zajęty krzyżówką. Na widok policjantów kobieta wstała.

– Panie wicekwesterze! – zawołała.

– Świetnie, „wicekwesterze”, nareszcie zaczynacie używać właściwego słowa. – Rocco rozejrzał się, podszedł energicznie do grupowego zdjęcia instruktorów z Val d’Ayas.

– Znalazł pan wtedy Omara Borghettiego?

Rocco nie odpowiedział, skupiony na zdjęciu. Italo dał znak kobiecie, żeby siedziała cicho. Usłuchała nieco wystraszona.

– Kiedy zrobiono to zdjęcie?

– Na początku sezonu.

– Czy jest tu jakaś szafka na rzeczy osobiste?

– To ta. – Kobieta wskazała małą komódkę z zamkiem.

Rocco podszedł do niej.

– Zamykacie ją na klucz?

– Nie, w środku są jakieś duperele, przede wszystkim rzeczy Omara.

Rocco przykucnął i otworzył drzwiczki. Wyciągnął gogle, wełnianą czapkę, parę rękawic z goreteksu, krem do ust, olejek słoneczny, dwie zapasowe koszulki i dwie chustki na szyję, zieloną i niebieską.

– Sprytny ten chłopak – powiedział na głos, ale nikt nie zrozumiał, o kim mówił.

Italo miał pewne podejrzenie, ale zachował je dla siebie.

– Trzy pionowo: stan nacechowany bezcelowymi działaniami, często kojarzony ze stanami lękowymi. Zaczyna się na „n” – odezwał się instruktor zatopiony w krzyżówce.

Rocco spojrzał na niego.

– Nadpobudliwość.

– Świetnie, pasuje, krzyżuje się z zero siedem poziomo. Dziękuję! – zawołał zadowolony i zaczął wpisywać litery dokładnie w chwili, kiedy w drzwiach biura dała się dostrzec pod światło sylwetka Omara Borghettiego.

– Witam pana! – zawołał, zdejmując rękawice i wnosząc ze sobą do wyłożonego drewnem wnętrza powiew świeżego powietrza.

Też był ubrany służbowo na czarno i czerwono, ale na szyi zawiązaną miał żółtą chustkę.

– Ach, pan Omar Borghetti. Pod światło nie poznałem – powiedział Rocco.

– Właśnie pana szukałem. Gdzie ona jest?

– Co? – zapytał Omar, rzucając rękawice na stół.

– Czerwona chusta, ma ją pan na zdjęciu. – Wskazał na grupową fotografię na ścianie. – Oddał ją pan do prania?

– Nie, powinna być tutaj. – Zbliżył się do szafki, którą Rocco dopiero co przeszukał.

– Nie ma jej.

– Jak to nie ma? Mam czerwoną, niebieską, zieloną i tę żółtą. – Złapał się za chustę zawiązaną na szyi.

Rocco wziął zieloną i niebieską w dwa palce i podniósł, jakby trzymał zdechłe myszy za ogon.

– Zielona i niebieska, proszę. Brakuje czerwonej.

Bandany dyndały przed twarzą Omara.

– Nie rozumiem.

– Ale ja rozumiem, Omarze.

Omar patrzył zmieszany na kolegów.

– Co to ma znaczyć? Kogo obchodzi moja czerwona chustka?

– Obchodzi, a jakże. – Rocco spojrzał na Italo.

Ten zrozumiał w lot i dokończył za przełożonego:

– Czerwona chustka została znaleziona przy zwłokach Leona Micciché.

Omar zbladł. W biurze zapadła cisza jak w zlodowaciałej tundrze. Nawet temperatura wydawała się nagle niższa o dziesięć stopni. Stary instruktor oderwał wzrok od krzyżówki. Kobieta zasłoniła twarz dłońmi.

– Przy... zwłokach? – wymamrotał Omar Borghetti. – Ale chwileczkę, wiecie, ile jest na świecie takich czerwonych chustek? Dlaczego to musi być akurat moja? Może mam ją w domu w koszu z praniem, nie?

– Nie – uciął krótko Rocco.

– Dlaczego nie, panie wicekwestorze?

– Proszę mi wierzyć, Borghetti, to jest pana chustka. Wie pan, dlaczego tak myślę?

Omar pokręcił głową.

– Bo na czerwonej chustce, którą zwykle pan wiąże pod szyją, były ślady krwi – Rocco zbliżył się do Omara – krwi tej samej grupy, co pana. Zero Rh minus. Paskudna sprawa, co?

Omar musiał usiąść.

– Jak... że co?

– Odpuśćmy sobie na razie rozmowę o tym, skąd to wiem. Ale doszedłem do pewnego wniosku i muszę wobec tego powiedzieć coś, co nie będzie dla pana przyjemne.

Rocco pochylił się w stronę Omara, wsparł się na podłokietnikach i zbliżył do niego na dziesięć centymetrów, tak że wyczuwał zapach kawy w oddechu. Ale nie patrzył mu w oczy, tylko na szyję. Z wielkim skupieniem.

– Co musi pan powiedzieć?

– Proszę zmienić brzytwę.

W kolejce zwożącej ich na dół Rocco siedział cicho. Italo gapił się wobec tego w błękitne niebo, od którego odcinały się ostre granie gór i lodowce. Wicekwestor przygarbił się, oparł łokcie na kolanach, zwinął dłonie przed ustami i ruszał palcami, jakby grał na trąbce. Jego podwładnego zaczęło ssać w żołądku, a nagle podskoki gondoli tylko pogarszały sprawę. Wiatr świszczął w wywietrznikach, zjeżdżali szybko w stronę Champoluc. Już można było odróżnić poszczególne ośnieżone dachy i błyszczące w słońcu samochody narciarzy na parkingu.

– Która godzina?

– Dochodzi pierwsza – odpowiedział Italo.

– O której się ściemnia?

– O piątej, dlaczego?

– Trzeba będzie poczekać do piątej. Z pewnych rzeczy lepiej nie robić

widowiska, nie sądzisz?

Nie, Italo nie sądził. Bo nie miał najmniejszego pojęcia, o czym mówi wicekwestor. Chociaż w głowie zaczynało mu się powoli konkretyzować jakieś przypuszczenie. Jedyne, co psuło obraz, to dziwny smutek, jaki spowił jego szefa. Jeśli, tak jak właśnie usłyszał, doszli właśnie do rozwiązania sprawy, spodziewałby się, że tamten będzie zadowolony. Ale nie. Jego twarz, postawa wyrażały coś przeciwnego. Oczy miał smutne, zaciągnięte mgielką, która gasiła ich światło. Wydawało się nawet, że ma kilka siwych włosów więcej niż parę dni wcześniej. A ściślej – o czym policjant Pierron doskonale wiedział – włosów było tyle samo, ale bardziej rzucały się w oczy. Brały górę nad resztą włosów kasztanowych.

Tak jakby w parę minut Schiavone postarzał się o dziesięć lat.

– Zaczekaj na mnie w barze, zjedz kanapkę, napij się piwa i zrelaksuj. Zaraz wracam.

– Dokąd idziesz? – zapytał Italo.

Wystarczyło krzywe spojrzenie szefa i sam sobie odpowiedział:

– Mam się nie wtrącać.

Rocco uśmiechnął się i zostawił go przed barem. Przeszedł sto metrów chodnikiem do sklepu sportowego. Dźwięk dzwonka odbił się od boazerii i wystawionych ubrań. Zza drzwi przy kasie wyłoniła się Annarita.

– Dzień dobry, coś nie tak z butami?

– Nie, buty pasują. To pani jest moim rozczarowaniem.

Policzki kobiety zarumieniły się, podkreślając jeszcze bardziej orzechowy kolor oczu.

– Ja? A co ja mam do tego? Jeśli chodzi o to, co powiedzieliśmy sobie zeszłym razem...

– Nie, nie o to. Umiem przegrywać, mam sportową naturę. Chciałem tylko dać pani radę.

Patrzyła na niego nerwowo. Nie rozumiała, dokąd zmierza. Mówił dalej:

– Pewne sprawy lepiej zachować dla siebie. Sekrety, sprawy intymne, rodzinne. Niedobrze jest obnosić je po ulicy jak modne ciuchy.

– Nie rozumiem, do czego się pan odnosi.

– Pani mąż jest lekarzem.

– Tak, i co z tego?

– Komu pani powiedziała, że Leon Micciché był bezpłodny?

Uśmiech zniknął z jej ust, oczy rozszerzyły się jak dwie przepastne studnie. Zachwiała się, musiała się oprzeć o półkę z czapkami, żeby nie upaść.

– Jak? Co pan mówi? Że co...?

– Wie pani co? Gdyby pilnowała pani swoich spraw i nie rozpowiadała o prywatnych sprawach Leona, o jego badaniach, pewnie byśmy się dziś nie wybierali na pogrzeb tego nieszczęśnika.

Zasłoniła usta dłonią.

– Co pan chce powiedzieć?

– Niech się pani dobrze zastanowi. Przypomni sobie, komu pani o tym powiedziała. W ciągu trzech godzin zrozumie pani, że mówię prawdę. Mam nadzieję, że na przyszłość zapamięta pani tę lekcję. – Otworzył drzwi sklepu. Annarita stała jak wryta, gapiąc się pustym wzrokiem. – Polubiłem ludzi z tych dolin. Jesteście schludni, szczerzy, uczciwi. Pani też. Ale ma pani jedną wadę. Nie pilnuje pani swojego pieprzonego nosa.

Stał sobie na chodniku, patrząc na starszka idącego w drewnianych sabotach. Niepewny krok i stukot chodaków upodabniały go do starej, zżartej przez korniki marionetki. Potrząsając głową, wyciągnął z kieszeni komórkę.

– Dzień dobry, panie prokuratorze.

– Słucham, jakieś nowości?

– Tak, mogę podesłać do pana inspektor Rispoli?

– Mogę znać powód?

– Dwa nakazy zatrzymania.

Baldi zamilkł. Wulkan tuż przed erupcją.

– Halo, słyszy mnie pan?

– Słyszę pana, Schiavone. Wie pan, co mówią przepisy? – Baldi jeszcze się powstrzymywał, może nie był sam w pokoju. – To pan, Schiavone, powinien stawić się osobiście i wyjaśnić mi wszystko po kolei, potem ja, jeśli uznam to za uzasadnione, podpiszę nakazy.

– Nie ma czasu. Obawiam się, że zabójcy Leona Miccichè mogą zniknąć w każdej chwili.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Są inteligentni.

– Dlaczego pan mówi o zabójcach?

– Bo to dwie osoby. Jedna zabiła Leona, druga jest współnikiem.

– Do kurwy nędzy, Schiavone! – wulkan wreszcie wybuchnął. – Jest pan na cenzurowanym, a ciągle zachowuje się tak, jak się panu żywnie podoba? Istnieją określone procedury, jeśli pan o tym nie wie. Chce pan skończyć w ministerstwie przy obsłudze kserokopiarki?

– Czemu nie, bylebym zachował pensję – powiedział cicho Schiavone.

– Skończ pan z tą ironią. I proszę dokładnie wyjaśnić, kogo i dlaczego mamy wsadzić. Przekonująco, dobrze radzę, bo ja w ten sposób nie zamierzam pracować.

– Zgoda. Ma pan pięć minut?

– Oczywiście, że mam. Proszę je dobrze wykorzystać, bo jak mi pan nagada głupot, to się postaram, żeby moje groźby stały się realne, jasne?

– Jak lodowce w tych górach.

– No to słucham uważnie.

Italo siedział za barem w lokalu Maria i Michaela. Przed nim stała opróżniona szklanka po piwie i talerz z resztkami kanapki. Dopiero po chwili, kiedy zobaczył czubek głowy i postawiony kołnierz zielonego płaszcza, zorientował się, że wicekwesor siedzi przy stoliku na zewnątrz i podjada czekoladę. Zostawił pięć euro na barze i wyszedł do przełożonego. Rocco, w szczelnie zapiętym płaszczu, przeżuwał powoli milkę. Patrzył w jakiś punkt na drodze. Mogło to być równie dobrze koło land rovera, jak i pryzma śniegu koło schodków. Jakiś brodacz szedł drogą z wielkim czarnym labradorem. Psisko miało czerwoną chustkę zamiast obroży i szło za swoim panem bez smyczy. Przechodząc obok policjanta, labrador zatrzymał się, żeby go obwąchać. Rocco, nawet na niego nie patrząc, zaczął drapać go pod szczęką. Pies zamerdzał i jego gruby ogon uderzał rytmicznie o nogę stolika. Brodacz zatrzymał się na środku drogi, odwracając się do psa, zawołał: „Billo!”. Ale ten nie słuchał, bo Rocco patrzył mu prosto w mokre, krągłe oczy i zatapiał palce w czarnej sierści, żeby go porządnie wymasować.

Billo wyciągnął łapę i oparł ją na nodze Rocca.

– Ale masz elegancką chustkę – zaczepił go wicekwesor.

Właściciel psa podszedł z zażenowanym uśmiechem.

– Przepraszam, ale jak ktoś go zaczyna głaskać, to się już nie odczepi.

– Nie ma sprawy, lubię psy. Ile ma lat?

– Sześć, ale ciągle jest jak szczeniak. Choć, Billo, idziemy!

Rocco podrapał go jeszcze za uszami, pies zaszczekał szczęśliwy i poszedł dalej za swoim panem.

– Do widzenia.

Rocco uniósł rękę, by odwzajemnić pozdrowienie. Dopiero wtedy Italo podszedł i usiadł obok.

– Miałem kiedyś w Rzymie sukę. India się nazywała. Żadnej konkretnej rasy, a raczej czterech lub pięciu ras naraz. Któregoś dnia zachorowała i umarła po sześciu tygodniach. Wiesz jak?

– Nie.

– Leczyłem ją, dawałem kroplówki. Wstałem tylko na moment od jej legowiska, żeby pójść po coś do picia, i jak wróciłem, już jej nie było. Rozumiesz? Czekala, aż odejdę. Bo śmierć dla zwierząt to coś bardzo prywatnego. Bardziej niż narodziny. Nie chcą jej dzielić z nikim.

Italo pomyślał o tych słowach, ale nie rozumiał, o czym Rocco mówi.

– W przyrodzie śmierć nie jest obciążona winą. To tylko starość, choroba, kwestia przetrwania. Psy to wiedzą, możesz wyczytać to z ich oczu. Powinieneś sobie wziąć psa, dużo byś się nauczył. Na przykład, że w przyrodzie nie istnieje sprawiedliwość. To jest czysto ludzkie pojęcie. I jak wszystko, co ludzkie, jest ułomne i podlega dyskusji, i... – odwrócił się nagle w stronę Itala – daj mi papierosa.

Italo wyjął paczkę.

– Znowu chesterfieldy? Mówiłem ci już, że lubię camele.

Ale i tak wziął jednego.

– Wiem, ale dla mnie camele są wstrętne – odparł Italo, podając ogień.

Rocco głęboko się zaciągnął. Spojrzał na niebo, niespodziewanie stało się szare. Jak płaska, bezkształtna blacha, denko wielkiej puszki.

– Najpierw świeci słońce, a potem zaraz pełne zachmurzenie.

– W górach często tak jest.

– Klimat dotknięty chorobą dwubiegunową, prawda? Nie boisz się?

– Jestem przyzwyczajony od urodzenia. Ja to się boję dopiero pod ziemią w metrze.

– To jak, idziemy do tego kościoła?

– Dobra. Słuchaj, Rocco...

– No co?

– Kto to zrobił?

– Zaraz dołączy do nas inspektor Rispoli z nakazami od prokuratora.

– Nakazami?

– Tak, dwie osoby.

– A kto?

– Niedługo się przekonasz.

Przed kościołem stało pół wioski. Turyści przechodzili obok zaciekawieni. Mało kto z nich wiedział, o co chodzi, bo ci, którzy byli na miejscu w chwili znalezienia zwłok, już powracali do domów, a nowo przybyli dopiero zaczęli pytać miejscowych. Wicekwesor i posterunkowy Pierron przeszli przez tłum. W powietrzu unosiła się mieszanka zapachów olejku słonecznego, słodkawych damskich perfum, dymu papierosowego i spalin. Weszli po schodach. Mały kościółek był nabity po brzegi, ludzka ściana wydawała się nie do pokonania. Od betonowego sklepienia odbijał się echem głos księdza.

– I dlatego za każdym razem, kiedy stajemy w obliczu śmierci, odczuwamy ogromną samotność. Ale to nie tak...

– Przepraszam, chcę przejść – szeptał Rocco. – Przepraszam...

– Chrześcijanin wie, że w chwili rozstania nie jest sam. Także Jezus doświadczył śmierci...

Po pokonaniu ludzkiej bariery Rocco miał przed sobą główną nawę. Wszyscy w ławkach, przed ołtarzem trumna. Z boku wieniec, na wypolerowanym drewnie katafalku starannie ułożona wiązanka kwiatów. Obok trumny stał ksiądz, mniej więcej czterdziestoletni. Wszyscy skupieni na nim. Rocco zaczął iść w stronę pierwszych ławek. Ktoś rzucił mu pospieszne spojrzenie. Naczelnik poczty pozdrowił go gestem ręki, tak samo barman Mario i lekarz-bóbr. Siedząca obok niego Annarita wołała nie odrywać wzroku od ziemi.

Ekipa instruktorów narciarskich stawiała się w komplecie w strojach służbowych, także Omar Borghetti. Amedeo Gunelli, ten, który odnalazł Leona w śniegu, siedział obok swojego szefa Luigiego Bionaza. Ten przynajmniej w kościele nie rolował sobie skręta.

– Na krzyżu Jezus jest sam. Nie ma obok siebie uczniów, apostołów, których nauczał przez trzy lata. Nie ma wielbiącego tłumu. U stóp krzyża stoją tylko Maria, jego matka, oraz Jan. Ale Jezus w głębi serca wie, że Bóg Ojciec Wszechmogący go nie opuścił. Taki jest sens psalmu dwudziestego pierwszego...

Rocco wreszcie przystanął. Widział profil Luisy Pec. Obok stał brat Leona z żoną.

– ...i naucza nas, że śmierć jest początkiem, jest wyjściem na spotkanie z Ojcem w niebie, gdzie przyjmuje nas w swe nieskończone ramiona, żeby dać nowy początek, nowe, prawdziwe życie. Módlmy się. Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

Wszyscy wierni powtarzali za księdzem. Wszyscy z wyjątkiem Luisy. Wpatrywała się niemo w posadzkę kościoła. Powoli podniosła głowę, obróciła się w stronę wicekwestora, jakby poczuła na sobie jego wzrok.

Spojrzeni na siebie. Renesansowa Matka Boska bolesna, blond włosy z miedzianymi refleksami opadające na ramiona. Tak, pomyślał Rocco, dla takiej można umrzeć. I można zabić.

– Słowa na nic się zdadzą – ciągnął ksiądz. – Cała rodzina, cała osada jest dziś z Luisą, z bratem Domenikiem i jego żoną, z przyjaciółmi Leona. Przyjeliśmy go jak brata tu, pośród gór, które co prawda nie były jego krainą rodzinną, ale dziś bez niego wydają się bardziej puste. Wszyscy chcemy i potrzebujemy poznać prawdę. Widzę wśród nas także stróżów prawa – ksiądz leciutko się uśmiechnął – którym dziękujemy za wysiłki podjęte, aby sprawca tej zbrodni został ujęty i doprowadzony przed oblicze sprawiedliwości.

Nie podobał mu się ton księdza. Było jasne, że duszpasterz nie ufał jemu i jego podwładnym. Jasne, jeśli się spojrzy na Derutę i D'Intina, to jakże odmówić racji słudze bożemu? Ale ironia w jego głosie zaczynała go wkurzać.

– Widzieliśmy ich przy pracy, prawda? Pana wicekwestora i jego nieustraszonych ludzi.

Przesadzał. Ale Rocco słuchał nieporuszony ze skrzyżowanymi rękoma, czując na sobie oczy całego zgromadzenia.

– Czasami siły porządkowe stosują dość nietypowe metody...

Rocco spojrzał na naczelnika poczty, który natychmiast spuścił wzrok. Gnojek pobiegł się poskarżyć księdzu, że dostał w gębę.

– Ale wiadomo, że drogi do prawdy czasami są usłane nieprzewidzianymi przeszkodami.

Chciałby móc odebrać mu mikrofon, ale grał na cudzym boisku. Poza tym

sprzeczką podczas kazania żałobnego wydawała mu się z lekka niestosowna.

– Tym bardziej więc pokładajmy zaufanie, pewni, że jak najszybciej ujrzymy wyniki. Czy mówię słusznie?

Tym razem wywołał go osobiście. Na echo głosu księdza nałożył się szelest głów odwracających się w jego stronę. Rocco Schiavone uśmiechnął się, odchrząknął.

– Słusznie ksiądz mówi. O wiele wcześniej, niż się księdzu wydaje.

Ksiądz lekko się skłonił, spojrział na wiernych i wrócił do kazania.

– Luisa poprosiła mnie, bym dał jej powiedzieć parę słów o naszym zmarłym bracie.

Odsunął się od mikrofonu, podczas gdy Luisa Pec wstawiała z ławki. Szła w stronę pulpitu w absolutnej ciszy. Miała podkrążone oczy. Żałobny strój stanowił czarny sweter i dzinsy. Wzięła głęboki oddech i zaczęła:

– Leon nie jest katolikiem.

Przez nawę przeszedł szmer.

– Przepraszam. Nie był katolikiem. Tego pogrzebu życzyła sobie przede wszystkim rodzina Miccichè, ale i ja też, bo choć w duchu związałam się z inną religią, czuję silnie swoje korzenie.

Ożeż w mordę, pomyślał Rocco, ale nic nie powiedział. Był ateistą, ale jednak znajdował się w kościele.

– Ksiądz Jerzy wygłosił ładne, szczerze słowa. To prawda, pogrzeb ma sens, jest pomocny. Mówi się, że dzieląc z innymi ból, mniej się cierpi. To nie tak. Cierpienie jak wszystko inne jest subiektywne, ma różne warstwy, każdy je przeżywa na swój sposób. – Odchrząknęła. Ale gardła nie ścisnęły jej emocje, po prostu musiała przełknąć ślinę. – Leon był moim mężem. Spodziewam się jego dziecka. Dlatego...

– Stop! – krzyknął Rocco, wprawiając zgromadzonych w stan osłupienia. Ksiądz Jerzy wytrzeszczył oczy. Wszyscy zwrócili się w stronę wicekwestora. Luisa, jak sparaliżowana, kurczowo trzymała mikrofon. – Proszę, pani Luiso, trzymajmy się prawdy. Dziękuję.

Zrobił dłonią gest, jakby chciał powiedzieć „proszę mówić dalej”, i przyjął postawę wyczekiwania. Ludzie odwrócili się znów ku niej.

– Mówię prawdę!

– Jest tutaj tylko jedna osoba, która zna prawdę – zareplikował i znów wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. Jakby to nie był kościół, a trybuna na korcie podczas finału Rolanda Garrosa. – Dla wierzących to jest prawda przez duże P i zna ją ksiądz Jerzy. Dla tych, dla których liczą się tylko ziemskie sprawy i którzy wierzą tylko w to, co widzą i rozumieją, posiadaczem prawdy przez małe p jestem ja.

– Panie wicekwestorze, jesteśmy w domu Bożym – napomniał go ksiądz.

– Właśnie, proszę księdza, zwłaszcza tutaj, przed trumną Leona, nie powinno się kłamać, ale mówić tylko prawdę. Sam ksiądz mówił niedawno, że został zabity. Wszyscy o tym wiemy, a Bóg tym bardziej. Ja też. Tyle że w odróżnieniu od was, wiem, kto to zrobił.

Przez ławki przebiegł szmer. Ludzie wierzili się i przesuwali, żeby lepiej widzieć, żeby móc zamienić dwa słowa z sąsiadem. Widownia aż do tego momentu była spokojna i wyluzowana, wyciszona w bólu jak gładka tafla jeziora. Nagle, wskutek skurczów ciekawości, jezioro pokryło się siatką drobnych, pienistych fal.

Pierron, który zrozumiał, co się święci, wycofał się szybko na zewnątrz kościoła. Omar Borghetti rozglądał się, rozmawiając szeptem z zezowatym kolegą, który potrząsał głową. Annarita wpiła się w ramię męża i chłonęła łapczywie oczami i uszami każdy szczegół, zdanie, ruch, zapach. Amedeo Gunelli wpatrywał się nieruchomo w Schiavonego, przerażony, że za chwilę padnie jego nazwisko i znajdzie się w centrum uwagi.

– To nie miejsce na procesy, tylko na modlitwę – zagrzmiał ksiądz i jego głos uniósł się aż pod sklepienie, gdzie triumfujący Chrystus otwierał ramiona, by przyjąć dusze niewinnych.

– Oczywiście, proszę księdza. Zatem módlcie się. Ale nie wygłaszajcie słów, które nie mają nic wspólnego z prawdą.

Widownia zaczęła ruszać się w różne strony, niepewna, czy patrzeć na wdowę, na księdza, czy na wicekwestora.

Luisa odeszła od pulpitu i wróciła na swoje miejsce. Rocco oparł się o filar i skrzyżował ramiona. Głos należał teraz do księdza Jerzego, który powoli wrócił do ołtarza wraz z klerikiem niosącym kadzielnicę i zaczął okadzać trumnę Leona. Ale szmer wśród ławek nie ustawał. Nagle z tej gmatwaniny głosów wyłonił się jeden, donośniejszy:

– Kto to zrobił?

– Chcemy wiedzieć kto.

Wstał jakiś starszy mężczyzna.

– Jestem stary i wiem jedno. Kościół to miejsce modlitwy, ale też miejsce dla wspólnoty. A wspólnota chce wiedzieć. Kto to zrobił? Wszyscy chcemy to wiedzieć.

Ksiądz zatrzymał się w połowie rytuału. Patrzył na swoich wiernych, patrzył na policjanta. Kleryk stał bez ruchu, w dłoni dyndał mu łańcuszek, dym kadzidła szedł prosto w górę.

– Proszę cię, Ignazio – ksiądz zwrócił się do staruszka – jesteśmy tu, żeby wspominać Leona, nie żeby urządzać procesy.

Ignazio nie dawał za wygraną.

– Proszę księdza, najlepszy sposób na zachowanie Leona w pamięci to wsadzenie za kraty tego, który go zabił. Dziękował ksiądz niedawno siłom

porządkowym. Teraz ich przedstawiciel mówi, że wie, kto odebrał życie Leonowi. Życie jest święte, tylko Bóg może je odbierać. Jeśli ten grzesznik jest wśród nas, mówię od serca: nie jest godzien stać tutaj w domu Pana!

– Racja!

– Prawdę mówi!

– Wina się nachlał – odezwał się odosobniony głos.

Rocco gestami usiłował uspokoić ludzi.

– Ksiądz Jerzy słusznie mówi, to jest pogrzeb biednego Leona, nie ma tu miejsca na proces. Przepraszam księdza, proszę odprawiać dalej. Was też przepraszam za swój wyskok.

I jak wszedł, tak bez pożegnania ruszył do wyjścia z kościoła. Ludzie rozstępowali się przed nim jak Morze Czerwone przed Mojżeszem.

– Panie Schiavone, wie pan, kto to zrobił? Jest pan pewien? – Głos księdza rozbrzmiał potężnie jak trąby ogłaszające Sąd Ostateczny.

Rocco przystanął. Odwrócił się w stronę ołtarza. Oczy ludzi były jak setki główek od szpilek wbitych w jego twarz. Już miał odpowiedzieć, kiedy uwagę wszystkich ściągnął kobiecy głos.

– Przepraszam, proszę o przejście.

Widownia odwróciła się ku drzwiom. Finał Rolanda Garrosa jeszcze się nie skończył.

– Przepraszam, proszę mnie przepuścić.

Wreszcie wśród wiernych stojących w drzwiach pojawił się mundur i zaaferowana twarz inspektor Cateriny Rispoli. Kiedy się zorientowała, że gapi się na nią setka ludzi, natychmiast oblała się rumieńcem. Odszukała swojego przełożonego, który stał parę metrów od niej.

– Szefie, to dla pana.

Wręczyła mu kopertę. Ksiądz wciąż trwał w oczekiwaniu na odpowiedź. Rocco otworzył kopertę, pośród absolutnej ciszy przeczytał jej zawartość. Podniósł wzrok na ołtarz, w stronę księdza.

– Tak, wiem. Winni są tutaj, jak mówił Ignazio, pod dachem domu bożego, chociaż nie powinni tu przebywać. A ściślej, jeśli chodzi o mnie, to mogą tu sobie być, ale dla osoby wierzącej jak Ignazio to jest powód do zgorszenia. Prawda?

– Kto to jest? – krzyknął ktoś, kto już nie wytrzymał oczekiwania.

Słysząc było szmer oddechów, czuło się, że nerwy tych spokojnych, pracowitych ludzi napięte są do ostatnich granic. Amedeo Gunelli kręcił się w miejscu, naczelnik poczty zatykał sobie usta dłońmi. Państwo Micciché wstali i rozglądali się oskarżycielsko. Annarita wciąż gapiła się w podłogę, kręcąc nieznacznie głową. Rocco zawrócił, za nim inspektor Rispoli. Zbliżając się do ołtarza, przeszli obok Omara Borghettiego. Zatrzymali się. Omar zbladł.

Ale Rocco tylko ujął jego dłoń i ucisnął.

– Muszę pana przeprosić.

Omar tylko lekko się uśmiechnął.

– Nie ma problemu. Wtedy uderzył mnie pan, żeby pobrać moją krew, prawda?

Rocco przytaknął i poszedł dalej. Omar odetchnął, zezowaty kolega klepnął go w ramię. Wicekwestor przeszedł obok państwa Micciché, minął księdza, oczy wiernych przyssały się do niego jak głodne pijawki. Setki oczu nareszcie miały się doczekać odpowiedzi. Takiego napięcia nie było nawet przed karnymi w meczu z Francją w 2006 roku. Rocco stanął przed Luisą Pec. Popatrzył na nią, nieznacznie dał znać ręką.

– Pozwoli pani ze mną.

Luisa wytrzeszczyła oczy. Ksiądz uchwycił się stojaka od mikrofonu, seria pisków przerwała nierealną ciszę. Domenico Micciché pobladł. Jego żona musiała usiąść. Wierni, jakby na polecenie choreografa, zasłonili usta dłońmi. Luisa wstała powoli z ławki. Pokiwała głową dwa razy, powoli ruszyła za policjantami. Rocco rzucił gniewne spojrzenie w stronę Annarity, po czym skręcił w drugą stronę nawy. Doszedłszy na środek, znów się zatrzymał. Dalej cisza. Z drogi doleciał dźwięk klaksonu i dalekie krzyki radości jakiegoś dziecka. Rocco popatrzył na Amedea Gunellego, który otworzył usta ze strachu. Potem policjant utkwiał wzrok w Luigim Bionazie, szefie kierowców ratraków.

– Zechce pan wyjść ze mną, panie Bionaz.

Luigi rozejrzał się nerwowo po sąsiadach.

– Zwariował pan, czy co?

– Panie Bionaz, proszę mnie nie zmuszać, bym użył metod, które w kościele byłyby świętokradztwem.

– Ja...

Ale wokół niego nagle zrobiło się pusto. Był jak zadżumiony. Nawet Amedeo opadł na ławkę i odsunął się o dobre pół metra od swojego pracodawcy.

– To jakieś szaleństwo. Ja miałbym... byliśmy z Leonem przyjaciółmi!

– Proszę brać przykład z wdowy. A swoje motywy wyjaśni nam pan na komendzie. No już, jazda – wyszeptał Rocco.

Luigi wstał. Cały rząd poderwał się na baczność, żeby zrobić mu przejście. Powoli przeszedł, potrącając kolegów i mieszkańców rodzinnej wioski. Nikt nie uczynił żadnego gestu, nikt go nie poklepał. Nic. Wszyscy tylko patrzyli, jak zmierza w stronę wicekwestora.

– Będziecie się musieli rozmówić z moim adwokatem.

– To pańskie prawo.

Wreszcie Luigi wygramolił się z ławki i zmierzał w stronę wyjścia wraz z Luisą i inspektor Rispoli. O parę kroków przed drewnianymi drzwiami Rocco odwrócił się do księdza i wiernych.

– Nie zwykłem robić takich afer, ale samiście tego chcieli. – Lekkim skinieniem głowy pożegnał się z obecnymi i wyszedł z domu bożego, nie czyniąc znaku krzyża.

Italo podjechał samochodem dwadzieścia metrów od kościoła. Z tyłu stał radiowóz prowadzony przez Casellę, którym przyjechała inspektor Rispoli. Ludzie na zewnątrz nie rozumieli, co się dzieje. Dlaczego wdowa i Luigi wyszli z kościoła przed trumną? Ale wieść rozniosła się z prędkością epidemii wirusa ebola i w chwili, kiedy Rocco i Luisa wsiadali do służbowego bmw, a Luigi Bionaz wraz z Rispoli do radiowozu, wszyscy już wiedzieli i szeptali między sobą. Ktoś robił zdjęcia komórką, inni kręcili głowami.

Skupili się wokół samochodów jak ćmy pędzące do żarówki. Rocco obserwował ich przez przednią szybę.

– Jazda, Italo, spadamy stąd.

Italo wrzucił bieg i ściana ludzi otworzyła się, by przepuścić samochód. Casella, chcąc nadać więcej patosu scenie, włączył koguta. A może tak nakazywał regulamin. Rocco włączył radio i wywołał radiowóz.

– Casella, wyłącz koguta, bo ci go wcisnę do gardła.

Syrena natychmiast ucichła i Rocco wreszcie mógł wypalić camela w świętym spokoju.

– Nie mógł pan chociaż poczekać, aż odprowadzimy go na cmentarz?
– zapytała Luisa.

– Ja bym nawet nie dał pani wejść do kościoła. Ale przyjechaliśmy za późno
– odparł Rocco. – A teraz byłbym wdzięczny za zachowanie ciszy, dopóki nie dojedziemy do Aosty.

Zaciągnął się i wydmuchał dym przez szparę ledwo uchylonej szyby.

Komendant nie ustawał w komplementach.

– Jeszcze pogrzeb się nie odbył, a pan już ich dopadł!

– Dziękuję, bardzo dziękuję. – Rocco usiłował zakończyć rozmowę, ale szef nie zamierzał przerywać.

Słuchawka zrobiła się gorąca i mokra od potu. Rocco odpiął ostatnie dwa guziki koszuli. Komendant już zdążył zwołać, pomimo późnej pory, konferencję prasową. Chciał wreszcie zatriumfować nad tamtymi z prasy, unicestwić ich, roznieść w proch ich gadanie i sceptycyzm, pokazać sukces, konkretny, nie jak te wypełnione słowami płachty gazet dobre tylko do zbierania kupy kanarków w klatce. I domagał się, żeby Rocco na nią przyszedł, ale jemu się nie chciało. Bycie w środku medialnego szumu przyprawiało go o mdłości. Próbował wszelkimi dostępnymi środkami wykręcić się z tej sytuacji, aż usłyszał kategoryczne polecenie Corsiego.

– Schiavone! Czekam na konferencji za równe dwadzieścia minut!

– Gówniana robota – warknął Rocco, wciskając z całej siły czerwony guzik.

Po jego zmarzniętym, zmęczonym ciele rozlało się dobrze znane, przykre poczucie winy. Zawsze tak było. Za każdym razem, gdy kończył sprawę, czuł się brudny, oślizgły, potrzebował długiego prysznica albo parodniowej podróży. Tak jakby to on był zabójcą. Jakby to była jego wina, że tych dwoje idiotów zabiło Leona. Nie można obcować z okropnościami, samemu się nie paskudząc. Dobrze o tym wiedział. Musiał zanurzać ręce w to lepkie błoto, w to wstrętne bagno, żeby złapać krokodyla. Żeby tego dokonać, musiał zamienić się w kreaturę zamieszkującą takie miejsca. Musiał się ubrudzić. Mętne bajoro stawało się jego domem. A smród zgnilizny jego dezodorantem. Ale nie był w stanie polubić tego bagna z ważkami latającymi tuż nad wodą, jadowitymi węzami i szarym piaskiem przypominającym sraczkę słonia. Stanowiło to najmroczniejszą i szpetną część jego życia, z trudem i bólem tam wracał. I to wszystko: dochodzenie, zabójcy, kłamstwa i uniki zmuszały go do obrachunków.

Musiał to robić, chociaż zawsze starał się zostawić za sobą najgorsze przeżycia. Usiłował zapomnieć o złu, zarówno tym, jakie wyrządził, jak i tym, którego doznał. O krwi, o wrzaskach, o trupach. Które wracały pod jego powieki za każdym razem, gdy je przymykał. Za każdym razem, gdy miał przed sobą kogoś w rodzaju Luisy Pec czy Luigiego Bionaza. Skurwysyny, obrzydliwa fauna typowa dla tego bajora, ludzie brązowi jak błoto i jak gówno, z którego byli ulepieni. Wciągali go w dół, w ruchome piaski jego egzystencji, zmuszali do powrotu na bagno.

To było coś gorszego od koszmaru, bo koszmary znikają wraz ze świtem. Bagno pozostaje na zawsze. Prawdziwe, namacalne, żywe i zatrute. Czekало na niego. W tym bagnie Rocco Schiavone był taki sam jak inni. Ani gorszy, ani lepszy. Granica między dobrem a złem, między tym, co słuszne, a tym, co błędne znikala. Znikały też niuanse. Albo wskakujesz po szyję, albo trzymasz się z dala. Nie ma żadnych półśrodków. Dom w Prowansji pozostawał daleki jak kometa Halleya. Cholera wie, czy kiedyś jeszcze przeleci bliżej niego.

– Gówniana robota – warknął znów i wyszedł z biura na konferencję prasową.

Nie trzeba było pytań ze strony wysłanników prasy lub telewizji, żeby przedstawić Schiavonego i wynik jego dochodzenia. Komendant Corsi, wreszcie we własnej osobie, a nie tylko jako głos w słuchawce, uprzedził wszystkich.

– Wicekwesor Schiavone opiszcie wam teraz, jak doszedł do zatrzymania Luisy Pec i Luigiego Bionaza.

Zazwyczaj konferencje prasowe urządzone przez Corsiego polegały na monologach. Pozwalał dziennikarzom zadać jedno, dwa pytania, po czym mówił bez przerwy. To on grał pierwszoplanową rolę i nikt nie mógł mu jej odebrać. Rocco wyczuł więc bezbłędnie, jak szczodrym gestem było skierowanie reflektorów na niego. Szczodrość równie zbędna, jak cała ta konferencja, bo Rocco

miał głęboko w nosie światła sceny i uwagę opinii publicznej.

Corsi skrzyżował ramiona i odsunął się lekko na bok. Jakby chciał podkreślić, że to jego zastępca, wykreowany przez niego, niemal emanacja. Uśmiechnięta twarz, nieskazitelne ubranie, nażelowane włosy, okulary w tytanowych oprawkach, a zwłaszcza radość tryskająca z każdego pora.

Rocco zaczął.

– Dobry wieczór, z uwagi na późną godzinę postaram się streszczać.

Wszyscy byli skupieni. Z notesami w dłoni, włączonymi kamerami. Musiał tylko uważać na odsłonięte uda blondynki w pierwszym rzędzie. Z tymi swoimi oczami azjatyckiej kotki, o migdałowym wykroju, wydawała się siedzieć tam tylko po to, żeby jak najbardziej utrudnić mu zadanie.

Dlaczego była w pierwszym rzędzie? Mogła się z tyłu, cholera, myślał Rocco, odchrząkując.

– Zaczę od początku, jeśli państwo pozwolą. Czwartek wieczór, około szóstej. Leon wybiera się do wioski w dolinie. Papierosy, pogaduchy... W każdym razie rusza w dół. W trzech czwartych drogi, na polanie, przez którą przechodzi skrót, ktoś na niego czeka. Woła go. Leon zbacza z trasy i podchodzi do tej osoby. To kolega, przyjaciel, to jest pewne. Częstuje papierosem, Leon go przyjmuje. Zdejmuje rękawice. Obie. – Zrobił pauzę i spojrzał na dziennikarzy. – Zaczyna rozmawiać z tym człowiekiem. Potem rozmowa przeradza się w kłótnię i nasz tajemniczy osobnik uderza Leona. Nie zabija go jednak. Leon tylko stracił przytomność. Tamten wtyka mu chustkę do ust, żeby nie mógł krzyczeć, i zostawia go, przykrywając śniegiem.

– Po co? Chciał, żeby zamarzył na śmierć? – zapytał dziennikarz z orlim nosem, w okularach, wywołując grymas niesmaku u Corsiego.

– Nie. Nasz tajemniczy człowiek ma szczegółowy plan. Zostawia go tam nieprzytomnego, pod warstwą śniegu, z chustką w ustach. Ale to nie jego chustka. Ukradł ją. Konkretnie Omarowi Borghettiemu, szefowi szkółki narciarskiej w Champoluc. Wszyscy go znają.

– Po co ją ukradł? – zapytała dziennikarka w mini.

– Skurwysyn... pardon, zabójca – poprawił się szybko pod groźnym spojrzeniem komendanta – chciał, żeby Leona znaleziono na miejscu. Martwego, z chustą Omara w ustach. Omar Borghetti to dawny narzeczony Luisy Pec, żony Leona. Krótko mówiąc, chciał rzucić winę na tego nieszczęśnika.

– Zbrodnia w afekcie? – znów zapytała posiadaczka zgrabnych ud.

– Tak, na tle uczuciowym. Zazdrość, złość, frustracja i tak dalej. Dlatego właśnie mówiłem, że nasz morderca dokładnie przemyślał zabójstwo. Chustka świadczy o tym jednoznacznie. A co o nim wiemy? Przede wszystkim, że nie jest głupi.

– No właśnie – wtrącił komendant Corsi, który aż do tego momentu się

powstrzymywał. – Pewnie przeczytał jakiś kryminał albo obejrzał w telewizji.

Dziennikarze przytaknęli, ale szybko skierowali uwagę na Rocca. Poczul, że musi powrócić do swoich wyjaśnień.

– Mój przełożony powiedział coś bardzo prawdziwego. Tamten facet musiał co nieco wiedzieć o DNA. Dlatego skrzętnie zabiera niedopałki papierosów, które wypalili z Leonem.

– Okay, tyle już wiemy – odezwał się ten z wielkim nosem. – Co dalej?

– Zechce pan łaskawie dać nam chwilę na wyjaśnienie wszystkiego, redaktorze Angrisano! – skarcił go komendant z surowością dyrektora szkoły wizytującego najgorszą klasę.

Rocco szybko wrócił do opowieści, żeby nie dopuścić do zagęszczenia atmosfery.

– No więc, zadałem sobie pytanie: dlaczego się pokłócili? Długi? Nie sądzę. To nie była zwykła kłótnia. Nasz zabójca przyszedł tam z dokładnym planem, żeby odebrać Leonowi życie. Powiedziałem sobie zatem: nie musieli się wcale kłócić. Premedytacja nie potrzebuje okazji. Jeśli zdecydowałeś się kogoś zabić, zmierzasz prosto do celu. Nasz tajemniczy ktoś uderza i ogłusza Leona, bo ofiara coś odkryła.

Grupa dziennikarzy czekała w milczeniu. Długopisy zawieszane nad notesami. Dyktafony mrugały diodami.

– Tak, Leon odkrył coś, czego wcześniej się domyślał, i postanowił się upewnić, robiąc dokładne badania. Jego żona była w ciąży. Ale Leon Micciché był bezpłodny.

– Ożeż kurwa... – wyrwało się komuś.

– Z kim była w ciąży?

– Według mnie z zabójcą – orzekła ta w mini z pierwszego rzędu.

– Bardzo proszę – zainterweniował komendant – pan Schiavone chce spokojnie dokończyć.

– Nie, nie, ma pani absolutnie rację. Pozostaje zrozumieć, kto to jest.

– A nie wystarczy zbadać DNA płodu? – zaproponował nosal.

– Wystarczy. Ale jest jeszcze coś, co może nam pomóc zrozumieć bez angażowania kolegów z laboratorium. Sednem zagadki były papierosy. Zadręczałem się tym. Historia z rękawicami mnie nie przekonywała. Ofiara zdjęła obie. A do palenia starczy zdjęć jedną, nie?

Dziennikarze przytaknęli.

– Zdjął, żeby chwycić zapalniczkę? – wysunął hipotezę jeden z dziennikarzy, całkowicie łysy.

– Nie. Zawsze wystarcza jedna ręka – odparł Rocco. – Ale potem zrozumiałem, to proste. Ktoś zdejmuje obie rękawice, jeśli tego papierosa musi sobie skrócić. Rozumiecie? Oto dlaczego – palcami naśladował ruchy, jakie wykonuje się przy robieniu skręta.

- A więc zabójca, który dał mu zapalić, używał tytoniu i bibulek?
- Otóż to – odpowiedział Rocco. – Wiemy nawet, jakiej marki. Samson.

Taki tytoń pali Luigi Bionaz.

Łysy przytaknął, tak samo ta w mini. Właściciel orlego nosa zagryzł wargi.

– Chwileczkę. Dobra, pali tę samą markę, ale to nie wystarczy, żeby go oskarżyć.

– Przesadza pan z tymi uwagami! – wtrącił się Corsi. – Już nie pierwszy raz usiłuje pan utrudnić pracę mojemu pionu...

– Ale ja...

– Powiem więcej. Niech pan siedzi cicho i da skończyć wicekwstorowi. Może dzięki temu w pana gazecie będzie wreszcie można przeczytać coś do rzeczy.

– No zwariować normalnie można – oburzył się dziennikarz.

Reszta chichotała. Było oczywiste, że miał jakieś zadawnione urazy z komendantem.

– Przepraszam, mogę zapytać, z jakiej pan jest redakcji? – zapytał Rocco.

– „La Stampa”.

Rocco też się uśmiechnął. Wszystko jasne. To nie ten konkretny dziennikarz wkurzał Corsiego. Tylko jego gazeta. Dla „La Stampy” pracował człowiek, który wiele lat temu odbił komendantowi żonę.

– Wróćmy do Luigiego Bionaza – Rocco podjął wątek. Żeby nie drażnić więcej szefa, zapytał go: – Mogę?

Corsi pokiwał głową.

– Luigiego Bionaza mogliśmy przygwoździć z innego powodu. To on kieruje pracą ratraków, to on decyduje, kto gdzie pracuje, jakie trasy ubija, jakimi skrótami jeździ. I zakopał jeszcze żywego Leona właśnie na środku jednej z bocznych dróg, których używają te czołgi, żeby wrócić do wioski. W najbliższym możliwym momencie wysłała tam biednego Amedea Gunellego. Ten, nieświadom niczego, przejeżdża po ciele nadal żywego, zakopanego pod śniegiem Leona i sieka go na tysiąc kawałków.

– Może już nie żył – ośmielił się odezwać dziennikarz z „La Stampy”.

– Nie, jeszcze żył. Fumagalli, nasz anatomopatolog, jest tego pewien.

– To zbrodnia bez narzędzia zbrodni!

– Właśnie. Narzędziem zbrodni jest w pewnym sensie znajomość rozkładu pracy i tras ratraków. To Luigi Bionaz nimi kierował. Owego wieczoru nalegał, żeby Amedeo Gunelli przerwał pracę i wrócił do wioski. Krótco mówiąc, Leon był związany i na wpół zamarznęty, ale mógł przecież wykopać się spod śniegu. Byłoby to groźne dla Luigiego. A teraz pomyślcie dobrze. Jeśli przejedzie po człowieku taki potwór, jakie będą potem szanse ustalenia, czym dokładnie został uderzony? Sprawdzenia, co spowodowało, że stracił przytomność? Odpowiem: żadne! Na tym polegał geniusz Luigiego Bionaza.

– A chustka Omara Borghettiego? Jak ją ukradł?

– To już inna para kaloszy. Luigi ma wolny dostęp do schroniska Luisy. Omar Borghetti, jako były narzeczony i bliski przyjaciel Luisy, prawie co wieczór odwiedzał ją po pracy. Poza wszystkim łączyły ich sprawy finansowe, Luisa była mu winna spore pieniądze. Luigi bez trudu mógł mu wykraść klucze.

– A dowody? – domagała się dziennikarka z pięknymi udami.

Jej koledzy przytaknęli.

Corsi znów poczuł się w obowiązku interweniować.

– Dowody to tytoń, brak alibi Luigiego na godzinę piątą, czyli na czas, kiedy zabójca ogłuszył Leona. No i to dziecko przecież się w końcu urodzi. DNA to więcej niż odciski palców.

– Jak się zachowali Luisa Pec i Luigi Bionaz? – zapytał łysy, skrobiąc w notesie.

– Luisa Pec dobrowolnie przyznała się do winy, Luigi Bionaz twierdzi, że jest niewinny.

Dopiero w tej chwili Rocco zorientował się, że za plecami dziennikarzy stoi prokurator Baldi. Uśmiechał się. Rocco milcząco odwzajemnił pozdrowienie.

– Świetnie, panie Schiavone, doskonała robota. Szybka i dokładna. – Baldi klepnął go w ramię, kiedy już dziennikarze wychodzili z sali.

– Dziękuję.

Baldi spojrzał poważnie.

– Postawiłem pewne żądanie i pan je spełnił.

– Co?

– Znalazł pan zabójcę. A raczej zabójców. Dotrzymał pan obietnicy.

– To prawda. A teraz co pan zrobi? Dotrzyma swojej?

Prokurator popatrzył na komendanta, który zatrzymał się, żeby porozmawiać z jedną z dziennikarek.

– Tak, dotrzymam. Jestem człowiekiem honorowym. Mogę tylko o coś spytać?

– Słucham.

– Skąd byli tamci ludzie?

– Syngalezi. Było ich osiemdziesięcioro siedmioro. Mieli spotkanie z kimś, kto miał dać im pracę. Nie czułem się na siłach, żeby ich zatrzymać, jakby byli nielegalną bronią.

– Syngalezi – mruknął Maurizio Baldi. – Świetna robota, Schiavone. Ale proszę pamiętać, jest mi pan winien przysługę.

Rocco przytaknął.

– Kto wie, może kiedyś uda nam się zaprzyjaźnić. – Baldi odsłonił zęby w szerokim uśmiechu. – Jutro rano czekam w prokuraturze. Chcę pana poprosić o radę. Mówiłem panu chyba, mam na głowie kupę przestępstw podatkowych.

Zależy mi na pana opinii.

Rocco westchnął.

– Jasne, jutro będę u pana. Ale od razu mogę panu dać radę. Im rzadziej będą pana widzieć ze mną, tym lepiej dla pana kariery i przyszłości.

– Przyszłość? Jaka przyszłość, co pan wygaduje! Jesteśmy we Włoszech, jeśli pan się jeszcze nie zorientował.

I poszedł sobie. Rocco wyciągnął z kieszeni paczkę cameli, była pusta. Zaklął po cichu, patrząc na kamerzystów, którzy chowali sprzęt do sztywnych walizek. Szukał wzrokiem dziennikarki w mini, tej o kocich oczach, ale nie było już po niej śladu.

Minęła już dziewiąta, kiedy Italo podwiózł go samochodem do Brissogne. Latarnie wokół aresztu śledczego były zapalone. Okna wyglądały jak ślepe, groźne oczy. Wiał lodowaty wiatr, wznosząc śnieżne wiry na oświetlonym asfalcie.

– Długo to potrwa, Rocco?

– Nie, mam sprawę na parę minut.

Luisa siedziała z łokciami opartymi na stoliku, obok stała butelka wody. Rocco wszedł, spojrzał kobiecie w oczy, zaczerwienione i zmęczone. Widać w nich było pragnienie, by się wreszcie zamknąć i skończyć ten gówniany dzień. Głowa opadła w dół, jakby Luisa nagle usnęła.

Rocco uniósł jej brodę.

– Dlaczego?

Luisa znów opuściła głowę.

– My z Luigim... już jakiś czas, straciłam nad tym kontrolę. Leon był zazdrosny, życie z nim to było prawie piekło.

– Ale powiedziała sobie pani: mamy długi, on ma nieruchomości na Sycylii, tak?

– Nie chciałam, żeby to się tak skończyło. Luigi obiecał, że tylko z nim pogada.

– Luigi już miał dokładny plan, żeby go zabić. Nie wiedziała pani?

– Miał tylko pogadać, żeby wyjaśnić i uspokoić sytuację. Tak się umówiliśmy. To była jego inicjatywa.

– Przerzucanie się winą to sztuczka stara jak świat, wie pani?

– Nie wierzy mi pan?

– Nie. Twierdzę, że zaplanowaliście to razem. Może potem pani pożałowała, ale zrobiła to pani. Proszę mnie posłuchać. Nie ma pani wyjścia, a to, co panią definitywnie pograża, to dziecko, mam rację?

Luisa dotknęła brzucha.

– Proszę to z siebie zrzucić i nie rozmawiajmy już więcej. Niech się pani postara wyjść z sytuacji z odrobiną godności, o ile kiedykolwiek ją pani miała.

Płakała.

– Jeśli powiem coś ważnego, co będzie dowodem przeciw Luigiemu, pomoże mi pan?

– Jak pomogę?

– No, pogada pan z prokuratorem.

– Zobaczymy. O co chodzi?

– W czwartek po południu, kwadrans po siedemnastej, Luigi dzwonił na moją komórkę. Był poruszony. Powiedział, żebym przysłała na drogę na Crest, że zdarzyło się coś strasznego.

Rocco milczał.

– Ja też tam byłam tego dnia. Przyszłam później. Luigi już zakopał Leona.

– Łzy zaczęły jej ciec, jakby ktoś zostawił otwarty kran. – Powiedział mi, że już nic nie można zrobić. Że umarł. Że musimy się nawzajem chronić.

– Leon wciąż wtedy żył, wiedziała pani?

Luisa popatrzyła mu w oczy.

– Leon...?

– Tak, umarł dwie godziny potem, rozjechany na osiemnaście tysięcy kawałków przez Amedea Gunellego.

Luisa ukryła twarz w dłoniach, z piersi wyrwał się jej szloch. Rocco odczekał, aż się uspokoi. Potem odciągnął jej dłonie sprzed twarzy.

– Kto tam był oprócz pani i Luigiego?

– Nikt. Tylko my dwoje. I... Leon.

– Gdzie był Omar Borghetti?

– Nie wiem. Zaszedł do mnie pół godziny wcześniej. Mam u niego dług.

– Tak, wiem o tym. Ale jaki jest ten ostateczny dowód obciążający Luigiego?

– Proszę wziąć moją komórkę, jest w depozycie policji.

– Co tam znajdę?

– W zdjęciach jest jedno, które nie zostawia wątpliwości.

– Co na nim jest?

– Luigi przed kopcem śniegu, pod którym leży Leon. Trzyma w ręku łopatę i patrzy w dół.

– Pani mu je zrobiła?

Przytaknęła.

– I w ten sposób mogła go pani trzymać za jaja, co nie?

– Nie wiem. To było coś okropnego. Nie wiedziałam, co robić. Nie chciałam zabijać męża i myślałam, że gdyby coś się stało, to takie zdjęcie mi pomoże, prawda?

Rocco wybuchnął.

– Spierdalaj, Luiso Pec, ty i te twoje kurewskie oczy. Nie chce mi się z tobą więcej gadać. Sprawdzę komórkę, wciągnę zdjęcie do akt, ale zrobię wszystko,

żebyś posiedziała parę latek.

– Ja nie chciałam...

– Znowu zaczynasz? Jestem wkurwiony z co najmniej dwóch powodów: po pierwsze w ostatnich dniach zwaliliście na mnie tyle upierdliwych spraw, że nie zliczę. Po drugie muszę przez was grzebać w tym gównie, a chętnie bym tego uniknął.

Zrobił dwa kroki i utkwiał wzrok w oczach Luisy.

– Wiesz, co napisał pewien wielki angielski poeta? Że kobieta to danie godne bogów, jeśli nie doprawi go diabeł.

– A bo co, z pana to taki święty?

– Nie, jestem najgorszym ze skurwieli. Ale liczę się ze sobą codziennie. Przed lustrem, jak się gapię w odbicie w wodzie, w samochodzie, kiedy jem i kiedy idę do kibla. A nawet kiedy się zagapię w to pierdolone wieczne szare niebo, jakie wisi tu u was. Zawsze. Wcześniej czy później zapłacę. Ale nie mam na sumieniu trupów niewinnych ludzi. Jeśli twoim zdaniem to za mało, to mam to głęboko w dupie. – Wstał, żeby podejść do drzwi, ale się zatrzymał. – Ale jeden komplement pani się należy. Przypomina pani dwie wielkie aktorki. I rola, jaką zagrała pani pierwszego dnia w komendzie, kiedy dowiedziała się rzekomo, że odnaleziono zwłoki pani męża... No, ja dałem się nabrać. Pomyliła pani zawód. Trzeba było od razu uderzać do Cinecittà.

I wyszedł z pokoju widzeń, trzaskając drzwiami.

– Odwieźć cię do domu? – zapytał Italo.

Rocco pokiwał głową. Nie miał ochoty widzieć się z Norą, nie chciał iść do knajpy, nie chciał nic chcieć. Tylko prysznic, jajecznicą, potem ogłupić się, skacząc po kanałach telewizora, i ciężki sen bez snów na kanapie.

– Dlaczego go zabili?

– Dla pieniędzy. Bo byli kochankami. Bo ona spodziewała się dziecka i Leon odkrył, że to nie jego. Tchórze i gnojki.

Italo dotknął wargi, na której utworzył się strupek.

– Słuchaj, Rocco, to, co zrobiliśmy z Sebastianem, no wiesz.

– Tak.

– Myślisz, że powtórzymy?

– A co, żałujesz?

– Nie, chcę tylko wiedzieć.

– Jak się trafi dobra okazja, to tak. Możemy znowu spróbować. Masz coś na oku?

Italo uśmiechnął się szeroko.

– Coś mi tam chodzi po głowie, ale musimy o tym pogadać.

– Nie dziś wieczorem.

– Nie. Na dzisiaj dość.

„Może nie zrozumiał pan tego, co usiłuję tu wyjaśnić... jeśli uwzględnimy stanowisko konfederacji pracodawców...”

„Ziemniaki kroimy na cienkie paski, podobnie jak paprykę”.

„Ale nawet ustawienie cztery-cztery-dwa może być ryzykowne w meczu z tak silnym zespołem jak...”

„...spadek indeksów giełdowych, które osiągnęły...”

„Czy Robin Hood, książę złodziei, jest zdolny do miłości?”

Ciekawe, czy da się zmieniać kanały tak szybko, żeby z tej zbitki wynikło coś sensownego. A w każdym razie nie mniej sensownego niż to, co na ogół leci w telewizji. Znow zaczął padać śnieg. I to porządnie. Patrz, jak płatki uderzają w szyby. Mówili, że nie ma na świecie dwóch takich samych. Ale kto to sprawdził? Ktoś wziął pod lupę dwanaście milionów płatków, zanim się roztopiły? A może nie. Może płatki śniegu są jak odciski palców. Każdy ma inne. Powieki mi ciężą. Powinienem spać. Na kanapie, przed telewizorem? Jak stary pijak? A jeśli zamknę oczy i znow zobaczę te zdjęcia?

Zdjęcia?

Potem łączą się w film.

Plac przed Bazyliką Najświętszej Marii Panny na Zatybrzu. Marina siedzi na fontannie i rozmawia z jakimiś chłopakami z Oslo. Przypominam sobie. To była lipcowa noc. Pierwszy raz, kiedy ją zobaczyłem. Od razu zdecydowałem: musi zostać moją żoną. Tak nagle postanowiłem, słychać było szum wody z fontanny i ujadanie psów z obozowiska włóczęgów. Zapadam się w tej kanapie. Nie mogę, nie powinienem... może sobie odpuszczę?

Tak. Jest wygodna. Ciepło mi. Na zewnątrz dalej pada, chyba. Ale nie chcę otwierać oczu. Odchodzę pomału. Ciekawe, czy takie jest właśnie umieranie. Mówią, że jak ktoś zamarza na śmierć, to w rzeczywistości słodko zasypia, nie orientując się, co się dzieje. Lepsze to niż czołg, który rozjeżdża ci głowę. Zdecydowanie lepsze.

– Wszystko już wiem. Złapałeś ich – mówi mi Marina.

– Tak.

– Jakiś idiota chciał, żebyś to dziś wieczorem oblał?

– Nie. Na szczęście nie.

– Nie ma czego świętować.

– Też tak sądzę.

Siedzi obok mnie. Na dworze przestało padać.

– Dobrze się czujesz, Rocco?

– Tak.

Marina się śmieje.

– Umiesz wykrywać kłamstwa, ale nie umiesz ich mówić.

– Miałabyś ochotę wyjechać, Mari?

- *A dokąd chcesz jechać?*
- *Rozejrzeć się po Prowansji. Niecała godzina samochodem stąd.*
- *I sobie pomarzemy?*
- *Tak, będziemy sobie wyobrazać różne rzeczy.*
- *Tak jak teraz?*
- *Tak jak teraz.*
- *Rocco, za często to robisz.*
- *Wiem, wiem.*
- *To ci nie służy.*
- *Bez tego nie daję rady żyć.*
- *Ale powinieneś dać radę. Musisz żyć.*

Obudziła go rakietą wystrzeloną przez Sylvestra Stallone'a do oddziału Wietkongu. Na zewnątrz padało. Leżał na kanapie, Rambo masakrował zgraję czerwonych.

Zgasił telewizor. Wstał. Musiała już być druga albo trzecia w nocy. Podeszedł do okna. Śnieg dalej padał, ale płatki były już mniejsze. Na nieskazitelnie białej drodze odcinały się ślady opon jednego samochodu. Wokół latarni wirował zmrożony pył. Zielony neon apteki mrugał. Lodowata ręka zacisnęła się Schiavonemu na sercu. Druga na gardle. Oparł głowę o szybę. Zamknął oczy.

Już cztery miesiące nie przynosił Marinie kwiatów. Postanowił, że w następny weekend pojedzie do Rzymu. Tylko dla niej. Dla Mariny.

- *Wezmę prysznic, zrobisz mi kawę, Marino?*
- *Chcesz jechać zaraz?*
- *Zanim mnie to bagno znów wciągnie, kochanie.*

Podziękowania

Kilka niezbędnych podziękowań. Dla Patrizii – uwierzyła wcześniej niż inni. Dla Luisy za cierpliwość i za mnóstwo wyjaśnień, które mnie uchroniły przed wpadkami. Dla Patricii, która dała mi pierwszy impuls do pisania. Dla Toni, która tymczasem została moją żoną i wypełnia mi życie. Dla ojca i jego obrazów, które towarzyszą mi od dzieciństwa, i dla matki za jej matematyczny umysł.

Marco i Jacopo zabrali mnie wraz z siostrą na tysiąc pięćset metrów nad poziomem morza. Nigdy dość wyrazów wdzięczności dla Nic i Lolla, którzy niewzruszenie wierzą w to, co robię. Mattia ze swoją czystą energią i talentem pomógł mi ulepszyć książkę. I wreszcie Nanà Smilla Rebecca oraz Jack Sparrow – rozświetlają miłością mój dom.

Specjalne podziękowania dla gminy Champoluc, a zwłaszcza dla Luigiego, Carla, księgarni Livres et Musique, dla schroniska Vieux Crest, gdzie zacząłem pisać tę książkę, oraz dla Charmant Petit Hotel, gdzie ją skończyłem.

A.M.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: MAGRAF s.c., Bydgoszcz

